

KATOLICCY REFORMATORZY

XVI STULECIA

WYDZIAŁ HISTORII I SOCJOLOGII

WARSZAWA

LUDWIK BAR. PASTOR

KATOLICCY REFORMATORZY

XVI STULECIA

334

SZKICE CHARAKTERÓW

IGNACY Z LOYOLI — TERESA OD JEZUSA —
FILIP NEREUSZ — KAROL BOROMEUSZ

Z NIEMIECKIEGO PRZEŁOŻYŁ

KS. PIOTR MAŃKOWSKI, BISKUP KAMIENIECKI



nie ml

KRAKÓW 1924

NAKŁADEM WYDAWNICTWA KSIĘŻY JEZUITÓW



33404

Nihil obstat

J. Urban S. J.
ensor.

L. 5051/24.

POZWALAMY DRUKOWAĆ

Z Książęco - Biskupiego Konsystorza

Kraków, dnia 24 września 1924.

L. S.

† *Adam Stefan*

Ks. Dr. Fr. Miłek
za kanclerza

H-122733

DRUKARNIA „PRZEGLĄDU Powszechnego”

o.
16-3-67
A. 101/67
lm.

<http://rcin.org.pl/ifis>

PRZEDMOWA TŁUMACZA.

Znakomity badacz dziejów Kościoła, Ludwik Pastor, od lat kilkudziesięciu oddany niezmqdowanej pracy nad pomnikowem dziełem historii papieży, którą rozpoczął od Marcina V i doprowadził już, w dziesięciu potężnych tomach, do Innocentego IX (a więc od 1417 do 1591 roku), obchodził świeżo siedmdziesiątą rocznicę urodzin. Dla uświetnienia pamiątki dnia tego i ku uczczeniu zasług sędziwego historyka, wyjęte zostały ze wspomnianego co dopiero dzieła i wydane w osobnym tomiku cztery sylwetki wielkich działaczy katolickich XVI wieku, jakimi byli Święci: Ignacy Loyola, Teresa od Jezusa, Filip Nereusz i Karol Boromeusz. Do szkiców tych przydano obszerny życiorys czcigodnego autora, skreślony przez Dra Maksa Schermanna.

Nieśmiertelne postacie tak zasłużonych dla Kościoła odnowicieli życia katolickiego, przedstawione z bezstronnością prawdziwego uczonego i w świetle najnowszych badań naukowych, zasługują zaiste na to, aby i nasze społeczeństwo jak najdokładniej z niemi się zapoznało. To

właśnie było powodem, dla którego OO. Jezuici polscy rzeczzone szkice ogłosić postanowili drukiem w polskim przekładzie. Co do życiorysu Ludwika Pastora, nie zdalo się potrzebnem powtarzać go w całej rozciągłości za niemieckim biografem, niektóre wszakże szczegóły podać warto do wiadomości szerszego ogółu w naszym kraju; streszczamy je więc poniżej, czerpiąc z niemieckiego oryginału.

Ludwik Pastor przyszedł na świat dnia 31-go stycznia 1854 roku w Akwizgranie. Ojciec jego, zamożny kupiec ze starej mieszczańskiej rodziny, w lat kilka po urodzeniu syna, z powodu interesów handlowych, przeniósł się na stały pobyt do Frankfurtu nad Menem i tu w roku 1864 życie zakończył. Był to człowiek głęboko religijny, lecz protestant. Pozostała po nim wdowa, gorliwa katoliczka, dzieci swe wychowała w prawdziwej wierze i młody Ludwik też wczesnie już odznaczył się pobożnością i szczerze katolickimi zasadami. Niemalży wpływ wywierał na niego w okresie nauk gimnazjalnych jeden z profesorów, słynny historyk Ks. Jan Janssen; toteż w owym już czasie dojrzewać począł w umyśle młodego maturzysty, a następnie studenta uniwersytetów w Lowanijum, Bonn, Berlinie i Wiedniu, zamiar napisania obszernej historji papieży. Chodziło mu jednak o dostęp do tajnego archiwum watykańskiego, przez co studja w tym kierunku pod-

jęte mogłyby zamierzoną pracę postawić na stopniu bez porównania wyższym od dzieł jego poprzedników, a zwłaszcza historii Rankego. Nie było to wszakże rzeczą łatwą, archiwum bowiem od roku 1870, wskutek dokonanego w niem nadużycia, szczelnie było zamknięte. Kiedy w roku 1879, zaopatrzone w poważne rekomendacje, Pastor zjawił się w Rzymie u kardynała Sekretarza Stanu Niny, ten odezwał się do niego w te słowa: »Jakże ja Pana mogę wpuścić do archiwum? Nawet kardynałom wstęp do niego wzbroniony pod karą ekskomuniki«. Na to odrzekł młody uczoney: »Eminencjo, ja do niego wchodzić nie chcę, ja zadowolę się tem, aby akta przyszły do mnie«. Po dłuższych pertraktacjach i po osobistem złożeniu przez Pastora memorjału na ręce papieża Leona XIII, sprawa nareszcie rozstrzygniętą została pomyślnie i nie tylko dla niego samego, lecz wkrótce i dla całego świata, gdy wielki papież skarby źródeł historycznych, ukryte w archiwum, wszystkim badaczom dostępnymi uczynił.

W roku 1891 przeniósł się Pastor na stały pobyt do Insbruka, gdzie habilitował się na docenta historii powszechnej przy miejscowym uniwersytecie. Niemaló jednak pokonać trzeba było trudności, zanim wreszcie otrzymał tytuł profesora, jego bowiem otwarcie katolickie przekonania były solą w oku dla niektórych starszych kolegów na profesorskich katedrach, którzy libe-

ralnym hołdowali poglądom. W roku 1901 otrzymał Pastor nominację na dyrektora Austriackiego Historycznego Instytutu w Rzymie i jako organizator i kierownik tej instytucji wielkie położył zasługi. Gdy wybuchła wojna światowa, udało się jeszcze uczonemu profesorowi przedostać, w r. 1915, do Rzymu i zabrać stamtąd swe rękopisy; w ten sposób mógł bez przerwy prowadzić dalej rozpoczęte dzieło, opracowując zebrane materiały i wydać w tym czasie kilka dalszych tomów historii papieży. Po dokonanym politycznym przewrocie, Pastor w roku 1920 mianowany został przedstawicielem dyplomatycznym Austrii przy Watykanie i odtąd już na stałe zamieszkał w Rzymie. Zarówno Benedykt XV, jak i Pius XI znali go z lat dawnych, gdy przebywał w Wiecznym Mieście w celach naukowych.

W uznaniu zasług, profesor Pastor w r. 1908 odznaczony został dziedzicznym tytułem szlacheckim, a w roku 1916 takimże tytułem baronowskim. Posiada nadto kilka honorowych doktoratów, w ich liczbie dwa doktoraty teologii uniwersytetów wrocławskiego i insbruckiego. Jest członkiem wielu instytucyj naukowych i akademij, między innymi Akademji krakowskiej. Autor życiorysu uczonego profesora i dyplomaty wspomina też na zakończenie o niemałych zasługach, położonych przy wydawnictwie dzieł męża przez małżonkę jego, Konstancję z Kaufmannów,

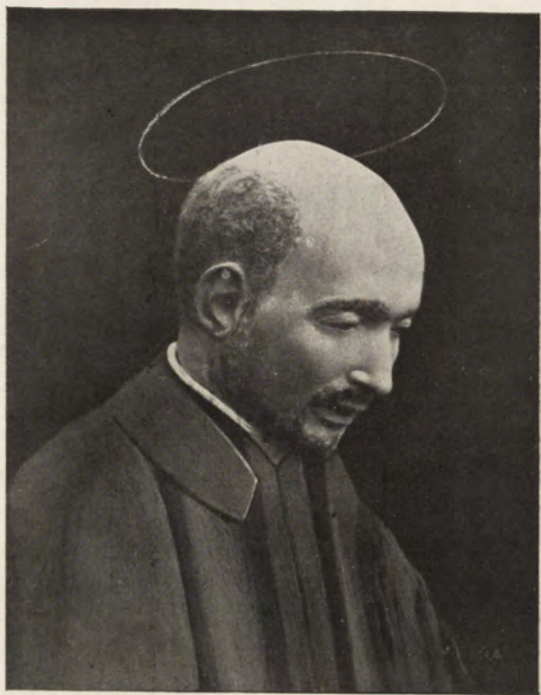
która posiadała zwłaszcza zdolność odcyfrowywania nieczytelnego wprost pismą wielkiego historyka.

Do życzeń, jakie mu składano w siedmdziesiątą rocznicę urodzin, i my też nasze szczere życzenia dołączamy, aby Bóg przedłużał jego lata i pozwolił mu niejeden jeszcze tom olbrzymiego i wiekopomnego dzieła opracować dla pożytku nauki, ale i na chlubę owej wspaniałej i wiecznie trwałej instytucji, tak cudownie łączącej w sobie dwa pierwiastki, boski i ludzki, jaką jest papieżstwo.

Buczacz, dnia 16 czerwca 1924 r.

IGNACY Z LOYOLI

IGNACY ŁOYD



ŚW. IGNACY LOYOLA.

Zbliżało się do szczytu zeświecczenie stosunków kościelnych we Włoszech, a zepsucie epoki renesansu w osobie Hiszpana, Aleksandra VI, samą nawet Stolicę świętą okrywało hańbą, kiedy przyszedł na świat w Hiszpanji mąż, który miał swą niezrównaną i wszechstronną działalnością potężniej niż ktokolwiek inny przyczynić się do oczyszczenia Kościoła i powetowania ciężkich strat nowemi zdobyczami. Był to Ignacy z Loyoli.

Rodzina Loyolów należała do starej drobnej szlachty pięknego kraju Basków. Tam to, w prowincji Guipuzcoa, zdala od świata, w uroczem górskim ustroniu, na zachód od miasteczka Azpeitia, przy drodze do Azcoitia wiodącej, znajduje się jej zamek rodowy, nie różniący się w niczem od innych siedzib wiejskiej szlachty baskijskiej. Niewielka budowa o grubych murach na dwa tylko piętra się wznosi; nad bramą wehodową zauważyć można kamienną tarczę herbową Loyolów. W tym to gmachu, zachowanym w całości do dnia dzisiejszego dzięki pietyzmowi potomnych, w początku dziewięćdziesiątych lat XV stulecia ujrzał światło dzienne Inigo, który się

potem nazwał Ignacym. Spędziwszy lata dziecięce w owej samotnej dolinie, w bardzo młodym jeszcze wieku dostał się pod opiekę przyjaciela rodziny, Juana Velasqueza, wielkiego podskarbiego Ferdynanda Katolickiego, który już to w Arévalo, już to na dworze królewskim przebywał. Wykształcenie szkolne Ignacego ograniczyło się, zwyczajem owych czasów, do nauki czytania i pisanania. Po śmierci Velasqueza zaciągnął się do służby wojskowej pod księciem Najery, wicekrólem Nawarry. Żył jak prawdziwe dziecko ówczesnego stanu rycerskiego w Hiszpanji, przejęty nawskróś duchem wiary katolickiej, której rycerstwo broniło przeciw Maurom w wojnach, trwających stulecia całe; gotowy do boju, chętny do walki, wielkoduszny, lecz pozatem jednak nie koniecznie święty. Opowiada Juan de Polanco, który w późniejszym czasie lata całe spędził u boku Ignacego, iż tenże za młodu oddawał się grze, a miał też i swoje miłosne przygody.

Nagle nastąpił zwrot. Życie Ignacego miało otrzymać kierunek nowy; ze świeckiego wojownika miał stać się walecznym obrońcą Kościoła i Stolicy świętej i założycielem nowego zakonu kapłańskiego.

Kiedy w maju 1521 r. Francuzi oblegali Pampelonę, obstawał Ignacy przy tem, by twierdzę tę za wszelką cenę utrzymać. Toteż padła wtedy dopiero, gdy dzielny rycerz kulą armatnią został

raniony w nogę. Rannego przewieziono do rodzinnego zamku. Tam okazało się, iż noga źle była złożona; trzeba ją było raz jeszcze łamać. Straszego bólu nie dał Ignacy poznać inaczej, jak tylko silnie zaciskając pięści. Kuracja powoli bardzo posuwała się naprzód. Dla zabicia czasu zażądał chory rycerskich powieści. Ale w domu żadna się powieść nie znalazła, dano mu więc do czytania życiorysy świętych w hiszpańskim języku, oraz hiszpański przekład obszernego »Żywotu Chrystusa«, zestawionego z Ewangelij i pism Ojców przez Kartuza Ludolfa Saskiego. Ignacy począł czytać i rozważać zawarte w tych książkach święte opowiadania. Potem, co prawda, znów mu się nasuwały myśli światowe. Opowiada on, iż po dwie, trzy i cztery godziny przedstawiał sobie, jakichby miał dokonać czynów wojennych w służbie pewnej damy. Damą tą wszakże, jak przyznaje, »nie była zwykła szlachcianka, ani hrabina, ani księżna; była wyżej postawiona«.

Lecz były też godziny, w których znów brał do ręki żywoty świętych. »A gdybym ja zaczął prowadzić życie takie, jak św. Franciszek i św. Dominik?« — pytał sam siebie.

Tak to zmieniały się nastroje i zamiary. Przytem jednak uczynił pewne spostrzeżenie: oto myśli światowe bawiły go wprawdzie, lecz wkońcu pozostawiały na dnie duszy oschłość i zniechęcenie; skoro zaś postanawiał naśladować surowy

tryb życia świętych, wtedy nie tylko w samych tych postanowieniach odczuwał pociechę, lecz i w następstwie pozostawał zadowolonym i wesółym. Coraz bardziej jął zwracać uwagę na tę różnicę i poznał, że jedne z tych poruszeń pochodziły od złego ducha, inne od dobrego.

Wreszcie odniosły zwycięstwo myśli religijne i niebawem całą mu duszę przepelniły. Postanowił z rycerza świeckiego stać się bojownikiem bożym. Aby się zaś w swym zamiarze utwierdzić, skoro tylko pozwoliły mu na to siły, wpisał do zeszytu ozdobnemi literami wyjątek z Ludolfowego »Żywotu Chrystusa«; miał też w owym czasie już, jak zapewnia Laynez, szczególniejsze nabożeństwo do Matki Zbawiciela.

Powróciwszy wkońcu do zdrowia, oderwał się od swoich, zdecydowany naśladować wielkie czyny świętych. Odbył pielgrzymkę do świętej góry Katalończyków, do Najświętszej Panny z Montserratu. Tam to, w surowej i skalistej dzicy, wzruszony gorzkim żalem i skruchą, w trzydniowej spowiedzi z całego życia, odbytej przed zakonikiem reguły św. Benedykta, zakończył rachunki ze swą przeszłością. W nocy przed Zwiastowaniem Najśw. Marji Panny odbył, rycerskim obyczajem, straż honorową przed starożytnym cudownym obrazem Matki Bożej w klasztorным kościele; odziany był przytem w gruby płaszcz pokutny, biodra przepasane miał powrozem

a w ręku kij pielgrzyma; miecz swój i sztylet polecił zawiesić u ołtarza, strój rycerski podarował żebrakowi.

Aby nie być znanym i w całkowitem pozostać ukryciu, skierował swe kroki do pobliskiego miasteczka Manresy, gdzie znalazł przyjęcie w szpitalu. Rzeczy duchownych był jeszcze bardzo nieświadomy, zewnętrzne ćwiczenia pokutne zdawały mu się być jedyną miarą świętości. Toteż stosownie do pojęć swych prowadził życie niezmiernie surowe: chleb zdobywał sobie żebraniem, pościł cały tydzień z wyjątkiem niedzieli, biczował się trzy razy dziennie; każdego tygodnia przystępował do sakramentów pokuty i Ołtarza; codziennie obecny był na mszy uroczystej i na nieszporach; co noc wstawał do modlitwy; siedm godzin każdego dnia spędzał na klęczkach. W pobliżu miasta znajdująca się pieczara, z trudnym dostępem, była główną widownią jego modlitw i pokutnych ćwiczeń. Toteż nie dziw, iż pod koniec roku Ignacy poważnie zaniemógł. Pobożne niewiasty z wyższych sfer zajęły się nim. Wówczas postanowił zmienić miejsce zamieszkania i pod względem odzieży i pożywienia zbliżyć się do zwykłego trybu życia. Dusza jego w przeciągu czterech pierwszych miesięcy cieszyła się niezmaconem prawie weselem; potem jednak nastąpiły gwałtowne niepokoje i gorące walki. Razu pewnego postanowił tak długo nic nie jeść i nie

pić, dopóki by nie zaznał spokoju; tak wytrzymał przez tydzień cały i tylko nakaz spowiednika skłonił go wreszcie do przyjęcia posiłku. Uspokoił go też Ojciec duchowny, gdy Ignacy spowiadać się chciał raz po raz z wyznanych już grzechów. Spokój powrócił, serce radowało się w Bogu.

Przyszły z kolei wielkie wewnętrzne oświecenia. Bóg obchodził się z nim, jak się sam Ignacy wyraża, »zupełnie tak jak nauczyciel obchodzi się z dzieckiem, któremu udziela nauki«; użyczył mu daru modlitwy kontemplacyjnej. Często, jak to potem zapewniał, »myślał, że gdyby nawet nie istniało Pismo święte, które nas prawd wiary uczy, to jednak nie wahałby się życia swego za te prawdy oddać, opierając się jedynie na tem, co widział na modlitwie«. Przyjacielowi od serca, Laynezowi, opowiedział Ignacy z dni pobytu swego w Manrezie, iż razu pewnego w pobliżu miasta w ciągu jednej godziny więcej się nauczył, niżby go wszyscy uczeni całego świata mogli byli nauczyć. Działo się to nad rzeką Cardoner; Ignacy usiadł na brzegu i wpatrywał się w fale. Niejedno z tego, co wówczas poznał, stało mu przed oczyma, gdy zakon swój zakładał. W tem znaczeniu powiedzieć można, iż Manreza była miejscem urodzenia Towarzystwa Jezusowego. Że jednak Ignacy już w owym czasie dokładnie i jasno zrozumiał, iż ma taki właśnie zakon założyć,

to należy do późniejszej tradycji, która się utrzymać nie da. Ignacy i jego zaufani, jak wykazują najnowsze źródłowe publikacje, wypowiedali się zgoła inaczej.

Ignacy już w Manrezie wiele osób nakłonił do odmiany życia, dając im duchowne ćwiczenia. W ten sposób powstała książeczka, napisana nadzwyczaj zwięźle i krótko, prosto i zrozumiale, a należąca do najznakomitszych dzieł na całym świecie: książka ćwiczeń duchownych. Nie zna czy to, by miała być napisana jednym ciągiem: sam Ignacy, kiedy go o to zapytywał Gonçalvez, taką dał odpowiedź: »Pielgrzym — tak siebie nazywa Ignacy we własnych wyznaniach — w duszy swej to jedno, to drugie zauważał i za pożyteczne uznawał; wówczas przyszło mu na myśl, że mogłoby to i dla innych być przydatnem, i tak jął spisywać swoje spostrzeżenia«. W szczególności dawał Ignacy do zrozumienia, że wskazówki, dotyczące wyboru stanu i powzięcia decyzji w ważnych sprawach, pochodziły z czasu ciężkiej jego choroby w Loyoli. Reguły o pielęgnowaniu ducha kościelnego dodał po latach dopiero, we Francji, lub we Włoszech. Ale już w roku 1547 wyraził Laynez zdanie, iż Ignacy ćwiczenia duchowne w głównym zarysie po raz pierwszy odbył w Manrezie. Tam też według wszelkiego prawdopodobieństwa spisany został pierwotny ich szkic.

Książka Ćwiczeń duchownych wymaga bliższego objaśnienia. Stosownie do treści, rozpada się na cztery »tygodnie«; ale każdy z nich może wedle potrzeby być skróconym lub przedłużonym. Niezbędną podstawę całości tworzy cel i koniec człowieka. »Stworzony jest człowiek w tym celu, aby Boga i Pana swego chwalił, jemu cześć oddawał, służył, i przez to duszę swą zbawił. Co tylko innego istnieje na ziemi, stworzone jest dla człowieka; ma być mu pomocnem w osiągnięciu jego celu. Stąd wynika, iż człowiek ma używać stworzeń o tyle, o ile mu do celu dopomagają, i o tyle ich unikać, o ile mu w tem przeszkadzają«. Kto tak nie czyni, ten grzeszy. Rozmyślania, oraz inne ćwiczenia pierwszego tygodnia, budzą wstręt do grzechu i grozę na widok jego skutków. Dusza oczyszcza się przez spowiedź; kruszy swe więzy, osiąga prawdziwą wolność dzieci bożych i całą siłą zdąża do swego Stwórcy. Drogą tą dla nikogo nie innego być nie może, jak tylko naśladowanie Chrystusa; ono to było dla Ignacego życiowym ideałem, za którym podążał z właściwą sobie pewnością i siłą woli.

W pierwszym rozmyślaniu drugiego tygodnia występuje Chrystus jako posłany od Boga Król nieba; chce królować we wszystkich sereach, i w tym celu duchowe swe królestwo na świat cały rozszerzyć; wzywa wszystkich do służby w swem wojsku i sam staje na czele swych wier-

nych. Wszelka dusza szlachetna łączy się z nim jak najściślej. Odprawiający medytację, pod kierunkiem ewangelistów, towarzyszy Zbawicielowi przez cały jego ziemski żywot, raz po raz zwracając się z prośbą do Ojca niebieskiego, aby mu łaską swą dał coraz lepiej poznawać Odkupiciela, coraz goręcej go miłować, coraz wierniej mu służyć. Tu jest także czas odpowiedni dla dokonania wyboru stanu. Księga ćwiczeń podaje dokładny i mądry sposób zajęcia się tą tak ważną sprawą; może on też służyć za gwiazdę przewodnią w każdym ważnym życiowym postanowieniu, bez względu na to, czy się je ma powziąć na rekolekcjach, czy poza niemi. Wszyscy zaś, którzy wyboru stanu dokonywać już nie potrzebują, powinni teraz, w czasie rekolekcji, w nim się »zreformować«. Że nie ma tu na myśli wyłącznie stanu zakonnego lub kapłańskiego, że Bóg powołuje też do życia małżeńskiego, do potęgi i bogactwa, to daje Ignacy wyraźnie do poznania.

Przez żywą wiarę i czynną miłość powinien człowiek, wedle powołania i stanu, współpracować nad sprawą królestwa Chrystusowego. Ten jest ostateczny cel rekolekcji. Aby go osiągnąć, pokazuje nam rozmyślanie »o dwóch sztandarach«, sztandarze Lucyfera i sztandarze Chrystusowym, w sposób nadzwyczaj pogładowy zgubne zasady złego ducha i zasady chrześcijańskiej doskonałości, jak je podaje Zbawiciel. Do tego

samego celu, aby mianowicie wywołać mocne postanowienia, zdążają dwa inne rozważania: »o trzech klasach ludzi« i »o trzech stopniach pokory«. Trzeci tydzień, poświęcony męce Zbawiciela, umacnia rekolektanta w odwróceniu się od złego i w zbawiennych postanowieniach; czwarty budzi zapal dla osoby zmartwychwstałego i uwielbionego Bożego Syna.

Pomiędzy te rozmyślania wplecione są różne rady i życiowe prawidła, które, podobnie jak przepisy dotyczące wyboru, ważne są nie tylko na czas trwania ćwiczeń, lecz na całe życie: tak np. reguły »o rozróżnianiu duchów«, o skrupułach, o dobrem używaniu dochodów, o zachowaniu miary w jedzeniu, piciu i śnie, o rozmyślaniu, rachunku sumienia i innych sposobach modlitwy, o pielęgnowaniu ducha kościelnego. Te ostatnie zwłaszcza są nadzwyczaj ważne. Na czele ich wypisane prawidło zasadnicze: »Kosztem wyrzeczenia się własnego sądu powinniśmy całym sercem gotowymi być słuchać we wszystkim prawdziwej Oblubienicy Chrystusowej, a tą Oblubienicą jest święta Matka Kościół«. Powinniśmy — czytamy dalej — zalecać częstą spowiedź i Komunię i częste słuchanie Mszy świętej, następnie także modlitwę chórową, śluby zakonne, cześć dla świętych relikwii, pielgrzymki, odpusty, przykazania kościelne co do postu i wstrzeźliwości, ćwiczenia pokutne i to nie tylko we-

wewnętrzne, lecz także i zewnętrzne. Mamy dalej jeszcze pochwalać budowę i przyozdabiane kościołów i cześć oddawaną obrazom świętych. Naogół pochwalać powinniśmy wszystkie przepisy kościelne i zawsze się za Kościołem ujmować, nie występować nigdy przeciw niemu i bardziej skłaniać się ku pochvale niż ku naganie zarządzeń i zachowania się naszych przełożonych, choćby nawet osoby ich nie zawsze godne były pochwały; »gdyż jeśliby się kto czy to w kazaniu, czy na rozmowie wśród ludu prostego nad tem rozwoził, więcejby stąd powstało szemrania i zgorzzenia niż korzyści«. O przeznaczeniu człowieka, o wierze, o łasce nie należy wyrażać się w sposób, któryby mógł wpośród wiernych wywołać oziębienie ich gorliwości w spełnianiu dobrych uczynków. Dzieła Ojców świętych czytać należy pilnie, nie lekceważąc wszakże dlatego nauczycieli scholastyki. W najbardziej silnych wyrażeniach kładzie Ignacy nacisk na obowiązek bezwzględnego poddania rozumu pod sąd Kościoła, który rządzony jest przez Ducha Świętego. Zakończenie ćwiczeń duchownych stanowi rozmyślanie o miłości bożej; przebrzmiewa ono we wzruszającej modlitwie, której treścią jest zupełne oddanie się Bogu.

Kto zna tylko świat czysto przyrodzony, kto nie umie ocenić potęgi modlitwy, nie liczy się z działaniem łaski, ten ani znaczenia książki cał-

kowicie nie zrozumie, ani skutków jej wytłumaczyć nie potrafi. Nadto jeszcze domagają się te Ćwiczenia, by je nie tylko przeczytać, lecz i odbyć. Cel ich przez niektórych określony został jako zdobycie zupełnego spokoju duszy, zasadzającego się na wyniszczeniu woli własnej, na braku woli. Przeciw temu zdaniu słusznie podniósł przed bardzo niedawnym czasem pewien uczony niekatolik, że jak wskazuje doświadczenie, rekolekcje te tym, którzy je odbywali i ciągle jeszcze odbywają, »dodawały sił moralnych, których przedtem nie posiadali«; skutkiem przeto rekolekcyj nie jest umniejszenie indywidualności, lecz wzmożenie jej i wzmocnienie: są one arcydziełem »rozumnej pedagogji«.

Sam Ignacy daje dziełu swemu nazwę »Ćwiczeń duchownych, zmierzających do tego, by samego siebie przewyciężyć i życie swe uporządkować, nie dając się przytem powodować żadną nieporządną skłonnością«. Modlitwy zatem nie uważa za cel sam w sobie; chce nie tylko nauczyć modlitwy jako takiej, owszem, podaje wybór rozważań, czytań, modlitw ustnych, badań, ćwiczeń pokutnych, zmierzających w oznaczonym porządku i związku do tego, aby, jak powiedziano dosłownie w książce, »człowiek oderwał się od wszelkich nieporządných skłonności, a dokonawszy tego, szukał woli bożej i znalazł ją, i odpowiednio urządził sobie życie ku zbawieniu swej

duszy«. Przez wzmożoną modlitwę i uczynki pokutne, co do duszy i ciała, starać się trzeba pozyskać łaskę niebios; z tą łaską współdziała cały człowiek pod kierunkiem biegłego w sprawach duszy przewodnika. Pamięć, wyobraźnię wsparta, stawia przed oczyma duszy nauki i fakta, zawarte w Objawieniu, a zwłaszcza w Piśmie świętem. Wewnętrzznemu usposobieniu odpowiada strona zewnętrzna. Samotność i milczenie zajęły miejsce zajęć codziennych. Lecz wszystko to jest właściwie tylko środkiem do celu; główna praca przypada rozumowi i woli. Prawdy wiary poddane są spokojnemu rozważaniu i stosowane do własnych uczynków i zaniedbań. Rozsądne zastanawianie się, samodzielne roztrząsanie, wspaniałości i szczegółowe postanowienia, oto czego żąda Ignacy. »Com uczynił dla Chrystusa? Co czynię dla Chrystusa? Co chcę czynić dla Chrystusa?« Trwoga i zawstydzenie, podziw i wdzięczność, ufność, wspaniałości i miłość pełna zapału mają być wywołane, całe serce poruszyć trzeba. Do przewodnika ćwiczeń duchownych należy pilnować, by to wzruszenie nie przerodziło się w chorobliwe podniecenie, ani gorliwość w nieroztropny zapal; on ma przestrzegać przed wykonywaniem nierozważnych ślubów, ma temu zapobiegać, by od ostrych pokut zdrowie szkody nie poniosło, jakkolwiek świętem jest życie zakonne, nie wolno mu go podczas rekolekcyj za-

lecać; tu trzeba, aby »dopuscił porozumiewać się Stwórcy ze stworzeniem i stworzeniu ze Stwórcą bez udziału osoby pośredniczącej«.

Starano się pilnie wysledzić źródła literackie, z których »Ćwiczenia duchowne« przypuszczalnie wypłynęły. W przedmowie, poprzedzającej pierwsze drukowane wydanie »Ćwiczeń« z roku 1548, powiedziano, że autor czerpał je nie tyle z książek, co z bożego oświecenia, że brał je z własnych wewnętrznych przeżyć, oraz z doświadczeń, poczynionych przy duchownem kierownictwie innych osób. Prawdopodobnie w Montserracie już dostało się Ignacemu do ręki *Ejercitatorio de la vida espiritual*, ułożone dla użytku zakonników przez Garcję de Cisneros, siostrzeńca kardynała Ximeneza i pierwszego opata zreformowanego klasztoru benedyktyńskiego w Montserracie, i w samymże Montserracie w roku 1500 ogłoszone drukiem. Być może, iż z dzieła tego zaczerpnął tytuł książki i niejeden szczegół. Cisneros zresztą większą ich część, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, zapożyczył z pism dwóch holenderskich »braci wspólnego życia«: Gerarda Zerbolts van Zutphen i Jana Mombaersa, na tych znów wywierali wpływ swój Bonawentura i inni. Niektóre myśli pochodzą z »Naśladowania Chrystusa« Tomasza à Kempis i z »Żywotu Zbawiciela« Ludolfa Saskiego. Rozmyślanie »o dwóch sztandarach« znajduje się po części już w średnio-

wiecznym kazaniu, przypisywanem św. Bernardowi. W nauce o trzech stopniach pokory, rzuca się w oczy podobieństwo do uwag Savonaroli o tym przedmiocie.

Lecz są to tylko pojedyncze kamienie. Budowa jako całość tworzy ściśle jednolite dzieło artystyczne, w nowym i zgoła osobliwym rodzaju. W szczególności zaś nikt z dawniejszych autorów tak gruntownych, jak Ignacy, nie udzielał nauk co do sposobu modlitwy, zwanego rozmyślaniem w ściślejszem znaczeniu. Daleki od wszelkiego marzycielstwa, odpowiada w zupełności rozumowi i wierze, daje się przyswoić, staje się szkołą życia.

Pozostanie to bądź co bądź pamiętnem zjawiskiem, iż żołnierz, który prócz czytania, pisania niczego się nie uczył, który co dopiero porzucił życie bardzo światowe, mógł napisać książkę duchowną, tak wnikającą w życie wewnętrzne, tak jasną, głęboką i pełną siły. Sam Ignacy i pierwsi jego uczniowie widzieli w tem szczególniejszy wpływ Ducha Bożego.

Książkę tę papież Paweł III polecił zbadać trzem teologom. Dana im była zupełna swoboda skreślenia i poprawiania; oni zaś udzielili jej swej aprobaty, nie zmieniawszy ani jednego słowa. Na prośbę Franciszka Borji, księcia Gandji, wydał Paweł III w dniu 31 lipca 1548 r. brewe, w którym oświadczył, że »Ćwiczenia« te pełne są

ducha pobożności i świętości; że przyczyniły się w wysokim stopniu do wielkich sukcesów, osiągniętych przez Ignacego i jego fundację; udziela im przeto swej aprobaty i pochwała we wszystkich częściach, zachęca też usilnie wiernych, by z nich korzystali.

Ignacy żądał, by duch jego zakonu wrażany był nowicjuszom za pomocą rekolekcyj. »To broń nasza« — zwykł był mawiać; nie chciał, by w Towarzystwie Jezusowem posługiwano się innym sposobem modlitwy. Rekolekcje to przyprowadziły mu też w r. 1543 pierwszego Niemca; był nim Piotr Kanizjusz, wówczas młodzieniec 22-letni. O ćwiczeniach duchownych pisał Kanizjusz z Moguncji do przyjaciela: »Tam nauczyłem się modlić się w duchu i w prawdzie; uczulem w sobie, że tak powiem, świeżą siłę, i ona z duszy przeszła mi na ciało; przemieniłem się z gruntu w nowego człowieka«.

Towarzystwo Jezusowe widziało każdego czasu w ćwiczeniach duchownych, a zwłaszcza w rozmyślaniach o królestwie Chrystusowem i o dwóch sztandarach, pierwowzór własnej racji bytu.

Wkrótce też i poza zakonem odczuto siłę ćwiczeń duchownych; tak poznali się na nich wielcy mistrze życia duchownego i święci owego czasu: Ludwik z Granady, Jan z Awily, Ludwik Błozjusz z zakonu św. Benedykta. Gerard Kalckbrenner, przeor kartuzji kolońskiej, pisał 31 maja

1543 r. do jednego ze swych braci zakonnych: »Takiego skarbu szukać należy, chociażby przyszło do samych Indyj się udać«. Teolog scholastyczny Jan Cochläus radował się, że teraz »nareszcie już znaleźli się także nauczyciele dla serca«. Dietrich van Heeze, który był poprzednio prywatnym sekretarzem i spowiednikiem papieża Hadrjana VI, upewniał w roku 1543, iż rekolekcje tak wielką przyniosły mu korzyść, że nie oddałby jej, choćby mu wzamian za nią świat cały ofiarowywano. Także i św. Franciszek Salezy ćwiczenia duchowne zalecał, a św. Karol Boromeusz wprowadził je wśród duchowieństwa medjolańskiej prowincji kościelnej.

Wszystkie zakony przyjęły zwyczaj odprawiania w oznaczonych czasach ćwiczeń duchownych. Książeczka rekolekcyjna Ignacego, pisze pewien nowoczesny historyk, »wywarła wpływ potężny i decydujący na życie duchowne jego zakonu i duchowieństwa katolickiego wogóle«. Powinien był dodać, iż ona swą moc przeobrażającą i świętą wykazała także wśród osób świeckich wszelkiego stanu i do dziś dnia wykazuje.

Ignacy przebył w Manrezie około roku. Żarliwość tego człowieka czynu znów go potem w świat pchnęła. Wybrał się do krainy, która tylekroć razy stanowiła cel podróży średniowiecznych krzyżowców: do Palestyny. W ubogiej odzieży pielgrzyma odpłynął z Barcelony do

Gaety i stamtąd udał się do Rzymu. W niedzielę Palmową 29 marca 1523 r. wstąpił po raz pierwszy w progi Wiecznego Miasta; zabawił tu dwa tygodnie i otrzymał błogosławieństwo papieża Hadrjana VI. Następnie o żebranym chlebie udał się do Wenecji, gdzie wsiadł na okręt płynący do Ziemi świętej.

W Jerozolimie dusza jego opływała w nadmiar pociech niebiańskich; chętnie byłby całe życie swe spędził tam jako misjonarz wśród muzułmanów, lecz prowincjał franciszkanów, powołując się na zarządzenie papieskie, pod grozą klątwy kościelnej wracać mu kazał. Pielgrzym poznał w tem wolę bożą. Powrócił do Barcelony jak wyszedł — o żebranym chlebie.

Co miał teraz począć z sobą? Myślał o wstąpieniu do klasztoru; wkońcu jednak postanowił zachować raczej wolność w gorliwej pracy na chwałę bożą. Należało przedewszystkiem, i to mu było całkiem jasnym, zdobyć sobie naukowe wykształcenie. I tak przesiedział, ów trzydziestoletni mężczyzna, dwa lata na ławie szkolnej w Barcelonie, z małymi chłopcami, ucząc się łaciny. Dwie pobożne panie, Izabela Roser i Inés Pascual dostarczały mu pożywienia. Dla odbycia wyższych studjów udał się następnie na uniwersytety do Alcalá i Salamanki. W tych trzech miastach dawał też rekolekcje i inne uczynki miłosierne względem bliźnich wypełniał. Zwolennicy, któ-

rzy do niego przystali, ubierali się jednakowo w grube sukno brunatnego koloru, co im wśród ludu przyniosło nazwę *Los ensayalados* (tj. »grubych habitów«). Wiele dusz pobożnych, zwłaszcza niewiast, szukało u Ignacego duchownej nauki i uspokojenia. Na tem wszakże cierpieć poczęły studja, a musiało też zwrócić na siebie uwagę. Ignacy popadł w podejrzenie, jakoby był wysłańcem owych fanatyków *Alumbrados* (tj. »oświeconych«), którzy, pod pozorem otrzymanych bezpośrednich natchnień bożych, szkodliwe błędy po kraju rozsiewali. Aresztowany, 42 dni przesiedział w więzieniu w Alcalá, 22 dni w Salamance. obrońcy nie przyjął. Wyrokiem władz kościelnych w obu miastach orzeczono jego niewinność. Ignacy w późniejszym czasie miał sposobność złożenia królowi portugalskiemu Janowi III-mu uroczystego zapewnienia, iż z »oświeconymi« (*Alumbrados*) nigdy nie przestawał, ani ich znał.

Teraz wszakże ciągnęło go do owego miejsca, które zawsze jeszcze, jak i przed wiekami, uchodziło za punkt środkowy chrześcijańskiej wiedzy: do paryskiej Sorbony. Dnia 2 lutego 1528 r. stanął w Paryżu. Siedm lat zeszło mu teraz na poważnej, naukowej pracy. Po trzech i pół latach studjów filozoficznych, uzyskał Ignacy stopień magistra; z kolei począł zajmować się teologją. Celem uzbierania jałmużny na kosztą swego u-

trzymania, niejednokrotnie w czasie wakacyjnym zjawiał się w Antwerpji i Brügge, a raz także w Londynie.

W Paryżu popadł Ignacy ponownie w podejrzenie o ukryte kacerstwo; lecz inkwizytorzy, Mateusz Ori i Tomasz Laurencjusz, obaj z zakonu dominikańskiego, stwierdzili jego niewinność. Laurencjusz wystawił mu, jak również towarzyszącom jego, urzędowe, zaszczytne wielce, świadectwo; książka Ćwiczeń duchownych tak mu się spodobała, iż odpis jej sobie uprosił.

Adepci, których był Ignacy w Hiszpanji dookoła siebie zgromadził, opuścili go; natomiast znalazł na Sorbonie w Paryżu towarzyszy, którzy się już od niego nie odłączyli nigdy. Pierwszym z nich był sabaudczyk Pierre Le Fèvre, zwany zwykle Piotrem Faberem, odznaczający się dziecięcą pobożnością i żądzą wiedzy, jeden z tych, co w tym samym z nim domu i pokoju w kolegium św. Barbary mieszkali. W tymże domu przebywał także młody szlachcic z Nawarry, obdarzony świetnym umysłem i wielkie mający ambicje: był to Franciszek Xaver (Ksawery). Ignacy pozyskał sobie serce młodego profesora i odwiedził go od obcowania z kolegami, którzy w duszy odpadli byli od nauki Kościoła. Wkońcu odbył Franciszek rekolekcje i całą duszę swą złożył w ręce przyjaciela. Do tej samej decyzji doszli drogą rekolekcyj Hiszpanie Diego Laynez i Al-

fonso Salmeron; do nich przyłączyli się Portugalczyk Simon Rodriguez, Hiszpan Nicolás Bobadilla, Sabaudczyk Claude Le Jay, Francuzi Pascal Broet i Jean Codure. Wszyscy już prawie uzyskali byli na wydziałę filozoficznym bilet doktorski.

W uroczystość Wniebowzięcia Najśw. Marji P., 15 sierpnia 1534 r., dokonali tego ważnego kroku, który niejednokrotnie już nazwany został założeniem kamienia węgielnego pod Towarzystwo Jezusowe: Ignacy z sześcioma pierwszymi towarzyszami — Le Jay, Broet i Codure jeszcze do nich nie należeli — udali się za miasto na wzgórze Montmartre, na stoku którego stała cicha kaplica pod wezwaniem św. Djonizego, należąca do PP. Benedyktynek. Piotr Faber, jedyny w ich gronie kapłan, odprawił Mszę św. W czasie gdy ją sprawował, ślubował każdy poszczególne w obliczu Przen. Sakramentu zachowanie ubóstwa i doskonałej czystości, odbycie pielgrzymki do Jerozolimy i następnie pracę nad zbawieniem dusz. Dopóki wszakże odbywali jeszcze studja, majątki własne postanowili zatrzymać. W celu odbycia pielgrzymki zamierzali udać się do Wenecji i tam przez rok cały wyczekiwać sposobności dostania się na okręt; gdyby się zaś sposobność taka nie nadarzyła, w takim razie zobowiązali się rzucić się do nóg papieżowi i siły swe oddać do jego rozporządzenia. W ciągu

dwóch lat następnych powtórzyła się w tym samym dniu ta sama uroczystość; teraz już, a przynajmniej w roku 1536, wzięli w niej udział trzej nowoprzybyli.

Ignacy tymczasem widział się zmuszonym wyjechać, dla poratowania starganego zdrowia, na czas jakiś w strony rodzinne. Stamtąd udał się do Wenecji. W liczbie tych, którzy tu pod jego przewodnictwem ćwiczenia duchowne odbyli, znajdował się Piotr Contarini i Kasper de Doctis, audytor nuncjusza papieskiego, Hieronima Verrallo. Oszczerstwo i na weneckie laguny podążyło za gorliwym o dusz zbawienie mężem. Doszło do tego, iż wdrożono przeciw niemu dochodzenie sądowe. Lecz wyrok zapadł na korzyść Ignacego. De Doctis z wysokim uznaniem odzywał się o jego nauce i życiu.

Ignacy przybył do Wenecji jako pierwszy z dziesięciu towarzyszy. Franciszek Ksawery i pozostałych ośmiu podążyli za nim w zimie 1536 r. pieszo z Paryża, ze skórzaną torbą na plecach, w której mieściły się biblja, brewjarz i skrypta z wykładów, z różańcem na szyi. W Wenecji zatrzymali się półtrzecia miesiąca; zajęcie ich polegało na posługach co do ciała i duszy, oddawanych chorym po szpitalach. Potem udali się do Rzymu dla otrzymania błogosławieństwa papieskiego na krzyżową wyprawę.

Sam tylko Ignacy pozostał w Wenecji. Dwóch

było mężów, których się w Rzymie obawiał: kardynała Carafę, z powodu poważnej różnicy zdań, jaka się niedługo przedtem pomiędzy nimi w Wenecji objawiła i Piotra Ortiz, cesarskiego pełnomocnika przy papieżu, który niegdyś, jako profesor wszechnicy paryskiej, powziął do Ignacego urazę. A jednak nie kto inny, lecz ten sam właśnie Ortiz przybyłych cudzoziemców gorąco papieżowi polecił. Paweł III zarządził, by paryscy teologowie, podczas obiadu, z rzymskimi doktorami prowadzili dysputy. Wstawszy od stołu, kazał im stawić się przed sobą, roztworzył ramiona i oświadczył, jak bardzo się cieszy, widząc tak wielką uczoność, połączoną z tak wielką skromnością. Na podróż do Jerozolimy chętnie udzielił im pozwolenia, dwa razy, nie proszony, dał pieniędzy na drogę, zauważył jednak, iż nie sądzi, aby im się udało dotrzeć do Świętego Miasta. Także i kardynał Carafa okazał się bardzo łaskawym.

Pielgrzymi powrócili teraz do Wenecji. Na mocy specjalnego pozwolenia, udzielonego im przez papieża, otrzymali tam Ignacy, Franciszek Ksawery i pięciu innych święcenie kapłańskie.

Teraz chodziło o to, by doczekać się okrętu. Towarzysze, w liczbie dziesięciu, rozeszli się w międzyczasie do różnych miast Rzeczypospolitej. Verallo udzielił im władzy głoszenia kazań i słuchania spowiedzi. Lecz co w ciągu lat wielu

nie wydarzyło się ani przedtem, ani potem, to właśnie stało się teraz: z powodu wojny pomiędzy Wenecją a Turcją, ani jeden okręt przez cały rok nie odpłynął do Ziemi Świętej. A więc Ignacy i towarzysze jego zwolnieni zostali od ślubu, trzeba im było szukać Jerozolimy w Rzymie. Przedtem jednak zamierzali udać się do włoskich uniwersytetów, aby »zobaczyć — jak się wyraża Laynez — czy Bóg tego lub owego akademika nie powoła do ich sposobu życia«. Tu wszakże powstała wątpliwość. Towarzyszów Iniga w Paryżu przezwano »Inigistami«. Mówili tedy: Jeśli nas zapytają, do jakiego zgromadzenia my właściwie należymy, jaką damy odpowiedź? Zgodzili się mówić, iż należą do Towarzystwa Jezusowego; miłość ku Jezusowi ich złączyła, Jezus jest ich przewodnikiem, chwała Jezusowa jedynym celem ich walki. Prawdziwych też sług Chrystusowych poznała w Ferrarze Wiktorja Colonna w osobie tych dwóch, którzy do miasta tego zostali przydzieleni. Szlachetna ta niewiasta udzielała im wsparcia — byli to Le Jay i Rodriguez — udawała się do nich w sprawach sumienia i zwróciła na nich uwagę księcia Herkulesa II. Ten obecny był na kilku ich kazaniach i odbył spowiedź przed Le Jay'em.

Ignacy z Faberem i Laynezem udał się pieszo do Rzymu, by tamtym drogę utorować. Na ostatnim postoju w La Storta, modląc się w miejsco-

wym kościółku, uczuł się Ignacy głęboko poruszonym w duszy: zdało mu się, iż widzi Chrystusa i słyszy z ust jego te słowa: »Chcę być wam łaskawym«. Opowiedział to Ignacy swym towarzyszom, dodając: »Co z nami w Rzymie uczynią, nie wiem; może nas tam ukrzyżują; ale jedno wiem na pewno: Chrystus będzie nam łaskawy«. To widzenie utwierdziło go też mocno w zamiarze wypisania Imienia Jezusowego na swoim i towarzyszy swych sztandarze.

Kurja przyjęła ich naogół chłodno. Ignacy mówił, iż widzi okna pozamykane. Papież wszakże chętnie przyjął usługi nowego zgromadzenia. Faber i Laynez musieli przyjąć na siebie wykłady teologii w Sapienzy, Ignacy starał się zdobyć prawo obywatelstwa dla swoich ćwiczeń duchownych. Posel cesarski Piotr Ortiz udał się z nim na czterdzieści dni do Monte Cassino. Stanąwszy u kresu rekolekcyj, sam sobie wydawał się innym zgoła człowiekiem: w tych czterdziestu dniach — mówił — takiej się nauczył filozofji, o jakiej w ciągu długich lat swej profesorskiej pracy w Paryżu żadnego nie miał pojęcia. Poddał się też, pod kierunkiem Ignacego, ćwiczeniom duchownym kardynał Contarini, a tak był niemi zachwycony, iż książkę rekolekcyjną sam własnoręcznie przepisał; dziękował Bogu, iż zesłał mu wkońcu człowieka takiego, jakiego od dawna już

pragnął. Ortiz i Contarini stali się wielkimi przyjaciółmi i protektorami Towarzystwa.

Pierwsze schronienie znalazł Ignacy ze swymi współbraćmi na stoku Monte Pincio, w domku znajdującym się w pośrodku ogrodu w pobliżu Trinità de Monti; ustąpił im go dla miłości Chrystusa niejaki Quirino Garzoni, szlachcic rzymski. Środki do życia zdobywali zebrząc. Mieszkanie wszakże było zbyt odległe; toteż około Wielkiejnocy 1538 r. przenieśli się do centrum miasta; dokładnie miejsca tego dziś określić nie można; a następnie, w tym samym jeszcze roku, wynajęli u Antonina Frangipaniego, w okolicy Kapitolu przy Torre del Melangolo, obszerny budynek, do dziś dnia stojący (Palazzo Delfini przy via Delfini, nr. 16).

W maju 1538 r. wszyscy towarzysze, w liczbie dziesięciu, byli już zebrani w Rzymie. Znaleźli — jak o tem pisał Ignacy do Hiszpanji — grunt ubogi w dobre, a do zbytku opływający w złe owoce. Kardynał legat Wincenty Carafa udzielił im pozwolenia na głoszenie słowa bożego i sprawowanie sakramentów. Zaczęli tedy w różnych kościołach i na placach publicznych miewać kazania i katechizmowe nauki. Dziwili się Rzymianie na widok kapłanów, idących na ambone, a nie noszących zakonnego habitu; było to rzeczą tak niesłychaną, iż wielu mówiło: »Myśmy sądzili, że tylko mnisi mogą mawiać kaza-

nia«. I to także było nowością, iż przemawiali z ambony po Wielkiejnocy; kazania bowiem w Rzymie w zwyczaju były tylko w czasie Adwentu i czterdziestodniowego postu. Ignacy głosił słowo boże w języku hiszpańskim w S. Maria di Monserrato. Liczne osoby zaczęły teraz przystępować często do spowiedzi i do Komunii św. To zaś, jak opowiada Rodriguez, w niektórych włoskich miejscowościach całkiem prawie wyszło było ze zwyczaju; jeśli kto co tygodnia zbliżał się do Stołu Pańskiego, stawał się przedmiotem rozmów w mieście; pisano o tem do nieobecnych przyjaciół, jako o rzadkiej nowości.

»Reformowani kapłani«, jak nazywano Ignacego i jego współbraci, coraz więcej zyskiwali zaufania u ludu. Wkrótce doszło do tego, iż powiedzieć sobie musieli: »Chociażby liczba nasza w czwórnasób większą była, nie bylibyśmy w stanie uwzględnić wszystkich życzeń«.

Były to radosne początki; ale zrywała się już burza, grożąca złamaniem młodej roślinki. Paweł III w marcu 1538 r. udał się do Nizy, by przywrócić pokój pomiędzy Karolem V i Franciszkiem I. Wówczas to uznał Augustjanin Augustyn Piemontese, iż nadeszła chwila do rozsiewania po Rzymie protestanckich teoryj, które w sercu swem wyznawał. Zaczął je głosić, lecz ostrożnie. Loyola wszakże i jego pomocnicy przejrżeli tego człowieka. Gdy upomnienie, dane mu w czte-

ry oczy, skutku nie odniosło, dali mu odprawę z ambony. To mnicha doprowadziło do wściekłości, a także kilku Hiszpanów z grona jego wielbicieli. Ci tedy zaczęli rozsiewać jak najcięższe podejrzenia przeciw nowym kaznodziejom. Ponieważ zaś w szerokich kołach dawano im wiarę, przeto począł Ignacy nalegać, by sprawę zbadać; z łatwością przyszło mu kłamać, że pewnemu Nawarczykowi, będącemu głównym narzędziem w ręku oszczerców, i uzyskać, że go z Rzymu wydalono. Tamci wówczas złożyli deklarację, iż uważają Ojców za wolnych od wszelkiego zarzutu; na tem miano przerwać dochodzenie i uważać sprawę za pogrzebaną; pozyskali też dla tego sposobu wyjścia z sytuacji kardynała legata, jakoteż i gubernatora miasta. Przed Ignacym jednak i jego współbraćmi zamknęłaby się wszelka owocna praca, jeśliby z imienia ich nie starto choćby najmniejszej plamy i nie usunięto wszelkiego podejrzenia co do nieskażoności ich nauki. Dlatego to obstawał Ignacy niezłomnie przy tem, by przeprowadzono prawidłowy proces sądowy. Udał się do Frascati do Pawła III i po długiej z nim rozmowie uzyskał rozkaz, by proces doprowadzono do końca i wyrok ogłoszono według wszelkich wymagań sądowej procedury. Nie łatwo przyszło mu to osiągnąć; przeciwnicy bowiem potężne posiadali stosunki, a nie brakło im też doświadczenia w intryganckiej grze. Ignacemu

wszakże przyszyły teraz na pomoc szczególne okoliczności. W tym właśnie czasie znajdowali się w Rzymie trzej sędziowie, przed którymi już stawał: wikarjusz biskupi z Alcalá, inkwizytor paryski Ori i audytor nuncjusza weneckiego; ci je ośmieli i ośmielili doświadczenia i przypięli się przyjaciel. Z Vicenzy, Bolonji, Sieny, gdzie Ojcowie pracowali, świetne nadeszły świadectwa. Także kardynał Contarini i księżę Ferrary ujeli się za prześladowanymi. Nareszcie, po ośmiu miesiącach przewlekłego sporu, wydany został wyrok sądowy przez Benedykta Conversiniego, biskupa z Bertinoro, jako najwyższego sędziego w Rzymie dla spraw tak świeckich jak duchownych: wszystkich dziesięciu uznał za całkiem niewinnych; wszystkie przeciw nim wniesione zażalenia za bezpodstawne.

Teraz mógł Ignacy w spokoju odprawić pierwszą Mszę św.; stało się to w uroczystość Bożego Narodzenia 1538 r. w kościele S. Maria Maggiore.

Tej samej zimy 1538/39 r. nadarzyła się nowa sposobność wyświadczenia Rzymianom posług chrześcijańskiego miłosierdzia. Panowały w Rzymie wielkie zimna i głód; na ulicach leżeli ludzie skostniali, nawpół żywi. Jeśli tedy Ojcowie przed wieczorem obchodzić miasto i zbierać opuszczonych, których następnie umieszczali w obszernych pokojach pałacu Frangipanich. Tu rozdawali im

chleb wyżebrany, przyrządzali posłanie na słomie, uczyli zasad wiary i modlitwy. Miewali niekiedy pod swą opieką po 200 do 400 osób. Dobry przykład innych też gorliwością zapalił. Kardynałowie i magnaci składali datki pieniężne, w szpitalach miejskich znalazło pomoc i przytułek około 3000 ubogich i chorych.

Kiedy nas — opowiada Piotr Faber w swym pamiętniku — uznano za niewinnych, oddaliśmy się Pawłowi III bezwzględnie do dyspozycji. Papież usługi ich przyjął z radością i okazał chęć wysłania w najbliższym czasie i na różne strony niektórych członków pobożnego związku. Ci jednak przed rozejściem się ważne powzięli decyzje. Sam Ignacy objaśnił to później, przez sekretarza zakonu, Polanco, Rektorowi kolegium bolońskiego, który pracował nad sprawozdaniem o założeniu Towarzystwa Jezusowego. Polanco pisze: »Pierwsi towarzysze, których nasz ojciec Ignacy zgromadził dokola siebie w Paryżu, i on sam, udali się do Włoch nie po to, by założyć zakon, lecz aby pójść do Jerozolimy, głosić słowo boże wśród niewiernych, i tam umrzeć. Lecz nie mogli dotrzeć do Jerozolimy; wskutek tego zmuszeni byli pozostać we Włoszech; a gdy ich później papież użył do służby Boga i Stolicy Apostolskiej, wzięli pod rozwagę utworzenie korporacji«. Jeszcze jaśniej wyraził się Polanco w swym życiorysie założyciela zakonu: »Kiedy

w roku 1538 — powiada — zebrali się ponownie w Rzymie, nie powzięli jeszcze zamiaru założenia trwałego związku lub zakonu«. Ale już w r. 1539, jak pisał później Laynez, »uciekliśmy się do modlitwy, a potem, zebrawszy się, wzięliśmy pod rozwagę sprawę naszego powołania, punkt po punkcie. Każdy z nas wypowiadał się z tem, co mu się zdawało przemawiać za i przeciw. Na pierwszym miejscu zapadła jednomyślna uchwała, iż założymy stowarzyszenie trwałe, któreby nie zeszło do grobu wraz z nami«.

Zrazu zdania w sprawie zakonnego posłuszeństwa bardzo były podzielone. Ignacemu wprawdzie stale wszyscy inni szacunek i dobre chęci okazywali; urząd przełożonego wszakże, któremu ulegano w duchu dobrowolnego posłuszeństwa, zmieniał się zrazu wśród pojedynczych grup z tygodnia na tydzień, potem zaś, gdy wszyscy byli już w Rzymie, z miesiąca na miesiąc. Czy należało teraz do ślubów ubóstwa i czystości, złożonych już w Wenecji w ręce Veralla, dodać jeszcze ślub posłuszeństwa względem jednego z ich grona i tym sposobem przekształcić się w zakon? Jak widać z ówczesnych zapisków, radzono nad tem około trzech miesięcy wśród ciągłej modlitwy i ćwiczeń pokutnych. Wreszcie oddali wszyscy swe głosy za rzezonym ślubem.

Ignacemu dano polecenie, by ułożył podstawy zakonnej konstytucji. Kardynał Contarini, który

członków stowarzyszenia za swoich »szczególniejszych synów duchownych w Chrystusie« uważał, podjął się ułożoną konstytucję papieżowi do potwierdzenia zalecić. Paweł III przekazał dokument ten Maestrowi del Sacro Palazzo, Tomaszowi Badia z zakonu kaznodziejskiego. Po dwumiesięcznym badaniu oświadczył tenże, iż wszystko w nim uważa za »pobożne i święte«. Z Tivoli, gdzie przebywał Paweł III, mógł Contarini dnia 3 września 1539 r. przesłać Ignacemu wiadomość, iż otrzymał zarys konstytucji wraz z orzeczeniem Badii. »Dziś przeczytałem papieżowi wszystkie pięć rozdziałów, które mu się bardzo podobały, tak, iż potwierdził je, wyrażając się o nich jak najżyczliwiej«. Z innych świadectw wiadomo, że papież, po wysłuchaniu sprawozdania Contariniego, zawołał: »Tu jest palec boży!« Potem wznosił rękę do błogosławieństwa, i rzekł: »Błogosławimy tę pracę, pochwalamy ją i potwierdzamy«. Kardynał Ghinucci miał, z rozporządzenia papieża, wygotować odnośne brewe, albo też, wedle uznania, bullę.

Wszakże do chwili ukazania się tego dokumentu daleka jeszcze była droga. Papież nakazał, aby zarys konstytucji wprzód jeszcze trzem kardynałom oddany był do przejrzania. Jeden z nich, Bartłomiej Guidiccioni, mający wielkie wpływy, z zasady przeciwny był wszelkim nowym zakonom; należałoby przeciwnie, tak twierdził, liczbę

już istniejących ograniczyć do czterech. Skreślonego przez Ignacego zarysu nie chciał nawet czytać. Loyola wszakże nie stracił nadziei. Nakazał, aby się bardzo w tej intencji modlono i ślubował, iż trzy tysiące Mszy odprawić poleci. Z zewnątrz tymczasem nadchodziły pomyślne wiadomości. Kardynał Ennio Filonardi unosił się w pochwałach dla Fabera i Layneza, których sobie wyprosił u papieża do pracy w swoim okręgu legacyjnym. Kardynał Franciszek Bandini, arcybiskup sjeneński, wyrażał się bardzo przychylnie o Broet'cie. Nagle zażądał kardynał Guidiccioni, by mu pokazano projekt stowarzyszenia; spodobał mu się wielce, oświadczył, że w tym wypadku należy uczynić wyjątek i silnie popierał potwierdzenie. Sprawa sporządzenia bulli ruszyła z miejsca.

Ważny ten dokument wydany został przez Pawła III w Rzymie dnia 27 września 1540 r. Zaczyna się od wyliczenia dziesięciu pierwszych członków; oni to »z natchnienia Ducha Świętego, jak godzi się przypuszczać«, opuścili świat i połączywszy się, już od lat kilku w winnicy Pańskiej bardzo dzielnie pracowali. Następują z kolei podstawy konstytucji zakonnej, nazywane zwykle »formułą instytutu« Towarzystwa. Wyraz »societas« wzięty jest w znaczeniu bojowym, jako armja, gromada wojowników, »Imieniem Jezusowem przyozdobiona« i złożona z mężów »walczą-

cych pod sztandarem Krzyża o sprawę bożą i chcących służyć wyłącznie tylko Chrystusowi Panu i Rzymskiemu Papieżowi, zastępcy jego na ziemi«. Jako szczególny cel zakonu wymienione jest szerzenie chrześcijańskiego sposobu myślenia i życia, i krzewienie wiary przez kazania, duchowne ćwiczenia, naukę wiary, słuchanie spowiedzi i inne uczynki miłosierne. Do zwykłych trzech ślubów zakonnych: ubóstwa, czystości i posłuszeństwa dodany jest ślub, przez który członkowie zakonu szczególniejsze wobec papieża przyjmują zobowiązania; mocą tego ślubu, powiedziano tam, »gdzie chodzi o pracę nad zbawieniem dusz i o rozkrzewienie wiary, musimy wykonać natychmiast każdy rozkaz obecnego papieża i jego następców bez żadnego wahania lub wybiegu, o ile to od nas zależy, bez względu na to, czy poślą nas pomiędzy Turków lub do jakichkolwiek innych niewiernych, choćby też do krajów zwanych Indjami, lub do jakichkolwiek błędnowierców albo schizmatyków, albo też do jakich bądź wiernych«. Zwrócona jest następnie uwaga na wykład początkowych zasad wiary, jako na rzecz w szczególniejszy sposób niezbędną i bogatą w owoce. Przełożony, którego członkowie zgromadzenia obiorą, ma określić urzędy i rozdawać je. Dóbr nieruchomych i stałych dochodów, ani pojedynczy członkowie, ani ogół posiadać nie będzie, z wyjątkiem kolegów, prze-

znaczonych do kształcenia młodych zakonników; wychowanie tychże pod względem duchowym i wyszkolenie naukowe pozostawione jest w zupełności Towarzystwu. Godziny kanoniczne mają członkowie zakonu odmawiać każdy osobno, nie wspólnie. Papież zatwierdza całe to zakonne urządzenie, przyjmuje członków pod szczególniejszą swoją i Stolicy Apostolskiej opiekę i pozwala im ułożyć sobie jeszcze bardziej szczegółowe ustawy. Liczba członków zakonu ma być jednakże ograniczoną do sześćdziesięciu.

Ignacy bardzo był zadowolony, iż na razie tyle uzyskał i nie szczędził słów gorącej podziękii kardynałowi Contariniemu; a także i kardynałowi Guidiccioniemu i on i towarzysze jego wiele okazali wdzięczności.

W kwietniu 1541 roku obrany został Ignacy Generałem zakonu wszystkimi głosami obecnych i nieobecnych pierwszych dziewięciu towarzyszy — jeden tylko z nieobecnych kartki wyborczej nie nadesłał. »Obieram go — pisał Jan Codure — gdyż spostrzegalem w nim stale jak największą gorliwość o chwałę bożą i zbawienie dusz; on też stawał się zawsze najmniejszym wpośród nas wszystkich i wszystkim służył«.

Dnia 22 kwietnia 1541 roku odbyli obecni w Rzymie członkowie Towarzystwa, w liczbie sześciu, pielgrzymkę do siedmiu głównych kościołów i w jednej z kaplic bazyliki S. Paolo fuori

le Mura, przed krucyfiksem, który się dotąd zachował, podczas gdy Ignacy Mszę św. odprawiał, złożyli uroczyste śluby.

Nowi profesii tak chlubnie wykazali przymioty, iż już w trzy lata potem (14 marca 1544 r.) papież nową bullą zniósł całkowicie zarządzenie, mocą którego liczba członków zakonu nie mogła przekraczać sześćdziesięciu; jednocześnie postanowił, iż ustawy, które zakon sam sobie ułożył, miały tem samem już posiadać papieską aprobatę. Brewe z czerwca 1545 r. upoważnił następnie Towarzystwo »wobec wielkiego pożytku, jaki ono Domowi bożemu przyniosło i nieustannie przynosi«, do głoszenia kazań wszędzie, do rozgrzeszania wszystkich wiernych od wszystkich grzechów, nawet Stolicy świętej zastrzeżonych, z wyjątkiem tylko wypadków przewidzianych w bulli *In Coena Domini*, do udzielania też wszystkim Komunji i innych sakramentów, bez uprzedniego zezwolenia biskupa lub proboszcza, o ileby to nie było ze szkodą osób trzecich.

W tym czasie okazało się, że niejedynemu dzielny kapłan, nie odpowiadający wprawdzie pod względem wykształcenia i innych wymagań, które zakon stawiał swym profesom, chętnieby jako pomocnik pracował u boku tych zakonników. Paweł III przeto w roku 1546 pozwolił przyjmować też i takich; mieli oni po skończonym czasie próby składać trzy śluby, wszakże jako proste, nie

uroczyste. Podobnie pozwolono też, jak to było w zwyczaju innych zakonów, przyjmować Braci laików do zajęć domowych.

W następnym roku udzielił papież odpustu zupełnego, którego dostąpić mógł raz w życiu, ktoby odprawił modlitwy ku czci Męki Pańskiej i odbył spowiedź przed Ojcem Jezuitą. Założycielowi nowego Towarzystwa nadał ponadto znaczne odpusty z prawem udzielania ich drugim. Zakładanie nowych Domów popierane było różnemi łask dowodami.

Uwieńczeniem zarządzeń papieża była bulla, wydana przezeń na cztery tygodnie przed śmiercią, wskutek zabiegów Franciszka Borji. Już od lat było pragnieniem Ignacego, by Towarzystwo osiąść mogło tak zwane *Mare magnum* w rodzaju tego, jakie otrzymali byli Franciszkanie od Sykstusa IV, tj. bullę, w którejby raz na zawsze zebrane były wszystkie upoważnienia, przywileje i łaski, o które skądinąd raz po raz trzeba było kołatać.

Bulla ukazała się 18 października 1549 r. Na mocy jej Towarzystwo zwalnia się dla zasług jego od obowiązku płacenia daniny i od wszelkiej biskupiej jurysdykcji. Bez zgody Generała nie wolno żadnemu członkowi zakonu przyjmować ani biskupstwa, ani żadnej innej kościelnej godności. Nie może zakon być przymuszonym do objęcia pracy duszpasterskiej nad zakonni-

cami. Wiernym pozwala się odbywać spowiedź i Komunię św. przyjmować u kapłanów zakonnych, bez obowiązku zwracania się o pozwolenie do swego proboszcza; wyjęta jest tylko Komunia w dniu Wielkanocy i Wiatyk. Dalej następują inne rozliczne łaski i pełnomocnictwa wszelkiego rodzaju; dawniejsze przywileje zatwierdzają się a dla krajów misyjnych znacznie jeszcze rozszerzają.

Od roku 1539, gdy Towarzystwo Jezusowe otrzymało pierwsze potwierdzenie, także i zewnętrzne warunki jego bytu poprawiać się zaczęły. Do Ojców, mieszkających w najętym domu Frangipanich, przyłączył się w tym roku Piotr Codacio, zrzekając się jednocześnie bogatej prebendy. Pierwszy ten Jezuita włoskiej krwi, ze szlacheckiego rodu, lubiany był w sferach wyższego duchowieństwa. Przyjął na siebie troskę o pomieszkanie, pożywienie i odzież swych współbraci.

Dawała się przedewszystkiem odczuwać potrzeba kościoła. Ignacy zwrócił uwagę na kościół parafjalny S. Maria degli Astalli, zwany u ludu Maria della Strada, znajdujący się nieopodal Kapitolu i w pobliżu S. Marco, letniej rezydencji papieskiej. Był to budynek ciasny i niewygodny, lecz w miejscu bardzo odpowiedniem dla pracy apostolskiej. Codacio udał się do papieża i prosił go o podarowanie kościoła zakonowi. Otrzymał go w r. 1540, bulla wygotowana została w r.

1541, a w r. 1542 wziął Ignacy w posiadanie kościół z przynależnościami. Codacio przyjął na siebie zarząd parafji; prócz tego nabył w roku 1543 pobliski i całkiem prawie opuszczony kościół parafjalny S. Andrea de la Fracta, z prawem zniesienia tak kościoła jak i parafji. W sześć lat później dodał papież do tych kościołów parafjalnych jeszcze dwa inne, wybudował natomiast w S. Marco cztery kaplice i tam przeniósł duszpasterstwo parafjalne owych czterech świątyń. Celem lepszej obsługi swego kościoła, przeniósł się Ignacy w r. 1541 na nowe ciasne pomieszkanie, znajdujące się w pobliżu. Codacio zbierał jałmużny wśród kardynałów i biskupów, rozbudował kościół i wystawił obok niego dom generalski; przenosiny nastąpiły w r. 1544. Obraz Najśw. Panny w wielkim ołtarzu, na który podówczas mało zwracano uwagi, otoczony został z biegiem czasu wielką czcią i zasłynął łaskami. Na miejscu kościoła S. Maria della Strada stanął po kilkudziesięciu latach, ze szczodrobliwości kardynała Aleksandra Farnese, wnuka Pawła III, wspaniała świątynia *Il Gesù*.

Uległość swą i wdzięczność dla papieża wykazał zakon naprzód pracą swą nad papieskim Rzymem. Nie brakło tu do nawracania niewiernych i grzeszników. Wpśród licznych Żydów wielu było takich, których troska o doczesne warunki odstraszała od przyjęcia chrześcijaństwa.

Udało się Ignacemu skłonić papieża, który z tradycyjną łagodnością z Żydami się obchodził, do wydania brewe, datowanego 21 marca 1542 r., które opiewa jak następuje: Żaden Izraelita, z powodu przyjęcia wiary chrześcijańskiej, nie ma postradać swej majątności. Także i dzieciom izraelskim, przyjmującym chrześcijaństwo wbrew woli rodziców, ma być zachowana całkowita część ich dziedzictwa. Co zdobyte zostało lichwą lub w inny sposób z krzywdą bliźniego, ma być zwrócone prawowitym właścicielom, jeśli się dadzą odszukać; w przeciwnym razie mogą to nowonawróceni zatrzymać. Te same przywileje mają też służyć wszystkim niewiernym, którzy chrzest przyjmują. Dla większego jeszcze ułatwienia nawróceń, urządzono, za poradą Loyoli, dwa domy dla katechumenów, jeden dla mężczyzn, drugi dla niewiast; utworzyło się też bractwo ze znanych i wpływowych w mieście osób; kardynał Marcelli Crescenzi został jego protektorem. W lutym 1543 roku wydał Paweł III bulłę, która dzieło to pochwałała i w duchowne łaski wyposażyła. W niedzielę przewodnią 1544 roku, przy tłumnem zebraniu ludu, udzielił pewien biskup uroczyste chrztu św. pięciu Izraelitom, w tej liczbie jednemu rabinowi, cieszącemu się sławą wielkiej uczości. Ogółem ochrzczono w roku 1544 około czterdziestu Żydów, Maurów i Turków; dziesięć

ciu innych w początku następnego roku sakrament ten otrzymało.

Lepiej jeszcze powiodło się inne przedsięwzięcie, skierowane ku usunięciu zła, które jako spadek po epoce renesansu ciągle jeszcze grasowało po Rzymie. Nierządnicę, jak dawniej, tak teraz, prawdziwą były plagą stolicy świata. Niedosć było poruszać je do łez przez pokutne kazania; chcąc uchronić je od ponownych upadków, trzeba było dać im jakieś miejsce przytułku. Dla chcących przywdziać welon zakonny, istniał wprawdzie już klasztor della Maddalena, ten jednak wystarczyć nie mógł dla wszystkich, zgłaszających się o przyjęcie, zwłaszcza, iż znajdowały się między nimi także mężatki, które porzuciły swych mężów. Ignacy wystąpił z wnioskiem stworzenia schroniska dla tych kobiet. Wiele osób okazało swą gotowość, lecz nikt nie chciał pierwszego kroku uczynić. Wtedy on sam rękę do dzieła przyłożył. Codacio wykopał różne starożytności ze swego placu budowlanego i sprzedał je za 100 dukatów. Ignacy oddał tę sumę na urządzenie domu, zwanego Casa di S. Marta. Tu mogły mężatki pozostawać, do chwili pojednania się ze swymi mężami, albo też na stałe, jeśliby gotowe były prowadzić odtąd życie obyczajne; to samo dotyczyło pokutnie stanu wolnego, dopóki by nie wyszły za mąż, lub nie wstąpiły do klasztoru. Kardynało-

wie wsparli to przedsięwzięcie, papież nadesłał zapomogę i w osobnej bulli zakład ten polecił.

Leonora Osorio, małżonka posła hiszpańskiego, Juana de Vega, która co tygodnia spowiadała się u Ignacego, dziełu temu jak największą okazała życzliwość. Także i Małgorzata Austrjacka, żona księcia Oktawa Farnese z Camerino, dzielną okazywała pomoc. Młody Jezuita, Piotr Faber, pisał 29 kwietnia 1546 r. z Rzymu do Kolonji: »Każdego dnia chodzi jeden z naszych zbierać jałmużny na dom św. Marty«. Chcąc fundacji tej trwałość zapewnić, zrzeszyli się wysocy dygnitarze kościelni, osoby ze szlachty i inne znaczne osobistości w stowarzyszenie zwane *Compagnia della grazia*, którego protektorem został kardynał Carpi. Towarzystwo, na jego żądanie, musiało zatrzymać na razie duchowne kierownictwo zakładu; klucze natomiast domu S. Marta wręczył Ignacy trzem w mieście zamieszkałym szlachciankom. Mówiono mu, iż wysiłki jego są beznadziejne, bowiem te nieszczęsne istoty zbyt już są zatwardziałe w występku. Na to odpowiadał: »Chociażbym nawet tyle tylko uzyskał, iżby jedna z nich jedną jedyną noc przeżyła bez grzechu, trudu włożonego żałować nie będę«. Lecz osiągnął więcej, niż się śmiał spodziewać. W roku 1545 mógł pisać do Hiszpanji: »W domu św. Marty znajduje się teraz 37—38 kobiet; większość ich z dobrej woli ostrą czyni pokutę za da-

wniejsze życie«. Do końca roku 1547 już przeszło sto takich grzesznie sprowadzonych było na dobrą drogę.

Inna jeszcze fundacja z tego samego mniej więcej czasu, która także pochodziła od Ignacego, a przynajmniej miała w nim współzałożyciela, to zakład S. Caterina de Funari. Dziewczęta, których cnota z powodu ubóstwa lub złego wychowania narażona była na niebezpieczeństwo, umieszczane tu były do czasu zamążpójścia lub wstąpienia do klasztoru.

Domy sieroce w osobie Generała Towarzystwa Jezusowego szczerego miały przyjaciela. Małgorzata Austriacka nadsyłała mu od czasu do czasu po 200 do 300 dukatów do podziału pomiędzy biednych. Mówiono, iż księżna chce przez to również i jego samego i współmieszkańców jego domu wesprzeć w ich ubóstwie; on wszakże nigdy ani jednego solda nie brał dla siebie; wszystkie pieniądze polecał rozdzielać pomiędzy klasztory i zakłady dobroczynne w mieście i dokładny z nich zdawał rachunek.

W pierwszym roku swego generalstwa przystąpił Ignacy do arcybactwa Santo Spirito in Sassia, z obietnicą udzielania każdego roku szpitalowi zapomogi. Jedną z prób, którym poddawał swych nowicjuszów, polegała na tem, iż kazał im pracować w rzymskich szpitalach.

Z bólem serca zauważyli kapłani Towarzy-

stwa przy odwiedzaniu chorych w mieście, iż wielu z nich schodziło ze świata, nie korzystając z środków łaski przez Kościół podawanych. Wówczas to przypomniał Ignacy zarządzenie Innocentego III, zatwierdzone przez dwunasty Sobór powszechny, iż należy przedewszystkiem zwracać się do lekarza duchownego, a następnie dopiero do lekarza ciała. Upominał tedy, iż nalegać trzeba na zachowanie tego nakazu, z tem jednak złagodzeniem, że w pierwszym i drugim dniu pozwala się lekarzowi chorego doglądać, w trzecim zaś i w następane dni wtedy dopiero, gdy się chory wprzód wypowieda. Wszyscy teologowie i kanoniści Penitencjarji wniosek ten na piśmie zaaprobowali. Papież bardzo był z tego zadowolony. Około święta Trzech Króli 1544 roku postanowienie to w życie wchodzić poczęło.

Już na dwa lata przedtem dopomógł niestrudzony Generał w przeprowadzeniu pewnego zarządzenia, które dla Rzymu i dla całych Włoch ogromną posiadało doniosłość. Podczas gdy inkwizycja, zwłaszcza w Portugalji, gorliwie, niekiedy prawie zbyt gorliwie, urząd swój spełniała, we Włoszech tu i ówdzie zjawiały się pozory, jakoby stróże wiary posnęli na murach Sjonu. »Z tego powodu — tak pisał Ignacy 28 lipca 1542 r. do Portugalji, kardynałom Juanowi Alvarez de Toledo i Janowi Piotrowi Carafa — częstokroć nagląc czynilem w tej sprawie przed-

stawienia; oni też niejednokrotnie naradzali się z papieżem; teraz już Jego Świątobliwość wyznaczył sześciu kardynałów«, mających stanowić urząd inkwizycyjny. Bulla papieska ukazała się 21 lipca 1542 r.

Także i pracę nad doprowadzeniem wrogów do zgody wciągnęło Towarzystwo Jezusowe w zakres swych miłosiernych uczynków. Ignacy sam w roku 1548 udał się w podróż do Tivoli i do Città Sant Angelo, aby pomiędzy temi dwoma miejscowościami, które wojnę ze sobą prowadziły, zgodę przygotować. Udało mu się przeprowadzić to, iż kardynała de la Cueva przyjęły jako rozjemcę, przywołał też do pomocy Małgorzatę z Parmy i biskupa Archinto, aż wreszcie doprowadził do zawarcia pokoju.

Najtrudniejsze i najważniejsze pośrednictwo pokojowe, przez Ignacego podjęte, dotyczyło papieża Pawła III i Jana III, króla portugalskiego. Jan obawiał się, by kraj jego nie uległ znieprawieniu przez intrygi Żydów, którzy, za panowania ojca jego Manuela, częstokroć chrzczeni byli pod przymusem, lecz potajemnie wiernymi pozostawali żydostwu. Zdawało mu się, iż przeciw tym »neo-chrześcijanom« bronić mu się trzeba za pośrednictwem nadzwyczaj surowego trybunału sądowego do spraw wiary, na wzór hiszpańskiej inkwizycji. Zatargi, które miał z tego powodu jeszcze z Klemensem VII, powtórzyły się, we

wzmózonej mierze, za pontyfikatu Pawła III. Papież zrazu zawiesił był ostatni nakaz swego poprzednika, lecz po dokładnem zbadaniu zatwierdził dnia 12 października 1535 r. niemniej sprawiedliwe, jak łagodne, zarządzenia Klemensa VII, dotyczące neo-chrześcijan. Król Jan III, pełen głębokiej nienawiści do ukrytych Żydów, wszczął teraz starania o dopięcie swego celu drogą dyplomatycznych pertraktacyj w Rzymie. Ponieważ wstawił się za nim i Karol V, przeto Paweł III ustąpił, zezwalając w dniu 23 maja 1536 r. na ustanowienie stałej portugalskiej inkwizycji. Do środków jednak zarządzonych przez papieża dla dobra neo-chrześcijan, król się nie zastosował. Ciężkie oskarżenia napływały do Rzymu; Jan na wszelki sposób czynił starania, by trybunał ów przekształcić całkowicie na trybunał królewski. Napróżno protestował Paweł III przeciw gwałtownemu postępowaniu króla; wszelkie zabiegi papieża o zachowanie sprawiedliwości i słuszności względem Żydów i o zachowanie kościelnej cechy inkwizycji, były daremnemi; pertraktacje wlokły się bezskutecznie. Do tego przyłączyły się inne jeszcze zatargi.

Miguel de Silva, biskup z Viseu, wysokiego rodu, opuścił Portugalję wbrew woli króla, udając się do Wenecji. Paweł III mimo to obdarzył go kapeluszem kardynalskim i powołał do Rzymu. Jan III zasekwestrował wówczas dochody

biskupstwa Viseu i nie pozwolił pasterzowi ani piśmiennie nawet znosić się ze swymi diecezjami; nie chciał też wpuścić do kraju papieskiego nuncjusza. Ignacy na sprawę tę zapatrywał się bardzo poważnie; wystosował potajemnie list do dawnego swego przyjaciela i współtowarzysza, Szymona Rodrigueza, który przebywał w Lizbonie na królewskim dworze. W liście tym pisał, iż w Kurji mówi się o tem, jakoby Rodriguez udzielał rozgrzeszenia ludziom, którzy dopomogli królowi do wykonania gwałtu na osobie kardynała z Viseu, i tem samem zaciągnęli ekskomunikę; on, Generał zakonu, przypuszcza wszakże, iż wiadomość ta jest fałszywą; wszak Rodriguez nie posiada niezbędnej do tego władzy i szkodziłby też w ten sposób sprawie Boga, Kościoła i Stolicy świętej. Z początkiem roku 1542 rozgoryczenie doszło do tego stopnia, iż Portugalja zamierzała zerwać stosunki dyplomatyczne z papieżem.

Ignacy, który podobnie jak wielu innych, winę zatargu przypisywał nie królowi, lecz jego doradcom, starał się wszelkimi sposobami doprowadzić do pokojowego rozwiązania sprawy. Zatarg wszakże ciągnął się jeszcze przez lata całe. Nie ustając w swych pokojowych wysiłkach, pisał Ignacy 14 grudnia 1545 r. do Rodrigueza, iż w sprawie inkwizycji portugalskiej i biskupstwa Viseu jeździł do Montefiascone, tam bardzo szcze-

gółowo z Pawłem III ją omówił i dobrze go usposobił. W ślad za tą wiadomością poszła i druga, że już nastąpiło porozumienie: papież gotów jest cofnąć brewe, wydane przeciw postępowaniu inkwizycji; neo-chrześcijanom ma być pozostawiony czas do emigracji; po upływie terminu wprowadzoną ma być w Portugalji taka sama inkwizycja, jak i w Hiszpanji. Co do sekwestracji dochodów z Viseu, sprawa załatwioną będzie w myśl tego, co pisano z Lizbony: wszystko ma być doręczone kardynałowi Farnese.

Upragniona bulla inkwizycyjna ukazała się 16 lipca 1547 r. Neo-chrześcijanom udzielono z łaski terminu jednorocznego, królowi zalecono jak najusilniej łagodny sposób postępowania. Kardynał Farnese został administratorem w Viseu, otrzymał dochody biskupstwa i zobowiązał się doręczyć je cichaczem kardynałowi Silva; pewna tylko suma pieniędzy potrąconą być miała na koszt utrzymania biskupa, który jako koadjutor miał rządzić diecezją. Wybór koadjutora pozostawiono królowi.

W tym samym czasie wysłał do Pawła III niejaki Fra Valentino Barbaran obszerną skargę na piśmie przeciw Jezuitom. Chcieli oni, jak twierdził, cały świat zreformować; nie mieli od papieża pozwolenia na pracę u św. Marty, chcieli wyprawić z Rzymu wszystkie żony, które nie dochowały wiary małżeńskiej i t. d. Pismo to z po-

lecenia papieża przeczytał kardynał Crescenzi; doniósł mu następnie, iż jest bez znaczenia.

Posłuszni papieżowi, nie ustawali Jezuici w dobroczynnej pracy nad ludem rzymskim. Na ambonę szli bardzo często. Jednego z nich, jako kaznodzieję, uprosiła sobie też Vittoria Colonna, która się była usunęła do Benedyktyniek przy kościele S. Anna de Funari.

W nauczaniu katechetycznym przodował Generał swoim podwładnym dobrym przykładem. Zaledwie objął urządowanie, wnet rozpoczął w S. Maria della Strada wykład początkowych zasad wiary. Na nauki jego schodziło się też wiele osób dorosłych. Ignacy mało miał czasu na przygotowanie i przemawiał włoszczyzną, która właściwie była raczej językiem hiszpańskim; wymowa jego mimo to wielkie sprawiała wrażenie. Kończył zwykle słowami: »Miłujmy Boga ze wszystkiego serca, ze wszystkiej duszy, ze wszystkiej woli!« Mówił to z wielkim naciskiem, z twarzą rozpłomienioną. Laynez i Ribadeneira stwierdzili później jako świadkowie, iż wielu słuchaczy po tych słowach z głęboką skruchą garnęło się do konfesjonałów.

Duchowieństwo rzymskie, jak pisał Polanco w roku 1547 do Hiszpanji, było częstokroć »bardzo słabo wykształcone«; dlatego nadal trzy razy w tygodniu miewał wykłady w kościele S. Eustachio o obowiązkach stanu kapłańskiego; wika-

rjusz papieski wszystkich, mających powierzoną sobie pracę duszpasterską, do uczęszczania na te nauki zobowiązał. Pomyślny skutek tego zarządzenia pobudził go niezawodnie do innej jeszcze decyzji. Celem otrzymania święceń, ściągало ze wszystkich stron do Rzymu wielu osobników niegodnych; postanowiono tedy w roku 1547 żadnego już nie święcić, któryby poprzednio nie odbył u Jezuitów spowiedzi z całego życia i nie był następnie pod względem obyczajów i nauki przez nich wyegzaminowany. Nie pozostało Ignacemu nic innego, jak podjąć się, przynajmniej na czas jakiś, tego ciężkiego zadania. Dotychczas — tak w grudniu 1548 r. polecił napisać do Lowanium — zaledwie czwartej części tych, którzy się stawili, wydaliśmy przychylnie poświadczenia.

Ostrożnym był nowy zakon w pracy duchownej nad kobietami. Przybywszy z towarzyszami do Rzymu, rzekł do nich Ignacy: »Trzeba nam się mieć bardzo na baczności i nie wchodzić w stosunki z kobietami, chyba z bardzo wybitnemi«, których wpływ i przykład wielu duszom przynieśćby mogły pożytek. Taką była, zdaniem jego, nieszczęśliwa w pożyciu małżeńskim z młodym Farnesem, Małgorzata Austrjacka, niewiasta o męskich zaletach charakteru. Ignacy był jej i domu jej spowiednikiem. Kiedy w roku 1545 powiła bliźnięta, jedno z nich wypadło mu ochrzcić. Dla kardynała Farnese uczynił też to

Ignacy, iż polecił swoim ułożyć reguły zakonne dla zakonnic-pustelniczek przy kościele św. Piotra, tak zwanych Murate i słuhać ich spowiedzi. Był to jednak wyjątek. Od pobożnych niewiast w świecie żyjących, od pojedynczych zakonnic, od całych klasztorów żeńskich nadchodziły częstokroć do Generała prośby o przyjęcie ich do obediencji zakonnej. Ignacy wszystkim odmowną dawał odpowiedź. »My, którzy tu mieszkamy przy Kurji — mawiał — patrzymy na to co dnia, jak się Franciszkanom i Dominikanom powodzi z ich klasztorami żeńskimi, ile one mnichom sprawiają kłopotów; i z nami też byłoby nie lepiej«.

Mimo to przez pewien czas zdawać się mogło, jakoby na gruncie rzymskim powstać miała żeńska gałąź Towarzystwa Jezusowego. W r. 1545 przybyła z Barcelony do Rzymu wdowa Izabela Roser, osoba dystyngowana, która niegdyś w sprawach duchownych była uczenicą Loyoli, w sprawach zaś doczesnych wielką jego dobrodziejką. I ona i niektóre inne niewiasty zażądały od Ignacego, by je do swego zakonu przyłączył. Gdy się Ignacy sprzeciwiał, udało im się przeprowadzić natarczywemi prośbami, zanesionemi do Pawła III, iż wydany został rozkaz papieski do Generała, aby je przyjął. Tak więc złożyły Izabela Roser, Lukrecja Bradine i Franciszka Cruyllas w ręce Generała Ignacego, jako swego

dążenie do kościelnych godności. Król Ferdynand I w roku 1546 usilnie pragnął ujrzyć Le Jay'a na biskupiej stolicy w Trieście. Ignacy błagał króla, by zaniechał tego projektu; Ferdynand natomiast domagał się od Pawła III, by tenże Le Jay'owi nakazał przyjęcie tej godności w imię świętego posłuszeństwa. Poseł królewski w Rzymie otrzymał zlecenie, aby wszystkie w tym celu poruszył sprężyny. Wtedy Ignacy, jak sam pisał do Hiszpanji, »niesłychane« wprost czynił »wysiłki«, aby do nominacji nie dopuścić. Udało mu się sprawę przeciągnąć, aż wreszcie Ferdynand oświadczył, że się już więcej przy swem żądaniu upierać nie będzie. Ignacy polecił odprawienie dziękczynnych Mszy św. i *Te Deum*.

W jakim stopniu dążyli uczniowie jego do chrześcijańskiej doskonałości, do zjednoczenia z Bogiem przez miłość, o tem nie wyrokował mistrz ani z wyglądu ich twarzy, ani też z lepszego lub gorszego temperamentu, albo z pociech, jakich doznawali na modlitwie; miarą jego był trud, jaki sobie zadawali w celu poskromienia nieporządných skłonności. »Przewycięź się!« — to była ulubiona jego maksyma. Dalekim będąc od lekceważenia zewnętrznej ascezy, uważał on »posty, biczowania, paski pokutnicze za rzecz pożyteczną, a w pewnych okolicznościach za konieczną«; lecz wyżej cenił przełamanie żądy zaszczytów i uporu. Przedewszystkiem żądał po-

śluszeństwa, lecz nie posluszeństwa wymuszonego, niewolniczego, ale okazywanego z dobrej woli i wspaniałomyślnie. Od czasu do czasu urządził próby. Tak było z początkiem roku 1548, kiedy miało powstać kolegium w Mesynie. Wszyscy członkowie domu musieli na piśmie złożyć oświadczenie, czy gotowi są udać się do Mesyny i objąć tam jakiekolwiek stanowisko wedle uznania przełożonego. Kanizjusz oświadczył, iż zarówno gotów jest pozostać na zawsze w Rzymie, jak udać się do Sycylii, Indyj, lub dokądkolwiek indziej; jeśli ma jechać do Sycylii, to gotów jest zostać tam kucharzem, ogrodnikiem, furtjanem, uczniem albo nauczycielem w jakimkolwiek fachu. W podobny całkiem sposób wypowiedzieli się wszyscy, którzy z nim w Domu przebywali, a było ich trzydziestu pięciu.

Aby ćwiczyć w pokorze swych synów, kazał niekiedy Ignacy Bratu Antoniemu Rion z mownicy w refektarzu ganić zaniedbania i inne usterki, a był to człowiek bardzo niskiego pochodzenia, znający się na gotowaniu i obdarzony przytem ostrym i dowcipnym zarazem zmysłem krytycznym. Lecz tu zachowywał Ignacy pewne różnice, stosownie do właściwości charakteru każdego z osobna. Jednemu, powiada Ribadeneira, okazywał czułą miłość macierzyńską, innemu silną miłość ojcowską. Chciał on, by przełożeni wtedy tylko rozkazywali »w imię świętego posluszeń-

stwa«, gdy szło o sprawy wielkiej wagi. Przy rozdzielaniu ważniejszych urzędów i dawaniu zleceń, zwracał często uwagę na skłonności podwładnych. W stosunku do drugich był Ignacy poważnym i rozważnym, przytem małomownym, lecz mimo to uprzejmym, tak, iż duchowni jego synowie mówić mogli, że nikt nie odchodzi od niego inaczej, jak z zadowoleniem i radością.

Zasady, na których opierał Ignacy sprawowanie rządów w Towarzystwie, nie mogły na dłuższy przeciąg czasu pozostać bez ustalenia ich na piśmie, potrzebną była reguła. Toteż przebywający w Rzymie profesii, niejednokrotnie zbierając się na narady, powzięli szereg uchwał dotyczących nowego porządku życia. Dokładne opracowanie tychże polecili w roku 1541 Ignacemu i Codurze; ponieważ zaś Codure zmarł niedługo potem, więc praca jedynie w ręku Ignacego pozostała. W roku 1547 rozpoczął jej spisywanie. Na życzenie pierwszych swych towarzyszy i przy żywym współudziale sekretarza swego Polanco, wygotował w tym samym czasie rozszerzenie owego pierwszego zarysu reguły, zawartego w bulli z roku 1540, zatwierdzającej ich Zgromadzenie. Pomijając inne zmiany, określone teraz zostały trzy śluby: ubóstwa, czystości i posłuszeństwa jako uroczyste, co przedtem tylko co do ślubu czystości orzeczone było. Wyjaśniono też wyraźnie, że do Generała należy zwyczaj-

nie najwyższe kierownictwo. Obok »ślubów profesów« wymieniono też śluby proste koadjutorów i scholastyków. Sankcję papieską otrzymała ta druga i ostateczna »formuła instytutu« Towarzystwa dopiero przez bullę Juljusza III z dnia 21 lipca 1550 r.

Pierwszą redakcję konstytucji ukończył Ignacy z początkiem roku 1550. Następnie zawezwał do Rzymu tych profesów, przebywających poza stolicą, którzy z łatwością zajęcia swoje opuścić mogli, oraz innych wybitnych członków zakonu i oddał im pracę swą do zbadania. Stosownie do uwag przez każdego z osobna poczynionych, liczne, przy pomocy Polanca, wprowadził zmiany. Lecz i teraz jeszcze nie uważał dzieła za ukończone. Od roku 1552 począwszy, przypadło Nadalowi zadanie ogłoszenia i tłumaczenia konstytucyj w Hiszpanji, Portugalji, Niemczech i Włoszech; podobnie zaś Antoniemu Quadrio w Indjach. Należało wprzód wypróbować wszystko doświadczeniem. Co do istoty zresztą, były już teraz ustawy ukończone; co do pojedynczych wyrazów raz po raz jeszcze polecał Ignacy, aż do samej śmierci swej w r. 1556, te i owe zmiany wprowadzać. W roku 1558, na pierwszej Generalnej kongregacji zakonu zostały one po dokonaniu nieznacznych poprawek zatwierdzone i uzyskały moc prawną.

Ignacy, jak się zdaje, czytał reguły dawniej-

szych zakonów; gdy jednak własną pisał, same tylko Ewangelje i Naśladowanie Chrystusa na stole przed nim leżały. Trzymając się reguł wyboru, uwiecznionych przezeń w książce Ćwiczeń, teraz, przy każdym poszczególnem pytaniu rozważał za i przeciw nie raz tylko, lecz wielokrotnie; następnie zaś każdy przedmiot ponownie brał pod rozwagę. Często wynik osiągnięty spisywał na kartce i kartkę tę kładł na ołtarzu, na którym zwykł był Mszę św. odprawiać; następnie zaś błagał Boga o światło, jak gdyby nie jeszcze nie był dokonał. Opowiada Gonçalvez, że Ignacy zwierzył mu się z wewnętrznych oświeceń, których wiele w tym czasie od Boga otrzymał. »Ignacy — tak pisze dalej Gonçalvez — powiedział mi, że tem łatwiej przychodzi mu to twierdzić teraz, gdyż zapisuje każdego dnia, co się w duszy jego dzieje. Odczytał mi znaczną część tych zapisków«. Niektóre z tych notatek zachowały się; stanowią one jeden z najznakomitszych pomników chrześcijańskiej mistyki.

Właściwe konstytucje Towarzystwa Jezusowego, składające się z dziesięciu części, poprzedzone są »egzaminem«, w którym podane są wskazówki, jak należy egzaminować aspirantów i jak ci ze swej strony badać mają życie zakonne, zanim się ślubami zwiążą na zawsze.

»Celem Towarzystwa — tak czytamy zaraz na wstępie egzaminu — jest nie tylko dążenie

z pomocą łaski bożej do zbawienia i udoskonalenia własnej duszy, lecz oddawanie się też przy jej pomocy i z wielką gorliwością pracy nad zbawieniem dusz i udoskonaleniem bliźnich«. Ta sama myśl powtarza się we właściwych konstytucjach. »Właściwy cel Towarzystwa jest następujący: Chcemy pomocnymi być naszym własnym duszom i duszom bliźnich naszych w osiągnięciu ostatecznego celu, dla którego zostaliśmy stworzeni«; Towarzystwo Jezusowe »założone zostało na większą chwałę Boga dla ogólnej korzyści i pożytku dusz«.

Inne zakony do wspólnego celu wszelkiego życia zakonnego, tj. do własnego uświęcenia się, dodawały jeszcze, jako bardziej szczegółowe przeznaczenie: rozmyślanie o dziełach bożych, albo uroczystą służbę bożą, albo pielęgnowanie chorych, lub inne uczynki miłosierne. Podobnie postawił Ignacy swoim, jako szczególniejsze zadanie: ratunek i uświęcenie bliźniego; w ten sposób pomnażać się miała chwała boża, a królestwo boże szerzyć się po całym świecie przez wstępowanie w szeregi armji Chrystusowej i naśladowanie Chrystusa. Wprawdzie i u zakonów żebrzących, zwłaszcza u Dominikanów i Franciszkanów, widnieje głoszenie słowa bożego i inne tego rodzaju zajęcia, jako właściwy cel zakonu; Ignacy jednak znacznie silniej i konsekwentniej na pierwszy plan wysunął pracę nad zbawieniem

dusz; dobór zaś członków zakonu, ich wykształcenie i wychowanie, cały sposób ich życia dostosowany został do celu Towarzystwa.

Odrażający wygląd zewnętrzny, umysł bałamutny, usposobienie kłótniwe, zła reputacja, niekościelny sposób myślenia, uniemożliwiają wstęp do Towarzystwa. Nikt również nie może być przyjęty, kto już nosił habit innego zakonu, chociażby tylko jako nowicjusz, albowiem »taki — powiada Ignacy — powinienby wiernym pozostać pierwszemu powołaniu«. Niektórych przyjmuje się jako »obojętnych«; ponieważ niewiadomo jeszcze, czy się nadają do stanu kapłańskiego, czy też mają być użyci jako bracia laicy, przeto powinni gotowymi być dać się zaliczyć do tej lub tamtej kategorii, wedle tego, co przełożeni za dobre uznają.

Czas próby w ściślejszem znaczeniu trwa nie tylko rok jeden, jak w większości innych zakonów, lecz dwa lata. W ciągu tych dwóch lat muszą się nowicjusze różnym poddawać próbom; musi każdy odprawić całomiesięczne rekolekcje, posługiwać chorym w szpitalu, odbyć podróż w charakterze pielgrzyma, od drzwi do drzwi o jałmużnę prosząc, zamiatać w domu i inne niskie pełnić posługi; muszą następnie wykładać katechizm, a jeśli są kapłanami, ćwiczyć się także w kazaniach i słuchaniu spowiedzi.

Po ukończeniu czasu próby, powinnyby wszy-

scy, starodawnym obyczajem zakonnym, składać natychmiast uroczyste śluby profesów. Tu wprowadził Ignacy istotną zmianę: nakazał w regule, aby nowicjusze składali tylko tak zwane śluby scholastyków, tj. proste śluby ubóstwa, czystości i posłuszeństwa, wraz z obietnicą, iż następnie, wedle zarządzenia przełożonych zakonu, dadzą się ostatecznie wcielić do zakonu jako profesii lub formowani koadjutorzy. Na te ostatnie śluby wszakże udziela się nowicjuszowi pozwolenia po długim dopiero i różnorodnym wypróbowaniu go: najczęściej musi jeszcze latami całemi oddawać się studjom jako scholastyk; po ukończeniu ich ma jeszcze odbyć jeden rok trzeciej probacji: tu, »w szkole serca«, odzyskać powinien to, co mógł utracić przez czas studjów z gorliwości na drodze cnoty. Bracia laicy przez to samo już wykluczeni są od profesji, że tylko kapłanom uroczyste śluby zakonne składać wolno; tak bracia laicy wszakże, jak wogóle wszyscy, którzy po dwóch latach próby trzy proste śluby złożyli, tę mają pocieszającą świadomość, iż mocą tych właśnie ślubów są zakonnikami w prawdziwym i właściwym znaczeniu.

Co do wydalania niezdatnych i niegodnych, pozostawiona jest przełożonym zakonu wielka swoboda działania. Dotyczy to nie tylko nowicjuszów, lecz i tych także, którzy złożyli śluby scholastyków; oni wprawdzie poświęcają się zako-

nowi i zobowiązują się wobec niego na całe życie, lecz składanie ślubów odbywa się z milczącym warunkiem, iż zakonowi przysługuje prawo, dla słusznych powodów, śluby ich rozwiązać i ich samych wydalić. Zresztą, w pewnych poszczególnych wypadkach mogą też wydalonymi być profes, owszem sam nawet Generał.

Skuteczne środki postępu w życiu duchownem znajdują się dla każdego z osobna w codziennej Mszy św., częstej spowiedzi i dziś już codziennej Komunii, w dwukrotnym każdego dnia rachunku sumienia, w rozmyślaniu, różańcu, oficjum o Najświętszej Pannie, w czytaniu duchownem, domowych egzortach, budującym czytaniu przy stole. Wszyscy, nie będący jeszcze po ostatnich ślubach koadjutorami, mają dwa razy do roku ponawiać swe śluby zakonne. Wszyscy członkowie zakonu powinni przed swym Ojcem duchownym, lub przed przełożonym, całe swe sumienie otworzyć, aby się ustrzec od złudzeń. Także i profes gotowi być muszą przynajmniej raz w roku zdać sprawę przełożonemu ze stanu swego sumienia. Każdy ma się starać wykonywać poszczególne czynności w dobrej, czystej intencji, więcej z miłości ku Bogu, niż z nadziei nagrody lub z bójki kary.

Aby wszelkiej żądzy zaszczytów raz na zawsze wzbronić przystępu, zakazuje się surowo dążenia do godności lub do urzędu przełożonego w zako-

nie. Profesi składać muszą osobny ślub w tym duchu; nadto muszą ślubować, iż zadenuncjują każdego, o którymby wiedzieli, iż jest winien takich zabiegów. Podobnie i poza zakonem, wtedy tylko pozwala im się na przyjęcie godności, gdy im to zostanie nakazane pod grzechem przez osobę do tego upoważnioną.

Przywiązanie do krewnych ma być czyste i duchowne. »Im kto się ściślej jednoczy z Bogiem — tak upomina Ignacy — a także im bardziej hojnym się okaże wobec jego boskiego majestatu, w tem większej mierze doświadczy i on hojności Boga względem siebie«. Ta wspaniało-myślna miłość boża ma wogóle stanowić prawo zasadnicze i główną sprężynę całego życia zakonnego; z niej też wypływać ma żądza coraz ściślejszego podążania drogą krzyżową za wcielonym Synem Bożym, w radosnem znoszeniu cierpień i hańby.

Doniosłość ślubów zakonnych dokładną znajduje ocenę w konstytucjach. Aby uniknąć wszelkiego pozoru cheiwości, wszystkie duchowne posługi wykonywane być muszą bezpłatnie. Nie wolno zakonnikom po ostatnich ślubach posiadać lub nabywać jakiegokolwiek osobistej własności. Domy profesów i ich kościoły nie posiadają stałych dochodów; zarówno profesi, jak i nieprofesi, mają utrzymywać się z jałmużny. Kolegja natomiast i Domy probacyjne mogą

i powinny posiadać dochody stałe, aby w nich, bez troski o wyżywienie, całą siłą można było oddawać się nauczaniu i nauce. Ci, którzy nie złożyli jeszcze ostatnich ślubów, mogą wprawdzie posiadać do czasu własny majątek, lecz korzystać zeń według upodobania już nie mogą; powinni też być gotowi do zrzeczenia się go przed ostatnimi ślubami, a nawet wcześniej, kiedykolwiek od przełożonego rozkaz otrzymają. Bez zgody tegoż nie wolno nikomu niczego używać, pożyczać, sprzedawać. Przy nadarzonej sposobności ma też każdy odczuć to i tego zakosztować, iż się stał ubogim. Ubóstwo bowiem jest i pozostanie »silnym murem zakonnej organizacji«; dlatego też muszą wszyscy profesi ślubować, iż nie dopuszczą do żadnej zmiany prawideł dotyczących ubóstwa, chybaoby chodziło o zaostwienie tychże.

Do zachowania ślubu czystości zmierza upomnienie, skierowane do »wszystkich«, aby »jak najtroskliwiej strzegli wrót zmysłów, a zwłaszcza oczu, uszu i języka, trzymając przez to zdala wszelkie nieporządne skłonności«; mają oni przykładać się do »milczenia, gdy je zachować należy, do ostrożności i przystojności w słowach, gdy mówić trzeba, do skromności w wyrazie twarzy, do umiarkowania w chodzie, do dobrego ułożenia we wszystkich ruchach«. »Postów, czuwania i innych podobnych zewnętrznych umar-

twień« nie należy wprawdzie stosować do zbytku, ale też nie »w tak małej mierze, iżby gorliwość ducha ostygnać, a ludzkie niskie poruszenia rozgorzeć miały«. W domu zakonnym nie powinno być miejsca dla »próżniactwa, będącego źródłem wszelkich występków«; dlatego też ma być zachowany ścisły porządek dzienny.

W gronie duchownych wojowników, przyprowadzonych Kościołowi przez rycerza z Loyoli, niezmiernie wielkie znaczenie przywiązane jest do posłuszeństwa. Musi ono rozciągać się do »wszystkiego, co nie jest oczywistym grzechem, chociażby rzecz była trudną i przeciwną zmysłowości«; posłuszeństwo to wykonywać trzeba »nie tylko w tem, do czego się jest formalnie zobowiązany, lecz i wtedy także, gdy przełożony wprost i wyraźnie nie nakazuje, ale tylko życzenie swe jakkolwiek daje do poznania«. Rozkaz musi być spełniony niezwłocznie, całkowicie, wytrwale; wykonanie jednak nie ma być tylko zewnętrznem. Ignacy raz po raz domaga się posłuszeństwa świadomego, dobrowolnego, radosnego; trzeba przytem, aby podwładni »wolę i sąd przełożonego prawidłem swojej woli i swego sądu« uczynili. W tem to znaczeniu mają oni praktykować »posłuszeństwo ślepe«, ślepe nie na samą rzecz nakazaną, lecz na uludy i mamidła zarozumiałości, małoduszności i zmysłowości. Jak niegdyś św. Bazyli porównał w swej regule zakon-

nej posłusznego mnicha z narzędziem cieśli, tak porównał go Ignacy do laski starca; nie omieszkał też w kilku przynajmniej słowach powtórzyć porównania, które św. Franciszek z Asyżu tak obszernie rozwinął przed swymi uczniami: porównanie doskonałego posłuszeństwa z martwym ciałem. Aby dojść do tej doskonałości, powinniśmy, jak nas upomina Ignacy, »mieć przed oczyma Boga, naszego Stwórcę i Pana, przez wzgląd na którego posłusznym się jest człowiekowi«, »przełożonego, ktobykolwiek nim był, uważać za Chrystusowego zastępcę«, i dlatego też na słowo przełożonego posłusznym być tak bez żadnej zwłoki, »jak gdyby ono z ust Chrystusowych pochodziło«. Przytem jednak zastrzeżone jest niejednokrotnie podwładnemu w konstytucjach prawo czynienia przełożonemu przedstawień; trzeba tylko, by je poprzednio rozważył na modlitwie i gotowym był to uczynić i uważać za najlepsze, co przełożony ostatecznie nakaże. Przyswaja też sobie Ignacy określenie konstytucyj dominikańskich, iż z wyjątkiem samych ślubów zakonnych, reguły zakonne nie powinny obowiązywać pod grzechem, chyba przełożony coś rozkazał w imię posłuszeństwa. Mogą nadto przełożeni dla słuszych powodów zwolnić podwładnego od zachowania jakiejś reguły.

Przełożonemu Towarzystwa Jezusowego, jakim go Ignacy przedstawia, nie wolno ograniczać

się do samego tylko uświęcania swych podwładnych, powinien przez nich działać też na zewnątrz. Wyrzeczenie się świata nie poprowadziło bohatera z pod Pampelony, podobnie jak innych wielkich założycieli zakonów, na jasne, ciche wzgórza, lub do ukrytych pustynnych wąwozów — Ignacy szedł do wielkich miast na poszukiwanie grzeszników; on kazał uczniom swym iść za morza, aby pogaństwu walkę wypowiadać. Większość tych wszakże, którzy się dokoła jego sztandaru skupiali, nie miała jeszcze dostatecznej bojowej dzielności; trzeba było wprzód wykształcić ich i wyćwiczyć. I to jest właśnie pierwszym i najbliższym celem kolegów. Dlatego to należy młodych członków zakonu zaprawiać do częstych dysput, do ćwiczeń w głoszeniu kazań i nauk katechizmowych, do wypracowań pisemnych. Nikt nie może zostać profesem, kto przez cztery lata przynajmniej nie słuchał wykładów teologii i nie zdał ścisłych egzaminów. Scholastycy mają posiadać zapas zdrowia ciała i duszy; nie wolno przeto ujmować im czasu potrzebnego na sen, ani zbyt zaprzęgać do domowych posług, ale też nie powinni zbyt intensywnie lub w niewłaściwym czasie oddawać się studjom. Na modlitwę i ćwiczenia pokutne nie tyle mają poświęcać czasu co nowicjusze; albowiem, jak czytamy w konstytucjach, »równie miłem, owszem, jeszcze bardziej miłem będzie Bogu, jeśli z czystą intencją służenia mu

przyłożą się do nauki, która przecie całego człowieka niejako dla siebie pochłania«. Po wyświęceniu na kapłanów, powinni przyswajać sobie wszelkie środki, które katolickie kapłaństwo gorliwym o dusz zbawienie do ręki podaje: a więc modlitwę, ofiarę Mszy św., pracę w konfesjonale, głoszenie kazań i nauk katechizmowych, ćwiczenia duchowne, zajęcia literackie. W ślubach profesów i formowanych koadjutorów znajduje się wyraźna wzmianka o udzielaniu dzieciom nauki początkowych zasad wiary; gdyż tem właśnie, powiada Ignacy, »tyle się przynosi pożytku duszom i tak dobrze służy się Panu Bogu«.

Z szerokich pełnomocnictw, któremi Stolica święta wyposażyła apostolskich pracowników, korzystać należy z roztropnością i powściągliwie, i tylko w czystej intencji niesienia pożytku duszom. Pole do pracy tak szerokie, jak świat. Profesi związani są czwartym uroczystym ślubem, że na rozkaz papieża udadzą się dokądkolwiek ich pośle, nie żądając nawet od niego ani pieniędzy na drogę, ani żadnej innej rzeczy doczesnej. Za każdym wyborem nowego papieża, Generał obowiązany jest zawiadomić go o tym ślubie i jego zakresie. Generałowi przysługuje prawo porysowania wszystkich, nawet nie profesów, na wszystkie strony świata i na wszelkie stanowiska, które Towarzystwo swymi ludźmi obsadzać zwykło. Kierować się ma przytem zasadą, że »im

jakie dobro bardziej powszechne, tem bardziej boskie«. Dlatego to przy udzielaniu posług duchownych należy dawać pierwszeństwo tym, przez których dobro na szersze koła rozprzestrzenić się może; a więc: biskupom, panującym, władzom, uczonym, uniwersytetom, wielkim narodom.

Jest inne jeszcze pole działalności, nie dotyczące tak bezpośrednio zbawienia dusz, które wszakże w rękach Towarzystwa Jezusowego stało się potężną ku temu dźwignią; mianowicie nauczanie świeckiej młodzieży. Nie wchodziło ono w pierwotny zakres myśli Założyciela; zrazu chciał on mieć szkoły tylko dla własnego zakonu. Nowicjusze i młodzi zakonnicy mieli po miastach uniwersyteckich wspólne mieszkania; stamtąd uczęszczali na publiczne wykłady. Wkrótce zakon wzmocnił się do tyła, iż mógł pomyśleć o tem, by kształcenie swej młodzieży powierzyć własnym siłom nauczycielskim. Wskutek prośb fundatorów i dobroczyńców przyszło wreszcie do tego, iż pozwolono świeckim uczniom brać udział w nauce, albo też brano na siebie kierownictwo średnich i wyższych zakładów naukowych, przeznaczonych wyłącznie niemal dla świeckich.

Na tym gruncie wyrastają szkolne zarządzenia konstytucyj. Obejmują całkowite szkolnictwo, od szkoły elementarnej aż do wszechnicy.

Naczelne miejsce pomiędzy przedmiotami zajmuje wykład Pisma świętego i teologia scholastyczna św. Tomasza z Akwinu. Także i »sentencje« Piotra Lombarda mają być czytane; gdyby takie były wymagania czasu, mógłby też wprowadzony być, za aprobatą Generała i poradą bardzo doświadczonych mężów, inny podręcznik teologii. Wprowadzone są też wykłady prawa kościelnego, z wyjątkiem tego, »co się odnosi do porządku sądownictwa w kwestjach spornych«. Świeckim nauczycielom pozwala się wykładać prawo świeckie i medycynę. Mistrzem w filozofii jest Arystoteles. Gimnazjum składa się z pięciu klas: trzech dla kursu gramatyki, dalej idą humaniora i retoryka. Obok łaciny, greki i języka hebrajskiego, wolno też tam, gdzie to jest pożyteczne, wykładać języki: arabski, indyjski i inne. O matematyce i historii nie godzi się zapominać. Nauka czytania i pisania jest uczynkiem miłosiernym, którego zakon bynajmniej nie wyklucza. Kto chce zostać magistrem nauk wyzwolonych, musi mieć poza sobą półczwarta roku studjów filozoficznych; dla uzyskania tytułu doktora teologii wymaga się dodatkowych dwóch lat studjów ponad zwykły kurs czteroletni. Promocje są bezpłatne, bankiety doktorskie w zwyczaju w owych czasach z powodu wielkich kosztów zabronione.

Wielką wagę kładzie się na obyczajowe wy-

chowanie młodzieży. Z tego powodu należy klasyków, których się czyta, oczyścić z nieprzystojnych słów i rzeczy. Książka niepodejrzana wprawdzie, lecz podejrzanego autora, do użytku szkolnego się nie nadaje; polubiwszy bowiem autora, możnaby powagę jego w tem, co słusznego powiedział, przenieść na to, co twierdzi fałszywie. Gdy przeciw lenistwu i złym obyczajom słowa nie skutkują, należy przejść do różgi; członkowi zakonu wszakże wykonanie chłosty nie jest dozwolonem. Wszyscy uczniowie, także i studenci uniwersytetu, powinni przynajmniej raz na miesiąc przystępować do spowiedzi; mają też każdego dnia obecnymi być na Mszy św., każdej niedzieli uczęszczać na kazanie, raz w tydzień słuchać wykładu katechizmu i również raz jeden łacińskiej egzorty, których wygłoszenie do jednego z uczniów należy. Profesorowie zarówno podczas nauki, jak i poza nią, korzystając mają z każdej sposobności, by uczniów swych pobudzać do służby bożej i wpajać w nich zamiłowanie cnoty. Należy zresztą dla uczniów Towarzystwa ułożyć własny porządek nauki i dać go do aprobaty Generałowi; trzeba przytem pod wieloma względami stosować się do warunków miejsca i czasu. Niezależnie od tego powinno każde kolegium posiadać własne, jeszcze bardziej szczegółowe ustawy. W tej części konstytucji, jak i we wszystkich innych, niejednokrotnie do przepisów doda-

ne są słowa: »O ile to jest możliwe«. Kiedy i jak stosować je w praktyce — to się częstokroć pozostawia roztropnemu uznaniu przełożonego. Jest rzeczą widoczną, iż za wzór do przepisów szkolnych, zawartych w konstytucjach, służyło Ignacemu szkolnictwo w Paryżu, gdzie Ignacy i pierwsi jego towarzysze studja odbywali.

Niezbędną jest rzeczą, by działalność Towarzystwa, pomimo jej różnorodności i rozgałęzienia na wielkich obszarach, pozostała jednolitą. Do tego służy rozczłonkowanie armji duchownej na różne podziały: nowicjuszków, scholastyków, braci laików, duchownych koadjutorów, profesorów, oraz ich stopniowana subordynacja i zależność, jak również złączenie poszczególnych domów w prowincje, tych zaś w asystencje, pod jedną wspólną głową. Obowiązek posłuszeństwa i władza rozkazywania mają wykonywać się wedle porządku i następstwa, idąc w górę od podwładnych do bezpośrednich, pośrednich i najwyższych przełożonych i tak samo od nich zstępując ku dołowi. Obowiązkiem prowincjała jest często wizytować podwładne mu domy.

Właściwą wszakże tajemnicę swej silnie zwartej jedności posiada Towarzystwo w pełni władzy generala. Obrany przez generalną kongregację zakonu, on jeden z pośród wszystkich przełożonych urząd swój piastuje dożywotnio; jemu przysługuje prawo przyjmowania i wydalania

każdego, on nie tylko prowincjałów, lecz także wszystkich rektorów domów probacyjnych i kolegów mianuje i zwalnia z urzędu, udziela duchownych pełnomocnictw i łask, ogranicza je lub odbiera, zwołuje kongregacje generalne i na nich przewodniczy. Każda prowincja zakonna obowiązana jest co trzeci rok przysyłać mu męża zaufania, któryby mu zdał sprawę o stanie prowincji. W sprawach ważnych musi wprowadzić Generał wysłuchać rady »asystentów«, których mu kongregacja generalna do boku przydała, nie jest wszakże ich radą skrępowany. Z drugiej jednak strony najwyższą tę w zakonie władzę miarkującą nie tylko boskie i kościelne przykazania, lecz same nawet konstytucje Towarzystwa; sama tylko kongregacja generalna upoważnioną jest do wprowadzenia w nich zmiany. Ta najwyższa instancja składa się z generała, jego asystentów, prowincjałów i z dwóch profesów, wybieranych w każdej prowincji na kongregacjach prowincjalnych, te zaś złożone są z prowincjała, rektorów i innych profesów. Jednej też tylko kongregacji generalnej przysługuje prawo rozwiązania jakiegokolwiek kolegium. Generał ma sobie poleczone szerokie pozostawiać pole działalności niższemu przełożonemu. Do asystentów należy czuwanie nad jego osobistymi wydatkami; mają też zapobiegać temu, by przez zbyt surowy tryb życia lub nadmierną pracę zdrowia nie postradał. Prócz tego

ma u boku, przydanego mu od zakonu admonitora, który mu w razie potrzeby uwagę zwraca na usterki w zachowaniu lub urzędowaniu, bez względu na to, czy go sobie generał jednocześnie obrał lub nie obrał za spowiednika. Obowiązkiem asystentów jest również mieć staranie o tem, by niezdolnemu do pracy lub niegodnemu generałowi dany był koadjutor lub następca.

Jako drugi węzeł jedności zakonnej widnieje w konstytucji bratnia miłość. Wspólny tryb życia, jednolitość nauki w kazaniach, wykładach i pismach, wymiana zdań na kongregacjach prowincjalnych i generalnych, mają serca jednoczyć. »Pod względem ceremonij powinno Towarzystwo, o ile to jest możliwem w poszczególnych stronach, iść za zwyczajem rzymskim; ten bowiem jest bardziej rozpowszechniony i w szczególniejszy sposób przez Stolicę Apostolską przyjęty«. Przełożeni w rozkazach swych okazywać powinni życzliwość, skromność i miłość, tak, aby ich bardziej kochano, niż się ich obawiano. Prowincjałowie i rektorowie muszą zawsze mieć wyznaczonych kilku członków zakonu, których rady zasięgać mają w ważnych sprawach, choć decyzja całkowicie w ich własnych rękach spoczywa.

W znakomity zgoła sposób potrafił Ignacy z korespondencji uczynić narzędzie do kierowania zakonem i związkę jedności. Często bardzo

i w oznaczonych terminach musi generał od prowincjałów i rektorów, muszą prowincjałowie od rektorów, rektorowie od pracujących poza domem otrzymywać sprawozdania i ze swej strony posyłać decyzje i odpowiedzi. Prócz tego potrzeba, aby do wiadomości każdego domu zakonnego przedostawało się, cokolwiek ze wszystkich innych pocieszającego lub ku zbudowaniu służącego donoszą. Do tego celu służą cyrkularze, puszczane w obieg w oznaczonych terminach. W ten to sposób zachowywano się nawzajem w pamięci, zyskiwano pogląd na różne pola pracy, z doświadczenia innych wyciągano nauki, pocieszano się w nieszczęściu, pobudzano do szlachetnej emulacji.

Towarzystwo Jezusowe było czemś nowem i jedynem w swem rodzaju nie tylko z powodu broni, jaką jego Założyciel dał do ręki, lecz także z powodu zbroi, której mu rzec się kazał. Daleką była od niego myśl i chęć rządzenia światem; zamiarem jego było tylko Głowie Kościoła, w celu obrony i rozkrzewienia tegoż, zaofiarować oddział pomocniczy, gotowy każdego czasu do wymarszu i obrotu. Dlatego nie mieli mężowie ci ani dzierżyć pastorału, ani też przywiązanymi być do jakiegobądź miejsca przez systematyczną opiekę duchowną nad niewiastami. Ponieważ w konstytucjach dane były poszczególnym członkom Towarzystwa silne rękojmię co do

życia wewnętrznego, przeto zdało się Ignacemu, iż ze względu na nowe zadania uchylić należy niejednen zewnętrzny środek ochronny, którym się stan zakonny w ciągu stuleci z wielkim pożytkiem posługiwał. Takim jest własny ubiór zakonny. Wrogowie Kościoła do habitu mniszego czuli odrazę; co gorsza: splamiony przez niegodnych i odstępców, w niektórych nawet katolickich okolicach służył raczej do zamknięcia, niż do rozwarcia drzwi i serc przed apostolskim pracownikiem. Ignacy zarządził, by jego uczniowie ubierali się wedle krajowego obyczaju; przytem mają zawsze mieć na pamięci przystojność i ubóstwo. Także i pod względem pożywienia i wogóle zewnętrznego trybu życia powinni trzymać się zwyczajów krajowych, nie mając z ogólnej reguły nakazanych osobnych postów i innych praktyk pokutnych; w tych rzeczach ma każdy raczej ćwiczyć się wedle wskazówek spowiednika i przełożonego.

Tym samym duchem ożywiony, uczynił też Ignacy śmiały krok, na który założyciele zakonu Teatynów jeszcze się nie odważyli, którego mu przez dziesiątki lat po jego śmierci pobożni i uczeni mężowie darować jeszcze nie mogli: pomimo osobistego zamiłowania do uroczystej modlitwy chórowej, zwolnił od niej zakon swój całkowicie, by mógł tem swobodniej oddać się głoszeniu słowa bożego, słuchaniu spowiedzi, studjom

i nauczaniu; kto pragnie zbudować się chórową modlitwą, ten, jak mówił, dość znajdzie innych kościołów.

Założycielowi Towarzystwa Jezusowego we wszystkich jego zarządzeniach stały jakby przed oczyma duszy te słowa św. Tomasza z Akwinu: »Zewnętrzne ostrości nie stanowią rzeczy głównej w życiu zakonnem... Nie ten zakon wyżej stoi, który ma więcej zewnętrznych ostrości, lecz ten, którego zewnętrzny tryb życia zastosowany jest z większem zrozumieniem do szczególnego celu zakonu«. Zliczono, w ślad za św. Ignacym, ile razy w konstytucjach jego powtarzają się słowa: »na większą chwałę bożą«, »dla lepszego służenia Bogu« i znaleziono takie i tym podobne wyrażenia w przeszło dwustu pięćdziesięciu miejscach. Bo też konstytucje te promieniowaniem są jego duszy, a dusza jego wszystka miłością była, miłością Boga i bliźniego.

Zadanie życiowe wielkiego Założyciela zakonu i prawodawcy, z chwilą ogłoszenia konstytucyj, co do istoty swej było dokonane. Gdy umierał w dniu 31 lipca 1566 r., nowy zakon już się rozszerzył na cztery części świata. Ilość członków zakonu już w roku 1554 obliczano mniej więcej na 1500, ilość Domów w roku następnym na 65. Do członków jego zaliczali się doktorowie najpierwszych uniwersytetów i synowie najprze-
dniejszych rodów szlacheckich. W charakterze

nuncjusów papieskich dotarli do Irlandji, Polski, Egiptu i Japonji, jako teologowie błyszczeli na Soborze trydenckim, jako kaznodzieje zwrócili na siebie uwagę na uniwersytetach w Lowanium i Salamance, na dworach w Valladolid, Brukseli i Wiedniu, jako misjonarze obudzili na nowo życie chrześcijańskie w okolicach, gdzie już zdawało się być zamarłem, jako wychowawcy młodzieży niepozorną swą działalnością przygotowali nowe pokolenie gorliwych katolików. Także i zewnętrzna organizacja zakonu takie poczyniła postępy, iż w roku 1556 obejmował już dwanaście prowincyj. Cała zaś ta potężna budowa powstała z konsekwentnego rozwoju onego postanowienia, które powziął był na trzydzieści pięć lat przedtem, na łożu boleści w Loyoli, rycerz do tego czasu całkiem światowy i naukowo niewykształcony. Wszystko to rozwinęło się z niepozornego zarodka, mimo nieustających sprzeciwów, mimo prześladowania i potwarzy.

TERESA OD JEZUSA
I REFORMA ZAKONU KARMELITAŃSKIEGO

TERESA OD JEJUSZA

WYDZIAŁ NAUK FIZYCZNYCH I WYDZIAŁ NAUK CHEMICZNYCH



ŚW. TERESA OD JEZUSA.

Teresa z Ahumady, albo też, jak nazywa się imieniem zakonnem, Teresa od Jezusa, urodzona 1515 roku w Avili w Starej Kastylji, zmarła w Alba de Tormes 4 października 1582 roku, stanowi jedną z najwspanialszych i najbardziej powabnych postaci w całej historii Kościoła tak z powodu wewnętrznego bogactwa, jak i wszechstronności niezrównanych wprost darów umysłu. Pisma swe: wzorową autobiografię, dzieje swych zakonnych fundacyj, listy, poezje i rozprawy mistyczne rzucała szybkim piórem na papier; listów swych, wśród nawału zajęć, po pierwszym ich skreśleniu, najczęściej nawet nie odczytywała, a mimo to zajmuje poczesne miejsce wśród hiszpańskich klasyków z powodu »czystości, piękna i wdzięku swego stylu«, oraz »genjalnej siły wysłowienia«. Na polu teologii mistycznej cieszy się w Kościele katolickim pierwszorzędną powagą; nikt przed nią rozmaitych stanów mistycznych tak szczegółowo nie opisał i tak jasno nie rozróżnił, nikt po niej nie dorzucił istotnych nowych spostrzeżeń do podanych przez nią opisów; co najwyżej uczeń jej i przyjaciel, Jan od

Krzyża, stanąć pod tym względem może u boku swej mistrzyni. Przez reformę wreszcie zakonu karmelitańskiego, któremu nowy dała polot, na którym po części nowe wycisnęła znamię i nowe przed nim otworzyła pola pracy, dorównywa ona wielkim założycielom zakonów XVI stulecia i w jednym z nimi staje szeregu.

Tak szeroka wszechstronność już sama przez się dowodzi, co też wszędzie stwierdzają pisma Teresy, że u niej kojarzy się rozum przenikliwy, jasny sąd o rzeczach, zdumiewający wręcz spokój i ścisłość w badaniu własnej osoby, w przedziwnem połączeniu ze wzrokiem prawodawcy, znajomością ludzi i zrozumieniem zwykłych potrzeb i drobnostek codziennego życia. Te zaś nadzwyczajne dary jej ducha znajdują poparcie w większych jeszcze zaletach charakteru. Dowodem tego całe jej życie i znowuż jej pisma. Nawskróś czysta i szlachetna, z łatwością zapalająca się do najwyższych idei z dziedziny moralności i religji i gotowa na poniesienie z radością serca wszelkiej ofiary w walce o te najwyższe dobra, pełna męstwa wśród powstających trudności, wytrwała w cierpieniu, okazuje ona moc i odwagę silnego mężczyzny, ale też i z drugiej strony cały wdzięk i powab szlachetnej duszy kobiecej. I jakby tych wszystkich zalet niedość jeszcze było, łączy ona z tem wszystkim wytworność umysłu i form towarzyskich, któ-

rych każda nawet dama z wielkiego świata pozazdrościłaby jej mogła.

Niepodobna oddać tego w krótkich słowach, trzeba to samemu przeczytać, by się przekonać, jak np. Teresa wielkiej dobrodziejce, chcącej narzucić jej niezdatną nowicjuszkę, odradza wykonanie tego zamiaru, jak w sprawie sporów pomiędzy reformowanymi i niereformowanymi Karmelitami, w listach do wspólnego generała zakonu umie zachować subtelną granicę pomiędzy śmiało i otwarcie wypowiedzianymi uwagami, a szacunkiem i posłuszeństwem. W najbardziej nawet drażliwych sytuacjach nie brak jej nigdy właściwego wyrazu. Słynnem jest w tym względzie pierwsze jej przemówienie, jako nowoobranej przełożonej zakonu Wcielenia w Avili. Opuściła ona klasztor ten, aby ugruntować swą reformę; teraz powraca tam, ku niezadowoleniu wielu, naznaczona rozkazem Wizytatora Apostolskiego na przeoryszę i reformatorkę, z pominięciem prawa wyboru zakonnice, a pomimo to udaje się jej przy tem pierwszym wystąpieniu taktem i subtelnością pozyskać wszystkie serca.

Szlachetna natura Teresy przejawia się już w dziecięcych jej latach, spędzonych w zdrowym klimacie wysoko położonej Avili. Jakby czar jaki święty unosi się imię tej przedziwnej niewiasty i dziś jeszcze ponad granitowymi budowlami górskiego miasta, okolonego malowniczymi murami

i wieźcami i przechowującego liczne pamiątki po tej największej ze swych córek. Na miejscu, gdzie stał jej dom rodzinny, wznosi się barokowy kościół św. Teresy, pokój, w którym ujrzała światło dzienne, zamieniony został na wspaniale przyozdobioną kaplicę. Zachował się jeszcze stary ogródek przy domu. Tam to, mając lat siedm, czytała ze starszym swym bratem w legendach o Świętych opisy cierpień i triumfu męczenników; wówczas to szczególniejsze na niej wywarła wrażenie myśl, iż owi bohaterowie chrześcijaństwa na takiej drodze zdobyli sobie nieskończoną chwałę. »Na zawsze, na zawsze«, powtarzają sobie oboje i niebawem powzięła już Teresa swe postanowienia: w dziecięcej prostocie puszcza się z bratem w drogę do kraju murzynów, aby śmiercią męczeńską zdobyć tam sobie szczęście bez końca. Odprowadzona do domu przez wuja, wraz z bratem, buduje sobie pustelnię, w której wspólnie z nim odmawia różaniec. Wszakże po wczesnej śmierci matki, inne wpływy działać na nią poczynają. Potajemna lektura rycerskich powieści i stosunki towarzyskie z krewnymi płochego usposobienia, budzą w niej kobiecą żądzę przypodobania się i skłonność do światowości; od ciężkiego upadku chroni ją wysokie poczucie godności i wrodzona szlachetność umysłu. Stan taki trwał zaledwie tylko przez ćwierć roku; w klasztorze Augustjanek w Avili, do którego ojciec od-

dał ją na wychowanie, gdy miała lat czternaście, rychło bardzo odżyły wrażenia lat dziecięcych, spędzonych w pobożności; wszakże po ciężkich dopiero walkach wewnętrznych postanowiła sama poświęcić się życiu zakonnemu, a i wtedy obrała sobie tylko łagodniejszego kierunku klasztor, Karmelitanek w Avili. Listy św. Hieronima wpłynęły na nią, iż postanowiła zwierzyć się ojcu ze swego postanowienia i od tej chwili los jej był zdecydowany: ze względu na honor nie cofnęłaby za nic w świecie raz danego słowa.

Teraz więc od roku 1535 do 1562 należała Teresa do klasztoru Wcielienia w Avili. Gdy już przebyła bohatersko chwilę rozłąki z rodziną, co było dla niej jakby boleścią konania, odczuwać poczęła trwałą radość w ćwiczeniach życia zakonnego; nastał dla niej czas poważnej pracy nad zdobyciem cnoty, ale też i czas ciężkich walk i cierpień. Ostre środki lecznicze, zastosowane przez znachorkę w niebezpiecznej chorobie, przysporzyły ją o czterodniowe omdlenie i grób jej stał już otworem. Po tym ataku przez długi czas jeszcze leżała chora obłożnie, zwinięta w kłębek, z pokąsanym od bólu językiem, niezdolna bez obcej pomocy do najmniejszego ruchu, z wyjątkiem poruszania jednym palcem i tak drażliwa na całem ciele, iż najłżejsze dotknięcie stawało się jej nieznośnem.

Powróciwszy po kilku latach do zdrowia, Te-

resa ujrzała się teraz wplątana w długi szereg walk wewnętrznych. Klasztor w Avili nie posiadał właściwej klauzury; że zaś dochody jego, przy wielkiej liczbie stu pięćdziesięciu zakonnic, zaledwie wystarczyć mogły, pozwalano chętnie na towarzyskie stosunki z osobami postronnemi. Teresę zwłaszcza, odznaczającą się wysoką inteligencją, wzywano często do kraty, ona zaś w światowych rozmowach znajdowała upodobanie. Życie wewnętrzne w głębokiem skupieniu, przy tak nieustannem rozproszeniu, rozwijać się nie mogło. Tak to młoda zakonnica w wewnętrzną zapadła rozterkę; czuła w sobie pociąg do zajmowania się wyłącznego Bogiem i rzeczami duchownemi, z drugiej strony jednak i rzeczy światowe radość jej sprawiały. Wstrząśnięta śmiercią ojca, poczęła wprawdzie oddawać się znów zaniechanej już modlitwie myślniej, lecz z nadzwyczajnem tylko przewyciężeniem siebie zdołała w niej wytrwać. Dokładny rys swego stanu duszy odnalazła później w tych rozdziałach Wyznań św. Augustyna, w których tenże opisuje swe wahania pomiędzy Bogiem i światem; jak przedtem Hieronim, a potem, podczas choroby Grzegorz Wielki, tak teraz znów jeden z wielkich Doktorów Kościoła, Augustyn, w słynnym opisie swego nawrócenia, stał się tym, który przykładem swym obudził w Teresie zapał do powzięcia rozstrzygającego postanowienia. Poprzednio już nie-

zmiernie głębokie wrażenie wywarł na nią posąg okrytego ranami Zbawiciela i serce jej silnie od upodobania w rzeczach światowych odciągnął. Z chwilą tego postanowienia otwiera się dla Teresy nowy okres życia, czas wewnętrznych przeżyć mistycznych. Uczuła się naraz całkiem przenikniętą obecnością Boga; »Było mi — tak pisze — zgoła niemożliwem powątpiewać o tem, że On przebywa we mnie, lub że ja całkiem w Nim jestem pogrążona«; czuła się przytem tak podniesioną na duszy, iż zdawała się zupełnie odchodzić od zmysłów. Nastąpiły potem widzenia, wśród których przestawała z Chrystusem i obcowała z niebem, otrzymując pouczenia zgóry; doznawała wrażenia, jakby dusza jej znagła w nowe wewnętrzne zmysły, na wzór zmysłów ciała, wyposażoną została. Wizje te najczęściej oddziaływały bezpośrednio na rozum, później też jednocześnie i na wyobraźnię, nigdy jednak podczas swych wizyj nie widziała nic oczyma ciała. Przenikało ją przytem uczucie niewymownego szczęścia; jedną godziną tego nadprzyrodzonego światła czuła się nadmiernie nagrodzoną za długoletnie trudy i przewyciężenie, które sprawiło, iż mimo wszelkich trudności wytrwała w modlitwie.

Pisma Teresy, które w językach wszystkich katolickich narodów, w nieskończonej niemal ilości rozeszły się po świecie, nadały wewnętrznym przeżyciom jej duszy znaczenie sięgające

daleko poza ciasny zakres mistyków. Prawdą jest, iż objawienia mistyczne zawsze istniały w Kościele, od kiedy Szczepan, pierwszy męczennik, ujrzał niebo otwarte i Paweł Apostoł do trzeciego nieba zachwycony został; pisma pierwszych Ojców Kościoła, takiego Cyprjana lub Orygenesisa, nie rzadko o nich wspominają; a jakkolwiek samozłudzenia i wymysły w tej tajemniczej dziedzinie już mniej więcej w epoce ruchów montanistycznych na jaw wychodziły, niemniej jednak Kościół silnie obstawał przy tem, iż objawienia te są możliwe, a w wielu wypadkach prawdziwe. Sam bowiem chrystjanizm tak pod względem swej nauki, jak i kultu, obfituje w tajemnice i opiera się ostatecznie na największej z tajemnic, tajemnicy Trójcy Przenajświętszej, ujawnia się bowiem w posłannictwie drugiej i trzeciej Osoby Boskiej ku pouczeniu i odkupieniu ludzkości i dla zamieszkania w duszy każdego z osobna; dlaczegoby zaś działanie Ducha Świętego w duszach nie miało nigdy wychodzić poza zwykłe granice łaski, tego odgadnąć niepodobna. To też wszyscy wielcy założyciele zakonów i Święci XVI stulecia, to dusze bez wyjątku mistyczne, lecz historia papieży nie ma powodu mówiąc o nich, wchodzić w szczegóły tych rzeczy.

Co do Teresy natomiast, sprawa istotnie inaczej się przedstawia. Chociażby bowiem wszystkie mistyczne zjawiska dały się już wykazać

w życiu jej poprzedników, to nigdy jednak cały zakres mistyki we wszystkich jego stopniach nie był przed nią ani tak szczegółowo przedstawiony, ani tak jasno we wszystkich szczegółach opisany. Teresa w tej dziedzinie czyni prawdziwe odkrycia, żeglując śmiało poprzez nieznane jeszcze morza i zdobywając dla Kościoła nowe duchowe królestwo. Od chwili, jak pisma jej, zanim nastąpiła jej kanonizacja, zostały przez Kościół zbadane i uznane za wolne od wszelkiego zarzutu, takiej pod opieką papieży nabrała powagi, że ją, niewiastę, jedyną ze swego rodu, porównać można z największymi Doktorami Kościoła. I dlatego to, pomimo odrębności przedmiotu, nie wolno historjografowi papieży¹ przejść obok Teresy, mistyczki, nie zwróciwszy na nią uwagi.

Doniosłość tych pism, jak i całego kierunku, któremu Teresa drogę otworzyła, należy przede wszystkim zrozumieć i osądzić na tle ich stosunku do duchownych prądów, właściwych czasom nowożytnym. Niezaprzeczony postęp na polu kultury w XVI stuleciu prowadzi do błędów i przesady, coraz to bardziej głowę podnosi ów kierunek myśli, który w pieniądzach i majątku, w rozkwicie handlu i przemysłu, w sile i dobrobycie jedyne dostrzega wartości życia ludzkiego, w na-

1. Przypominamy, że szkic niniejszy jest wyjątkiem z ogromnego dzieła Pastora, tj. z »Historji papieży«.

Przyp. tłum.

uce to tylko chce uznać, co się da uchwycić rękami i dowieść drogą doświadczalną, w polityce nie tylko faktycznie, lecz nawet mniej lub więcej zasadniczo usuwa na bok sprawiedliwość i chrystjanizm, a siłę prawem ogłasza. Z tem większym przeto naciskiem należało wewnątrz Kościoła zwrócić uwagę na pierwiastek nadprzyrodzony i duchowy, że zaś pod tym względem i postęp mistyki odegrać musiał pewną rolę, jest rzeczą jasną, ona bowiem ochraniała, pogłębiała, wzmacniała w chrześcijaństwie wiarę w świat nadprzyrodzony: i kiedy ówczesne prądy światowe rozszerzały bezmiernie zakres swój w stronę rzeczy ziemskich, wewnątrz Kościoła odpowiednio do tego rozszerzał się zakres poznawania w kierunku zaświatów. Jak zawsze jedna przesada, drogą reakcji, drugą wywołuje, tak też w ślad za coraz to wzmagającym się pędem do rzeczy czysto ziemskich, szła w następnych stuleciach przesadna i fałszywa mistyka. Teresa miała tu do spełnienia ważne posłannictwo; w sporach kwietystycznych np. mógł Bossuet przeciwko Fénelonowi powołać się na jej pisma, jako na wzór mistyki uznanej przez Kościół.

Szczególniejsze znaczenie przyznać też należy pismom Teresy w sprawie rozwoju nowoczesnego życia zakonnego. Zgromadzenia zakonne średnich wieków usiłowały ducha zakonnego ochraniać zwłaszcza przez odcięcie od świata ze-

wewnętrznego, przez zewnętrzne surowości i długie ustne modlitwy. Nowsze zakony, które w całym założeniu swym najczęściej i głównie przeznaczone są do pracy duszpasterskiej i do wywierania wpływu na świat, środków tych w równej mierze stosować już nie mogły, musiały więc starać się brak ich zastąpić wzmożeniem wewnętrznego życia duchowego; zamiast chórowej modlitwy ustnej większy kładzie się nacisk na modlitwę wewnętrzną, kontemplacyjną. Na tem polu powołanym w pierwszym rzędzie mistrzem był Ignacy z Loyoli przez swe duchowne ćwiczenia; że jednak rozwój mistyki i Teresa, jako jej mistrzyni, pociąg do życia wewnętrznego potężnie krzewiły, jest rzeczą jasną. Najrozmaitsze zakony przyłożyły starań o uwielbienie Teresy i rozszerzenie jej pism; nie w samych tylko chyba względach zewnętrznej natury szukać należy powodu, dla którego jeden z najznakomitszych założycieli zakonów nowszych czasów, Alfons Marja Liguori, nie napisał żadnego listu, nie umieściwszy na początku także i jej imienia. Pisma Teresy pełne są zresztą wskazówek i dla zwykłego chrześcijańskiego życia.

Mozolić się nad wyjaśnieniem stanów mistycznych nie jest rzeczą historyka. Teresa wszakże, jako mistyczka, tak jest nadzwyczajnym i jedynym w swym rodzaju zjawiskiem, iż nie może uchylić się od skreślenia jej wizerunku,

z całą właściwą mu oryginalnością także i z tej strony, narażając się nawet na to, iż postać jej okaże się wówczas jeszcze bardziej tajemniczą, niż już jest skądinąd.

Teresa bowiem nie należy bynajmniej do rzędu tych, co się bez sądu i oporu poddają barwnej grze wyobraźni. Przestrzega ona, by pierwszej lepszej fantazyjnej bańki mydlanej nie pocytywać za wizję; wskazuje na przykłady złudzeń w tym względzie i dodaje, iż jest to dla niej rzeczą niezrozumiałą, jak mogą niektórzy ludzie wmawiać w siebie, że coś widzą, czego w rzeczywistości nie widzą. Jest też dla niej rzeczą jasną, że przesadne posty i nocne czuwania sprowadzić mogą stany, przez nieświadomych rzeczy mylnie uważane za ekstazy; w wypadkach podobnych zwykła była podwładne sobie osoby leczyć posilniejszym pożywieniem i dłuższym nocnym wypoczynkiem. Naogół niema w naturze Teresy nic zgoła przesadnego. Klaryski madryckie, u których przebyła dwa tygodnie, wielce były uradowane, znalazłszy w niej świętą, którą naśladować można, gdyż je, i śpi, i mówi jak każda inna. Można czytać całemi tuzinami listy jej, pisane do osób z rodziny lub do Sióstr zakonnych, nie natknąwszy się na ślad nawet mistycznego usposobienia autorki; ona tam bynajmniej nie obraca się w obłokach, lecz daje się tylko poznać, jako osoba nawskróś rozsądna,

mająca sąd o rzeczach trzeźwy, współczująca, troszcząca się o najdrobniejsze szczegóły, dotyczące jej krewnych lub podwładnych, tak, iż nie uważa sobie za ujmę udzielać rad przeciw bólowi zębów i t. p. i polecać dokonania próby z jakimś wielce wychwalanym kuchennym piecem.

Nikt następnie, kto tylko zna pisma Teresy, nie poda chyba w wątpliwość szczerości i wierności, z jakimi opowiada o swych wewnętrznych przeżyciach. Opisuje ona rzeczy prawdziwie przeżyte, nie zmyślane, oto wrażenie, jakie się każdemu czytelnikowi nasuwa i któremu oprzeć się nie może; żąda ona jak najściślejszego zamilowania prawdy nie tylko od drugich, lecz stawia to żądanie i sobie, i dlatego też widoczną jest rzeczą, że usiłuje wyrażać się, jak tylko się da najjaśniej i najwierniej. Często stara się wytłumaczyć istotę przeżyć mistycznych za pomocą porównań, lecz nie zapomina przytem wskazywać na te punkty, w których porównanie trafnem nie jest; gdzie tylko w drobnych nawet szczegółach, np. w oznaczaniu czasu, nie jest sobie pewną, tam nie zaniedbuje niepewność tę zaznaczyć.

Dalej, nie przywiązuje Teresa zbytnej wagi do przeżyć mistycznych. Powtarza ona często, że miłość ku Bogu nie polega na łzach i słodkich uczuciach, lecz na tem, by Bogu służyć w sprawiedliwości, z męską odwagą i pokorą. Toteż

gdy pierwszych doznała objawów mistycznych, prosiła Boga, by ją inną raczej prowadził drogą; a i później jeszcze usiłowała zbliżającym się ekstazom opór stawiać, co prawda, zawsze prawie napróżno, gdyż miała wrażenie, jakby ją orzeł jaki chwycił i w górę unosił. Te jednak objawy nie przywodziły jej do upodobania w sobie; powodem, dla którego ona właśnie, a nie kto inny, prowadzona była tak niezwykle drogami, była w jej mniemaniu własna jej słabość, której nadzwyczajna podpora była potrzebna.

Powtarzające się stany mistyczne stały się dla Teresy źródłem wielkich cierpień. W otoczeniu jej wszystko to zrazu uważano za szatańską ułudę, a uczucie niepokoju, iż jest może igraszką złego ducha, stawało się dla niej powodem najstraszniejszego wewnętrznego ucisku. Pierwszymi, którzy ją uspokoili, byli niektórzy Ojcowie Jezuici, pod których kierunek oddała się w pierwszych trudnych latach nowego swego życia; to też mawiała później, że w Towarzystwie Jezusowem została wychowaną i życie otrzymała. Większej jeszcze ulgi doznała za pośrednictwem Piotra z Alkantary; lecz i wtedy jeszcze wspomnienie wszystkich mistycznych radości niekiedy jakby znikało z jej pamięci, czuła się w najwyższym stopniu uciśnioną na ciele i na duszy. Gdy całkowite i rzeczywiste pojawiały się ekstazy, zwykłym jej stanem w czasie doznawania tych

dowodów łaski i z powodu tychże, była głęboka boleść duszy, którą ona do konania przyrównywała. Naogół powiada Teresa, iż Bóg dusze, oddane kontemplacji, uciążliwemi prowadzi drogami i twardo się z niemi obchodzi, mistyczne upojenia rozumieć należy tylko jako przeciwwagę cierpień, któreby inaczej były nie do zniesienia.

Teresa, mimo wszystkich zrazu wątpliwości, uspokoiła się z czasem co do prawdziwości swych stanów mistycznych. Powiada, że jak długo trwały takie ekstatyczne przejawy, było rzeczą całkiem oczywistą, iż nie mogły mieć przyczyny przyrodzonej; gwałtowna zmiana ku lepszemu, jaka się w niej dokonała za pośrednictwem łask mistycznych, wskazywała również na rękę Boga. Podczas takiej ekstazy wzbogaca Bóg w najkrótszym czasie duszę takimi skarbami, jakichby z największym nawet wysiłkiem w ciągu lat dwudziestu nie mogła zdobyć pracą; przenika ją poczucie lekceważenia wszystkiego, co ziemskie i niezwyknięta odwaga do przedsięwzięcia wielkich rzeczy na chwałę Bożą.

W rzeczy samej więcej, niż zwyczajnej śmiałości potrzeba było, aby się odważyć na to dzieło, które Teresa obecnie chwyciła w swe ręce i szczęśliwie przeprowadziła: na reformę całego zakonu, do którego należała.

Próby podniesienia zakonu karmelitańskiego do pierwotnej wysokości, rozpoczęte już były

w XV stuleciu. General zakonu Jan Soreth (1451—1471), w licznych prowincjach założył osobne klasztory, do których ściągają się mogli gorliwsi mnisi; najczęściej wszakże tworzono w tymże celu osobne kongregacje reformowane, tak w r. 1431 kongregację w Mantui, w r. 1499 w Albi, inną jeszcze w r. 1514 w Monte Oliveto koło Genui. Korzyści jednak, odniesione z tych wysiłków, ograniczone były tak co do czasu, jak i co do miejsca; kongregacje reformowane kryły nawet w sobie pewne niebezpieczeństwo, gdyż rozdzierały zakon na części. Odosobnione zwłaszcza zgromadzenie w Albi do poważnych doprowadziło rozterek; na założyciela jej, Ludwika z Lyry, kapituła generalna z roku 1503 nałożyła klątwę kościelną, stronnicy jego mimo to twardo stali przy swych zabiegach. Doszło do gorszących sporów. Wreszcie w r. 1584 kongregacja ta przez Grzegorza XIII zniesioną została. Niepokoje te sprawiły, iż nawet niektórzy dobrze myślący słysząc nie chcieli o tworzeniu nowych zgromadzeń w zakonnym organizmie, lub też z nieufnością do nich się odnosili. Teresa pod tym względem przez twarde przejść musiała doświadczenia. Mimo to jednak nie zamarła gorliwość o odnowienie ducha zakonnego. Przykładem tego pewna pobożna wdowa, Marja od Jezusa, która dopiero co wstąpiła była do Karmelitanek w Granadzie i jednocześnie z Teresą uczuła się powołaną od Boga do

założenia reformowanego klasztoru. Odbyła pieszo pielgrzymkę do Rzymu, otrzymała od papieża niezbędne pełnomocnictwa i zamiar swój w r. 1563 przeprowadziła. Staraniem Jaime Montanera powstał w Aragonji reformowany klasztor męski tegoż zakonu; w roku 1565 uzyskał on aprobatę Generała zakonu Rossi'ego.

Bezpośredniej pobudki do pracy reformatorskiej u Teresy szukać znów należy na polu mistyki. Pewnego dnia uczuła się z ciałem i duszą przeniesioną do piekła i ujrzała miejsce, do którego doprowadziłoby ją wkońcu życie pozbawione wyraźnej religijnej gorliwości. Przerażające wrażenie, doznane wskutek tej wizji, uważała za jedną z największych łask w życiu otrzymanych; wszelkie cierpienia ziemskie uważała już odtąd za niegodne wzmianki; przepelniła ją nawskróś wdzięczność ku Bogu, gotowość do wielkich czynów i cierpień dla Niego, litość nad temi licznemi duszami, które sobie grzechami tak straszne gotują miejsce, pragnienie surowością życia uzyskania od Boga łaski dla grzeszników, zwłaszcza dla błędnowierców we Francji. Naprzód tedy postanowiła regułę swoją zakonną zachowywać jak najdokładniej. Nowe wizje, oraz przychylnie usposobienie przyjaciółek, które do rozporządzenia jej złożyły pewne, choć nie wystarczające środki pieniężne, skierowały myśli Teresy ku założeniu osobnego klasztoru o jak najsurowszym kierun-

ku. Prowincjał zakonny udzielił niezbędnego na to przyzwolenia, Piotr z Alkantary i znamienity Dominikanin Ludwik Bertrand dodawali jej bodźca.

Teraz jednak zerwała się przeciw Teresie burza nie do opisania. Obchodzono się z nią jak z warjatką. Zakładanie klasztoru, gdy się nie miało w ręku potrzebnych do tego środków, zdawało się wszystkim najoczywistszem szaleństwem; Teresa sama na niektóre zarzuty przeciwników nic odpowiedzieć nie umiała. Prowincjał cofnął swe pozwolenie, spowiednik zaś Teresy, Jezuita Alvarez, zabronił jej wobec tego poczynać cokolwiek w tej sprawie. Teresa w ciągu sześciu miesięcy, aż do chwili odwołania rozkazu, ujrzała się skazaną na bezczynność. Jedyne tylko interwencji papieża Pawła IV przypisać należy, że reforma zaraz w pierwszych początkach nie została stłumiona. Doradca Teresy, Dominikanin Ibáñez, uzyskał dla niej dekret wielkiego penitencjarza Ranuccia Farnese, nadający prawo dokonania upragnionej fundacji. Teresa tymczasem za pośrednictwem swej siostry wystarała się pokryjomu o nabycie niewielkiego domku. Zgoła niespodzianie doszła rąk jej, przez brata, znaczniejsza suma pieniężna z Peru. Dnia 25 sierpnia 1562 r. nastąpiło otwarcie malutkiego klasztoru św. Józefa w Avili, który się stał kamieniem węgielnym niezmiernie ważnej refor-

my zakonnej. Teraz po raz drugi nowa wybuchła burza; Teresa przez swą przeoryszę odwołana została do klasztoru Wcielenia, rada miejska w Avili uchwaliła nową fundację powstrzymać. Gorszono się zwłaszcza tem, że Teresa, po spotkaniu ze wspomnianą Marją od Jezusa, nie chciała klasztorowi swemu pozwolić na posiadanie stałych dochodów. Uzyskała jednak sankcję tego zarządzenia za pośrednictwem Penitencjarji. Opierając się na obu papieskich reskryptach, zatwierdzonych bullą Piusa IV, wszystkim napaściom stawić mogła czoło. Słynny teolog dominikański, Dominik Banez, jako obrońca jej przed radą miejską w Avili, sprawę zwycięsko przeprowadził.

W nowym tym klasztorze, który oddała pod władzę biskupa z Avili, nie zaś Generała zakonu, przeżyła Teresa aż do roku 1567, pięć najspokojniejszych lat swego życia. Regułę karmelitańską zachowywano tam, bez dozwolonych przez papieży złagodzeń, w pierwotnej surowości, a Teresa konstytucjami swemi jeszcze ją nawet bardziej obostrzyła. Ta wszakże surowość całkowicie pogrążona była w tam znamiennym u Teresy duchu apostołskim, którego też starała się wpoić swym podwładnym zakonnicom; miały one składać Bogu wszystkie swe modlitwy i ofiary, celem wspierania kapłanów w nawracaniu grzeszników, błędnowierców i pogan. Pragnienie Te-

resy, by mogła w tej mierze dokonać czegoś dla chwały bożej, rozgorzało w szczególniejszy sposób wskutek odwiedzin pewnego misjonarza, Franciszkanina z Indyj, Franciszka Maldonaldo, który jej o smutnym stanie świata pogańskiego w Indjach opowiadał.

Wkrótce potem przybył do Avili generał zakonu karmelitańskiego, Giovanni Battista Rossi. Filip II, chcąc znaleźć poparcie dla swych reformatorskich dążeń, wystarał się o osobiste przybycie Rossi'ego do Hiszpanji, Pius V zaś wyraził na to zgodę przez brewe z dnia 24 lutego 1566 r. W Andaluzji odbył Rossi 20 września 1566 r. kapitułę zakonną, zamianował nowego prowincjała i wydał reformatorskie zarządzenia. W następnym roku uczynił to samo w kastylskiej prowincji zakonnej. Zaproszony przez Teresę, odwiedził też zreformowany klasztor w Avili. W najwyższym stopniu ucieszony, ujrzawszy tu znowu zakon karmelitański w dawnym rozkwicie, otworzył Rossi przed Teresą szerokie pole dla jej gorliwości i żądzy czynu, udzielając jej pełnomocnictwa na fundację innych jeszcze reformowanych klasztorów; później zaś pisał do niej, że może założyć ich tyle, ile ma włosów na głowie. Ze zwykłą sobie odwagą przyjęła Teresa i to zlecenie i jeszcze je nawet rozszerzyła. Za ledwie bowiem Generał opuścił Avilę, gdy przyszła jej myśl, że klasztorom żeńskim, które miała

założyć, niezbędną będzie podpora ze strony reformowanych klasztorów męskich; potrzeba zatem przyłożyć rękę zarówno do reformy Karmelitów, jak Karmelitanek. I na ten projekt zgodził się Rossi, lecz z jednym tylko zastrzeżeniem: udzielił pełnomocnictwa na fundację dwóch tylko klasztorów męskich, i tylko dla prowincji kastylskiej, nie zaś dla Andaluzji; wspomnienie złych skutków, wywartych poprzednio przez tworzenie kongregacyj wewnątrz zakonu, mogło po części przynajmniej wytłumaczyć to ograniczenie.

Nie brakło już teraz Teresie pełnomocnictw, lecz brakło najniezbędniejszych środków pieniężnych. Ale zaradzić temu potrafiła. W Medina del Campo znajdował się dawny jej spowiednik, Baltasar Alvarez, rektor kolegium jezuickiego; za jego pośrednictwem przewyciężyła zarzuty stawiane jej przez władze kościelną i cywilną. Pewna młoda dama, która w klasztorze św. Józefa w Avili nie znalazła przyjęcia dla braku miejsca, udzieliła środków pieniężnych; Teresa wówczas odważyła się na rzecz, którą zarówno biskup z Avili, jak i niektórzy jej przyjaciele uważali za szaleństwo, dając mianowicie początek nowemu klasztorowi w Medina, co prawda, na razie w niezmiernie skromnych rozmiarach.

Pomyślny wynik pierwszej próby miał dla odważnej założycielki klasztoru dalsze jeszcze

skutki. Przeor Karmelitów w Medina, Antonio de Herida, który jej pomoc okazał w kupnie nowego klasztoru, oświadczył się z gotowością przyjęcia reformy, i, co ważniejsza, innemu jeszcze i większemu od siebie dopomógł do nawiązania z nią stosunków, młodocianemu jeszcze Juanowi de Yepes, czyli, jak się później nazywał, Janowi od Krzyża. Urodzony w r. 1542, jako najmłodszy syn ubogiego tkacza jedwabiów w Fontiberos, miał Jan, zwłaszcza po wczesnej śmierci ojca, dostateczną sposobność zakosztowania biedy i cierpienia w walce o chleb powszedni, i nawyknienia do twardego życia. Do niedostatku przyłączyło się upokorzenie, okazał się bowiem zgoła niezdatnym do jakiegokolwiek rzemiosła. Kierownik pewnego szpitala w Medynie zajął się nim. Na niskich posługach zeszło u niego Janowi siedm lat życia, w którym to czasie uczęszczał oprócz tego do szkoły jezuickiej i czynił tam dobre postępy. W roku 1563 wstąpił do Karmelitów w Medina i przyjął imię Jana od św. Macieja. Po złożeniu ślubów, pozwolono mu zachowywać pierwotną niezłagodzoną regułę. Gdy mu tego jeszcze niedość było, gdyż pragnął prowadzić życie surowe do ostateczności, przemyśliwać począł o opuszczeniu zakonu Karmelitów i o wstąpieniu do Kartuzów. Teresa jednak, przy spotkaniu się z nim w Avili, przekonała go, iż miłszem będzie Bogu, gdy w raz obranym zakonie doskonały ży-

wot pędzić będzie. W ten sposób pozyskała sobie główne narzędzie do odnowienia męskiej odrośli swego zakonu. W małej wioszczynie o dwudziestu kominach, zwanej Duruelo, oddał mu jakiś szlachcic niezmiernie ubogi dom do rozporządzenia; tam to w dniu 28 listopada 1568 r. rozpoczęli Antonio de Herida i Juan de la Cruz życie klasztorne na wzór Karmelitów bosych.

Teresa tymczasem w jednym tylko roku 1568 założyła dwa dalsze klasztory żeńskie, w Malagón i Valladolid. Weszła naogół odtąd w nową epokę życia. Stany mistyczne trwają jeszcze nadal, wspina się nawet na coraz wyższe stopnie, wszakże jest to obecnie przedewszystkiem Teresa, założycielka klasztorów, odnowicielka swego zakonu, która zwraca na siebie uwagę innych. Sława jej rozeszła się po Hiszpanji; raz po raz ktoś z wysokiej szlachty, to znów jakiś pobożny kupiec dom jej ofiarowuje. W osłoniętym powozie, który jej klasztor zastępować musi, udaje się wtedy na miejsce; spotykamy ją to w samym sercu Hiszpanji, w Toledo lub Segovji, to wysoko na północy w Burgos lub Palencji, to znów w najdalej ku południowi wysuniętej Seville lub Granadzie. Najczęściej udaje się jej po długich pertraktacjach i wśród licznych trudności założyć nowy bardzo zrazu ubogi klasztor, który wkrótce potem umacnia się i rozwija. Oprócz reformowanego klasztoru w Avili, powołała do życia w krót-

kim okresie czasu od r. 1567 do 1582 nie mniej, jak 16 nowych klasztorów żeńskich, a działalność jej, jako założycielki, po dwakroć w tym czasie przerwana była na lata całe.

Pierwsza przerwa, od r. 1572 do 1574, łączy się z zabiegami Grzegorza XIII o reformę Karmelitów trzewiezkowych. Pobyt Generała zakonu Rossi'ego w Hiszpanji nie osiągnął upragnionych wyników; wskutek nalegań Filipa II polecił z kolei papież dwom Dominikanom przeprowadzenie nowej wizytacji: Pedro Hernández otrzymał zlecenie zreformowania Karmelitów w Kastylji, Francisco de Vergas w Andaluzji. Hernández rozpoczął swe urzędowanie w Pastranie; co tu usłyszał o Teresie, napełniło go podziwem, który dla założycielki zakonów ten niemiły może odniósł skutek, iż naznaczył ją na przeoryszkę dawnego jej klasztoru Wcielenia w Avili. Potężnie natomiast przyczyniło się do poparcia jej sprawy, gdy Hernández w Madrycie wobec króla i nuncjusza Ormaneto głosił jej pochwały.

Względy Ormaneta korzyść przyniosły dziełu reformy Teresy, zwłaszcza co do rozwoju męskiej odrośli zakonnej. Do pierwszego klasztoru męskiego w Duruelo, przeniesionego wkrótce do Mancery, przyłączył się w r. 1569 drugi w Pastranie, i to znów dzięki osobistym zabiegom Teresy. W myśl zarządzenia Generała zakonu Rossi'ego, gorliwości jej fundacyjnej nie wolno było

przekroczyć liczby dwóch klasztorów męskich; było jednak rzeczą dla zreformowanych Karmelitów wielce pożądaną, by mogli w mieście uniwersyteckiem Alcalá posiadać kolegium dla kształcenia młodszych członków zakonu. Na mocy pełnomocnictwa udzielonego przez wizytatora Hernándezza powstało w rzeczy samej kolegium takie w roku 1570; znowuż zaś z upoważnienia papieskiego wizytatora Vargasa założyli reformowani Karmelici w dwóch następnych latach, bez udziału Teresy, cztery dalsze klasztory męskie w Andaluzji. Ustępstwa poczynione przez Generala Karmelitów, odnoszące się tylko do klasztorów w Kastylji, zostały przez to ponownie przekroczone; do tego jeszcze popełnił Vargas tę nieroztropność, iż jeden klasztor odebrał Karmelitom złagodzonej reguły i oddał go reformowanym.

Ze wzrastającym niepokojem śledzili Karmelici złagodzonej reguły postępy reformy, która im najlepszych ludzi zabierała. Uzyskał wreszcie General zakonowi Rossi papieskie brewe z dnia 13-go sierpnia 1574 r., które obu Dominikanom, jako wizytatorom, odbierało ich pełnomocnictwa; ogłoszenie tego reskryptu odłożył do generalnej kapituły następnego roku.

Reforma wszakże znalazła obrońcę w osobie madryckiego nuncjusza. Na wieść o papieskim reskrypcie oddał Ormaneto Dominikaninowi Var-

gasowi z powrotem urząd jego wizytatorski; upoważnienie do tego kroku zdawało mu się być przyznanem w piśmie papieskiego sekretarza stanu Galli'ego, który na zapytanie Ormaneta stwierdził, iż pełnomocnictwa nuncjusza przez to brewe uszczuplone nie zostały. W następstwie przydał Ormaneto Vargasowi, jako socjusza w urzędzie, reformowanego Karmelitę, Jerónimo Gracian'a. Był to człowiek niezmiernie zdolny i gorliwy, o którym Teresa, po rozmowie z nim w Veas, z nieklamany odzywa się zachwytem. Ale miał on dopiero lat dwadzieścia ośm, od lat kilku zaledwie był w zakonie, i było w tem coś odrażającego, że przedstawiciel dopiero co powstałej reformy miał wykonywać urząd sędziowski nad dawniejszym kierunkiem w zakonie. Ormaneto niebawem rozszerzył jeszcze pełnomocnictwa Gracian'a, mianując go wizytatorem Karmelitów bosych także na Kastylję, gdyż jako towarzysz Vargasa posiadał władzę tylko nad Andaluzją.

Gdy zbliżała się zamierzona kapituła zakonna w Piacenzy, uzyskał General zakonny od papieża brewe z 15 kwietnia 1575 r., w którym zamieszczona była przestroga, by wszędzie w poszanowaniu miano i wprowadzano prawdziwą obserwancję zakonną, i które udzielało też władzy do występowania przeciw przełożonym i klasztorom, ustanowionym lub założonym wbrew zakonnemu

prawu. Jaki był tego cel, to się na kapitule generalnej w Piacenzy stało widocznem: postanowiła ona w czasie Zielonych Świąt 1575 r. zniesienie domów założonych przez zreformowanych Karmelitów poza granicami Kastylji, i nakazała ich mieszkańcom, aby w ciągu trzech dni do dawnych swych klasztorów powrócili. Portugalczyka Tostado wysłano do Hiszpanji, jako wizytatora, dla wykonania tej uchwały; nosił się on z zamiarem zniszczenia wogóle całej reformy. Akta kapituły nie zawierają nic, coby dotyczyło klasztorów żeńskich. Pod koniec roku 1575 otrzymała Teresa rozkaz obrania sobie jednego z domów swego zakonu na miejsce stałego pobytu; wyjazd z klasztoru ani jej, ani żadnej innej reformowanej Karmelitance nie miał już być na przyszłość dozwolonym. Teresa obrała Toledo; od r. 1576 do 1580 działalność jej, jako założycielki Domów klasztornych, ustała po raz drugi.

Powzięte w Piacenzy uchwały pozatem na razie zbyt mocno odczuwać się nie dawały. Dotychczasowi wizytatorowie zakonu władzę swą wykonywali na mocy papieskich pełnomocnictw, nie mógł więc Tostado osobę swą bez zastrzeżeń przeciw nim wysuwać. Ormaneto stał po stronie Teresy i jej przyjaciół; dopóki żył, nie było powodu do wielkich obaw ze strony Tostada, przeciwnie, mogło dzieło reformy ważyć się na dalsze nawet kroki, aby się umocnić. Od dawna już

uwazała Teresa za wielką niedogodność, iż zakony męskie reformowanych Karmelitów zależne są od niereformowanych. Pismem z dnia 19 lipca 1575 r. zwróciła się przeto wprost do króla; jest rzeczą bezwarunkowo niezbędną — tak pisała — aby kierunek reformy uzyskał własnego prowincjała, Gracian zaś najwłaściwszym jest na to stanowisko. Wtedy Ormaneto nie tylko spełnił jej życzenia, lecz nadto, jakby na przekór uchwałom z Piacenzy, nazначzył Graciana jeszcze i wizytatorem i reformatorem nie-reformowanej odrośli zakonnej w Andaluzji. Był to krok śmiały i chyba nieroztropny. Gdy nowomianowany wizytator pojawił się w klasztorze niereformowanych w Seveli, spotkał się z poważnym oporem, tak iż Ormaneto zmuszony był wystąpić z klątwą kościelną. Gdy tymczasem reforma posuwała się naprzód, wysłali zagrożeni nią zakonnicy do Rzymu dwóch delegatów z prośbą o odwołanie pełnomocnictw Graciana; według konstytucyj zakonnych — tak rzecz przedstawiali — wymaga się do spełniania urzędu wizytatora dziesięciu lat spędzonych w zakonie, Gracian zaś ma ich dopiero trzy. W Kastylji odbyli kapitułę pod przewodnictwem tamtejszego Prowincjała Salazara, której uchwały zmierzały do zniszczenia reformy; w myśl ich miały oba kierunki nie różnić się między sobą w ubiorze, a zwolennicy ich mieli żyć obok siebie w tych samych domach, każdy we-

dług swej reguły. Rzecz jasna, że gdyby te uchwały miały się utrzymać, to po pewnym czasie musiałyby się kierunek reformatorski rozplynąć wśród pozostałych zakonników.

Czyniąc zadość życzeniu Ormaneta, wysłali Karmelici zreformowani kilku delegatów na to zebranie i przeciw tym uchwałom założyli protest. Skorzystali teraz z praw przysługujących im, jako samodzielnej prowincji, odbywając też ze swej strony kapitułę w Almodovarze, na której zwłaszcza wprowadzone zostały nowe konstytucje zakonne dla Karmelitów bosych, przez co usunięte zostały różnice pomiędzy poszczególnymi klasztorami.

Nowe prawidła naszkicowane zostały przez Graciana, lecz całkiem w duchu Teresy i za jej poradą. Wpływ Teresy naogół przez wygnanie jej do Toledo udaremniony nie został. Ze wszystkich stron proszono ją o radę i na wszystkie strony rozsyłała swe listy, do króla, do Generała zakonu, do głównych przedstawicieli reformy i do klasztorów żeńskich, które założyła, stale zachęcając do wytrwania i miarkując zbytnią gorliwość. Sama powiada, iż przemęczyła się pisanem listów i nie rzadka do późnej nocy nie wypuszczała pióra z ręki. Kładła wówczas szczególnie nacisk na to, iż należy za przykładem przeciwników wysłać również delegatów do Rzymu, inaczej bowiem mogliby niereformowani

przez jednostronne przedstawienie stanu rzeczy wszelkie możliwe brewa uzyskać; mogliby zaś jednocześnie delegaci przeprowadzić u Generała zakonu lub u papieża oddzielenie się od niereformowanych i założenie własnej prowincji zakonnej. Nagliła do pośpiechu; Mathuzalem — tym pseudonimem oznaczała Ormaneta — jest stanowczo za rozdziałem; nie pojmuje więc, po co zwlekać; znaczy to pozwolić pomyślnej sposobności wyśliznąć się z ręki.

Poselstwo do Rzymu zapóźniło się mimo nalegań Teresy i w rzeczy samej wyśliznęła się pomyślna sposobność. Dnia 18 czerwca 1577 roku zmarł nuncjusz Ormaneto, wielki zwolennik reformy; na miejsce jego przybył Filippo Sega, który Teresę uważał za niespokojną awanturnicę, jej zaś klasztorne fundacje pod względem prawnym za nieważne. Toteż popierał on Tostada, Graciana złożył z urzędu i wizytację klasztorów reformowanych powierzył niereformowanym Karmelitom z poleceniem, by do dalszych fundacyj w myśl Teresy nie dopuszczali. Z zakonnkami klasztoru Wcielenia w Avili poczęto obchodzić się jak z wyklętymi z powodu tego, iż Teresę przeoryszą obrały, Jana de la Cruz trzymano w twardym więzieniu. W maju jednak 1578 r. musiał Tostado opuścić Hiszpanję z powodu niełaski Filipa II.

Do tej wojny na zewnątrz przyłączyły się

jeszcze trudności wewnętrzne. Nie zdawano sobie jasno sprawy z tego, czy nuncjusz miał prawo odjęcia Gracianowi jego pełnomocnictw. Biegli w prawie teologowie, których rady Teresa zasięgała, dawali na to pytanie odpowiedź przeczącą. W reskrypcie wydanym do magistratów i prawdopodobnie po uprzednim zapytaniu w Rzymie, ogłosił król zarządzenia Segi w sprawie zakonów za nieważne. Zamieszanie dosięgło szczytu, gdy Gracian ku wielkiemu smutkowi Teresy dał się namówić na zwołanie dnia 9 października 1578 r. drugiej kapituły prowincjonalnej do Almodovaru, na ogłoszenie tamże, z mocy rzekomych papieskich pełnomocnictw, rozdziału pomiędzy reformowanymi Karmelitami i resztą zakonników, na wyznaczenie im własnego Prowincjała i na wyprawienie wreszcie od dawna już zamierzonego poselstwa do Rzymu. Kapituła ta oczywiście ten tylko miała wynik, iż nuncjusza jeszcze bardziej rozdrażniła. Z powodu nieroztropności delegatów poselstwo do Rzymu okazało się też zgoła niepożytecznym.

Sprawa reformy zdawała się być bardziej niż kiedykolwiek beznadziejną, gdy w początku roku 1579, na jedno słowo króla i przedstawienia przyjaciół Teresy, Segą znienacka zmienił zdanie. Nawiązując do słów wyrzeczonych przez Segę, przydał mu król czterech asystentów do pomocy, w ich liczbie Dominikanina Pedra Hernán-

dez, którzy mieli radzić z nim o sprawie Karmelitów. W następstwie wydany został 1 kwietnia 1579 r. reskrypt nuncjusza na korzyść reformowanych Karmelitów; mocą jego usunął ich Segala z pod władzy niereformowanych i naznaczył im czasowo wikariusza w osobie Przeora z Valladolid, Angela de Salazar, który wprawdzie nie należał do reformy, lecz był dla niej życzliwie usposobiony. Orzeczenie z dnia 15 lipca 1579 r. podpisane przez nuncjusza i jego asystentów, poparło następnie u króla to, co od dawna było najgorętszym pragnieniem Teresy: podział obu kierunków zakonnych na dwie oddzielne prowincje.

Już w maju tego roku wysłano do Rzymu, wskutek nalegań Teresy, dwóch Karmelitów, którzy mieli uzyskać utworzenie odrębnej prowincji. Ponieważ Tostado obecnym był w Rzymie i niebawem już odbyć się miała kapituła dla wyboru nowego Generała zakonu, przeto delegaci podróż swą odbywali w najgłębszej tajemnicy, w świeckiem przebraniu, ze szpadą u boku, i około sprawy swej chodzili w Rzymie zrazu tylko cichaczem i wpośród dobrych przyjaciół. Rzecz nakoniec przedłożoną została Kongregacji kardynalskiej biskupów i zakonników, w której zwłaszcza kardynał Montalto, późniejszy Sykstus V, ujął się za Teresą. Ostatnią jeszcze trudność podniósł nowoobрани Generał Caffardo, stawiając wniosek, by prowincyj nie dzielono, lecz

obierano prowincjała na przemian z grona reformowanych i niereformowanych. Papież wnioskowi temu nie był przeciwny. Już myśleli delegaci, że nie nie wskórawszy powrócą do domu, kiedy na jednej z wizyt pożegnalnych udzielono im rady, by przez kardynała Sforzę wpłynęli na papieża. Grzegorz XIII dał się przekonać. Dnia 22 czerwca 1582 r. pojawiło się brewe, które spełniło pragnienia Teresy. Dnia 3 marca 1581 r. w Alcalá otwartą została kapituła, która orzekła rozdział prowincyj, Graciana naznaczyła prowincjałem reformowanych i ustaliła zakonne konstytucje. Obserwanci pierwotnej reguły karmeli-tańskiej liczyli wtedy 300 mnichów i 200 zakonnic w 22 męskich i żeńskich klasztorach.

Zadanie życiowe Teresy było tedy spełnione. Od 1580 do 1582 r., wśród zwykłych trudności, założyła jeszcze pięć żeńskich klasztorów. W powrotnej drodze do Avili, nastął 4 października 1582 r. w Alba de Tormes oddawna przez nią upragniony dzień, w którym »wygnanie« jej na tej ziemi dobiegło do końca. Niedługo przedtem wskazała dawnemu swemu spowiednikowi i kierownikowi sumienia na zakończenie swego pisma o zamku duszy i poleciła mu powiedzieć, iż doszła do opisanego w niem stopnia mistycznego zjednoczenia, na którym dusza ustawicznie po-grążona jest w Bogu, a mimo to nie trudności, lecz pomocy doznaje w zewnętrznej pracy dla

Boga i w najdoskonalszy sposób łączy w sobie życie Marji i Marty.

Co do niej samej, znamionem jest to połączenie najwyższej kontemplacji z jak najszerszem oddziaływaniem na świat zewnętrzny. Pragnęła, by tenże duch i zakon jej przeniknął. Unosiła się radością, gdy Karmelici poświęcali się pracy apostołskiej, głosząc kazania i naukę wiary, lub nad brzegami Kongo wszczynali próby misyj wśród pogan. Także i żeńskie klasztory, przez nią zreformowane, miały wszystkie swe modlitwy i ćwiczenia pokutne ofiarowywać za dusz zbawienie. Pozostało też to cechą znamioną zapoczątkowanej przez nią reformy. Karmelici, od Teresy biorący swą nazwę, wiele działali na polu misyjnym wśród pogan: przy założeniu Propagandy, jak również paryskiego seminarjum misyjnego, najbardziej wpływowego Towarzystwa misyjnego nowszych czasów, Karmelici wybitny przyjmują udział. Na polu nauki teologicznej znakomitych dokonali czynów przez swe kolegja w Alcalá i Salamance i opracowane tamże obszernie zestawienia całej treści filozofji kościelnej i teologii.

Jednakże i po śmierci Teresy potrzeba jeszcze było gwałtownych walk, zanim myśl jej rzeczywiście cały zakon przeniknęła. Karmelici bowiem, było to pierwotnie zgromadzenie pustelników; wywieranie wpływu na świat społeczny

i otaczający, dopiero po przesiedleniu się do Europy za cel sobie postawili i przez długi czas jeszcze panowały wśród nich różnice zdań, co do zakresu, w jakim mieli łączyć pracę duszpasterską z pierwotnym kierunkiem życia kontemplacyjnego. Gracian, pierwszy prowincjał reformowanych Karmelitów, urząd swój sprawował jeszcze w duchu Teresy; lecz inny zgoła pogląd na rzeczy miał następca jego Niccolo Doria, Genueńczyk, który przybył do Hiszpanji jako przedstawiciel domu bankowego, i wyrzekłszy się ogromnej fortuny, w r. 1577 wstąpił do zakonu Karmelitów. Misjonarzy z nad brzegów Kongo odwołał, pracę duszpasterską ograniczył do minimum, opierał się dalszemu rozszerzeniu zakonu poza granicami Hiszpanji, obostrzył surowość tak w zewnętrznym trybie życia, jak i w zarządzie zakonu. Gracjan usunięty został z zakonu, Juan de la Cruz wygnany do odległego klasztoru. Hiszpańscy reformowani Karmelici stają się odtąd zakonem niemal wyłącznie kontemplacyjnym, zabiegi Teresy na tym ważnym punkcie we własnej jej ojczyźnie całkiem zostały pokrzyżowane. Dziwnem jednak zrządzeniem przyszło do tego, iż właśnie Doria zmuszony był w r. 1584 poza granicami Hiszpanji, w Genui, założyć klasztor reformowanych Karmelitów, za którym niebawem poszły inne w Rzymie i Neapolu. Na włoskim gruncie rozwinął się następnie zakon karmelitań-

ski zupełnie w zakreślonym przez Teresę kierunku; przybiera on tu nową cechę i dochodzi do nowego i wysokiego rozkwitu. To, do czego od początku XV stulecia nieustannie dążyli najznakomitsi mężowie z pośród Karmelitów, czego jednak nigdy ku zadowoleniu swemu nie osiągnęli, mimo, że narażali przytem swą osobistą powagę i opierali się na środkach prawnych, które im kodeks kościelny podawał do ręki, to wprowadziła w życie ze swej klasztornej celi zwykła zakonnica, wsparta jedynie na swej kontemplacyjnej modlitwie i na swej ufności w Bogu, wśród tysiąca trudności i wbrew woli własnych przełożonych.

FILIP NEREUSZ
APOSTOŁ RZYMU

FILIP NERUBUS
APOSTOLUS ROMANUS



Guido Reni pinx.
ŚW. FILIP NEREUSZ.

W tym samym co Teresa, 1515 roku, urodzony, podobny do niej z wybitnych przyrodzonych zdolności, z mistycznego usposobienia, z miłego i ujmującego obejścia, odznaczający się szczególniejszą swobodą umysłu, która jak pogodne światło słoneczne całą jego istotę opromienia — takim był inny jeszcze z wielkich reformatorów XVI stulecia, Filippo Neri. Jeżeli pole bezpośredniej działalności Teresy nie sięgało poza granice jej ojczyzny, to Filip pod względem miejsca zacieśnił się jeszcze bardziej na okręg Wiecznego Miasta; jako »Apostoł Rzymu« poświęcił mu więcej niż pięćdziesiąt lat pracy; jemu to przede wszystkim zawdzięczać należy, że już w r. 1576 według relacji posła weneckiego, Paolo Tiepolo, całe miasto porzuciło dawną swą lekkomyślność, obyczaje zaś i tryb życia stały się bez porównania skromniejsze i bardziej chrześcijańskie, tak, iż powiedzieć można, że pod względem religijnym Rzym znajduje się w dobrym stanie i niezbyt daleko może od tej doskonałości, do jakiej wogóle zdolna jest ludzka niedoskonałość.

Filip, który był żywym i bystrego umysłu

dzieckiem, pierwsze lata życia swego spędził w rodzinnem mieście, Florencji. Zdolności jego do nauki wczesnie już poznać się dały; w naukach humanistycznych odznaczał się, podobnie jak później w filozofji i teologii; ponadto posiadał jeszcze talent do poezji i wrażliwość na muzykę. Lecz w szczególny sposób przejawiało się już w małym chłopcu niezmiernie delikatne poczucie tego, co w zakresie obyczajów pięknem jest i szlachetnem. Wielki wpływ na niego uzyskali Dominikanie z San Marco; w późniejszym jeszcze życiu uznawał, że im to zawdzięcza wszystko, co zdobył pod względem duchowym; u nich też nabrał czei dla Savonaroli, którego pisma należały do ulubionych jego książek.

Mając lat ośmnaście, przybył Filip do wuja, bogatego kupca w miasteczku San Germano koło Monte Cassino, aby się przy nim wprawić w interes handlowe i po śmierci bezdzietnego wuja objąć po nim spadek. Lecz myśli młodzieńca na co innego skierowane były, niż na troskę o pieniądze i majątek. Także i w San Germano pilnie się oddawał pobożnym ćwiczeniom i wkrótce uczuł w sobie pociąg do równie bohaterskiego kroku, na jaki niegdyś zdobyli się Benedykt z Nursji lub Franciszek z Asyżu, gdy odwrócili się od świata i świetnych na przyszłość widoków: Filip postanowił porzucić wuja i spadek 22.000

skudów a wieść odtąd życie w największym ubóstwie i abnegacji, aby mu w ten sposób nie stawało na przeszkodzie w obcowaniu z Bogiem i rozmyślaniu o rzeczach niebieskich. Bez grosza i listów polecających, puścił się w drogę do Wiecznego Miasta, nie wiedząc jeszcze na razie, jak mu się tam uda znaleźć przytułek i najniezbędniejsze środki utrzymania. Zamiłowanie ubóstwa towarzyszyło mu odtąd przez całe życie; toteż mawiał często, iż pragnąłby, aby mu jeden tylko grosz potrzebny był do życia, i aby wszędzie na próżno musiał o niego zebrać.

Złożyło się, iż w Rzymie szlachetne zachowanie się Nerjusza wywarło jak najkorzystniejsze wrażenie na niejakiemu Galeotta del Caccia, ziomka jego z Florencji. Caccia z litości odstąpił mu nędzny pokoik w domu swym przy kościele S. Eustachio i wyznaczył mu na rok jedną ćwiertnię mąki; wzamian za to musiał Filip przyjąć nadzór nad dwoma synkami swego gospodarza.

Odtąd przez lat szesnaście wiódł młodociany asceta w domu Caccii żywot poświęcony modlitwie i twardej, srogiej pokucie. Z ćwiczeń pobożnych, którym się z zamiłowaniem oddawał, wywnioskować można, jakie go wówczas myśli przedewszystkiem zajmowały, jakie mianowicie względy do Wiecznego Miasta ściągnęły. Nawiedzał bowiem często bardzo siedm głównych kościołów rzymskich z ich pamiątkami po Aposto-

łach i męczennikach i nocę całą trwał na modlitwie i rozmyślaniu w jedynej dostępnej jeszcze w owym czasie katakumbie św. Sebastjana. Był to więc pierwotny Kościół i wielkie jego czyny z ducha wiary i miłości ku Chrystusowi płynące, których obraz zjawiał mu się przed oczyma duszy i serce jego nienasyconem pragnieniem podobnego bohaterstwa zapalał. Zdolny był do dziesięciu godzin bez umęczenia spędzać na takich myślach w katakumbach u św. Sebastjana i zdawało mu się, jakby mu się na modlitwie gorący płomień w piersi zapalał, tak, iż rozrywał swą odzież, by choć trochę żar wewnętrzny ostudzić. Stany te mistyczne, towarzysząc mu przez życie całe, dosięgły szczytu w okresie Zielonych Świątek 1541 r. w zdarzeniu, które porównać można ze stygmatami św. Franciszka z Asyżu, lecz na wytłumaczenie którego najmniej chyba historykowi porywać się wypada. Gdy modlił się w jednej z kaplic katakumby św. Sebastjana, uczuł się przejętym w sposób zgoła nadzwyczajny miłością ku Bogu, i, jak gdyby dla gwałtownie bijącego serca potrzeba było więcej miejsca, zauważył, gdy przeminął ten objaw, iż klatka piersiowa ponad sercem podniosła się więcej niż na grubość pięści; badanie lekarskie po śmierci jego stwierdziło, że dwa z żeber wygięte były na zewnątrz i spojenia pomiędzy częścią kostną i chrząstkową żebra rozerwane, co mu jednak

nie sprawiało bólu. Było to niejako wyświęceniem go na apostoła miłości Bożej; miłość bowiem Boża, która też i serce jego i całą cielesną naturę cudowną siłą pociągała za sobą, obok głębokiej pokory, stałej swobody umysłu i pogodnego usposobienia, jakoteż i niezmiernie miłego obojętka, stanowi najbardziej wybitny rys charakteru Nerjusza — wszak nazywano go powszechnie Pippo buono, dobrym Filipem. Kto Boga prawdziwie miluje, dla tego, zdaniem jego, nie masz cięższego brzemienia nad ziemskie życie, ono bowiem stoi na przeszkodzie oglądaniu Boga.

Wkrótce nie mógł już dłużej w pustelni swej w domu Caccii wysiedzieć. Miłość Boża nagliła go do posługiwania bliźnim, zapał wewnętrzny dla Rzymu Apostołów i męczenników budził w nim żądę przeciwdziałania zepsuciu obyczajów w stolicy świata, jako obrzydliwości na miejscu świętem. W pokorze swej nie myślał wówczas jeszcze o kapłaństwie. Mimo to jednak wziął się ponownie i ze świetnym wynikiem do studjów, tym razem do filozofji w Sapienzy i do teologii u Augustjanów, lecz po jakimś czasie znów je porzucił, dla okazania zaś czynem swej reformatorskiej gorliwości, obrał sobie co tylko dało się pomyśleć najbardziej prostego i niepokąźnego: skierował się ku szpitalom i tam posługiwał chorym; a skoro usłużnością swą i uprzej-

mością pozyskał ich serca, wtedy mówił im o Bogu i o potrzebie nawrócenia. Gorliwość jego nagrodzona została wielkiem powodzeniem.

Nie mógł zaiste reformator dzieła swego rozpoczynać od bardziej skromnych początków, a przecie z posługiwania Filipa u łoża chorych rozwinęło się całe jego osobliwe rzymskie apostołstwo. Zdumiewające wyniki jego pracy nad chorymi sprawiły, iż zwrócono na niego uwagę, pobudziły innych do naśladowania go i przyprowadziły mu uczniów i adeptów w osobach kapłanów i świeckich, szlachty i mieszczan. Niebawem też on sam rozszerzył zakres swej działalności, gdy nie tylko chorym, lecz i innym także jął mówić o Bogu. Począł wychodzić na place publiczne, do warsztatów, do sklepów i przemawiał tam tak, jak mówił do chorych, nie górnolotnym stylem humanistów, lecz w tonie poufnej gawędy. Wkrótce zaczęto składać mu obfite środki na cele dobroczynne; używał ich na zapomogi dla dziewcząt, by je uchronić od hańby, dla uzdolnionych młodzieńców, by im dopomóc w naukach; wielu też było takich, którym utorował drogę do stanu duchownego.

W roku 1548 założył Nerjusz podwaliny pierwszej wielkiej swej fundacji. Wspólnie ze spowiednikiem swym Persiano Rosą i podobnie jak to niegdyś uczynił Gaetano di Tiene, zrzeczył piętnastu prostych ludzi w bractwo Przenajświęt-

szej Trójcy. Celem związku była opieka nad przybywającymi do Rzymu i pozbawionymi środków pielgrzymami, oraz nad chorymi, którzy już powracali do zdrowia, lecz musieli się jeszcze szanować. Członkowie stowarzyszenia zbierali się regularnie w małym kościółku S. Salvatore in Campo, w Rione della Regola, by wspólnie przyjmować Sakramenta św. i wzajemnie się budować prostymi rozmowami. Bractwo to pod kierunkiem Filipa rozwinęło się z wielką szybkością, zwłaszcza od chwili, jak pielgrzymi, przybyli do Rzymu w roku jubileuszowym 1550, swemi pochwałami szeroko je rozślawili. Już z okazji następnego jubileuszu (1575 r.) doświadczyło jego miłosierdzia i miłości bliźniego przeszło 200.000 przybyszów, a w pięćdziesiąt lat później nawet około 600.000. W r. 1614 bractwo było już w stanie wybudować nową wspaniałą świątynię, SS. Trinità de Pellegrini, na miejscu starego kościoła S. Benedetto in Arenula, który im Pius IV wyznaczył. Liczne odpusyty, nadane przez Piusa IV, zniesione zostały przez prawodawstwo Piusa V; wszakże przywrócił mu je Grzegorz XIII.

Rok 1551 rozpoczyna nową epokę w życiu Filipa. Dwanaście już lat pracował jak najgorliwszy kapłan, sam jednak nie będąc kapłanem. Teraz wreszcie, wskutek nalegań swego spowiednika, przyjął święcenia w kościele S. Tommaso in Parione i przyłączył się do kilku zacnych ka-

planów, którzy prowadzili bractwo miłości, założone w roku 1519 przez Juljusza de Medici, późniejszego papieża Klemensa VII, i przy kościele S. Cirolamo della Carità, na Via di Monserrato, wspólne prowadzili życie.

Odtąd mógł już Filip na szerszą skalę pracować nad moralnem odrodzeniem Rzymu. Nie da się opisać, ile pod tym względem działał jako spowiednik. Od najwcześniejszego ranka zajęty był słuchaniem spowiedzi; około południa dopiero zarządzał przerwę, by ze wzruszającą pobożnością, rzewnie płacząc i jakby w ekstazie odprawić Mszę świętą; wieczorami widziano go znów do późnej nocy w konfesjonale. Niezliczone tysiące penitentów, w ciągu czterdziestu lat jego kapłaństwa, otworzyły mu swe sumienie; posiadał ten dar, iż odchodzili od niego jakby nowi ludzie. Umiał także mnożyć się niejako, zapalając innych swoją gorliwością i tworząc z nich szerokie koła współpracowników. Jako kaznodzieja po kościołach nie występował, zbierał natomiast w swoim pokoju, zazwyczaj w godzinach popołudniowych, niektóre odwiedzające go osoby i mówił do nich o rzeczach duchownych, o tem, jak Bóg godzien jest miłości, jak przemijającym jest wszystko co ziemskie, w ten sam prosty sposób, jak to zwykł był czynić, będąc jeszcze laikiem. Wewnętrzne jego wzruszenie głębokie na drugich sprawiało wrażenie. Pokój Ne-

rjusza niebawem okazał się za ciasnym dla mnóstwa odwiedzających go; utworzyło się dokoła niego coraz to zwiększające się grono adeptów i uczniów, do którego należeli też wybitni, pod względem umysłowym, mężowie ze sfer wyższych, jak Giovanni Battista Salviati i niektórzy członkowie najprzedniejszych rodzin kardynalskich, dalej uczony lekarz Modio, poseł florencki Alessandro de Medici, który później jako Leon XI wstąpił na stolicę papieską, siostrzeniec Juljusza III i Marcelego II, Francesco Maria Tarugi, jakoteż i późniejszy kardynał Baronjusz.

Jak czarujący wpływ wywierała już wówczas osobistość Nerjusza, tego żywym dowodem są zwłaszcza obaj ulubieni jego uczniowie: Tarugi i Baronjusz. Tarugi jedno tylko miał na myśli, aby się na dworze papieskim dorobić fortuny; jako dwudziestodwuletni dworak zetknął się w r. 1556 z Filipem i wystarczyło kilka z nim rozmów, by ambitnego karjerowicza całkowicie przemienić. Tarugi wyrzekł się życia światowego, oddał się modlitwie, badaniu Pisma świętego i uczynkom miłosiernym. Dziewiętnastoletni Baronjusz, przybywszy do Rzymu 22 października 1557 r., obrał sobie Filipa za spowiednika; już 8 grudnia tegoż roku ze skruczą spoglądał na dotychczasowe swe życie i niebawem znajduje się całkowicie pod wpływem doświadczonego znawcy dusz ludzkich. Wszystko, tak pisze w 1562 r. do

ojca, obracało mu się zawsze na dobre, gdy szedł za nauką mistrza; jeśli zaś w najdrobniejszej rzeczy od niej odstępował, musiał za to pokutować; obawia się najgorszych następstw, jeśliby się usunął z pod jego posłuszeństwa. Był to duch męski, którego wlewał Filip swem kierownictwem. Do matki pisze Baronjusz z prośbą o nieustanne za sobą modlitwy do Boga, aby się stał drugim Szczepanem, lub Wawrzyńcem, lub innym męczennikiem. »Taką pragnąłbym widzieć tę miłość, którą masz dla mnie i abyś tak postępowała, jak owe chrześcijanki z pierwszych czasów, które z upragnieniem wielkiem i radością niosły własnych synów na śmierć męczeńską; za szczęśliwą uważała się ta, która godną się stała mieć syna męczennikiem«. Obaj ci, tak pod względem umysłowym wybitni, mężowie cześć swą dla Filipa zachowali i po śmierci jego, do najpóźniejszej starości. Tarugi później jako kardynał i arcybiskup Awinionu za zaszczyt sobie poczytywał, iż wobec Filipa przez lat pięćdziesiąt był jakby zakonnym nowicjuszem. Baronjusz, w wielkiem swem dziele historycznem »Roczników«, po śmierci mistrza, w słowach zdradzających najgłębsze wzruszenie, wyznawał się przed całym światem dłużnikiem Filipa pod wszelkimi względami; jemu to należy się zasługa jego prac naukowych, jemu to ma do zawdzięczenia, że jako młody człowiek, sam sobie zostawiony wśród

niebezpieczeństw ówczesnego Rzymu, szwanku na duszy nie poniósł.

Okolo roku 1557/58 liczba uczniów Filipa, jak się zdaje, wzrosła już do kilkuset; z tego powodu dla zebrań ich wybudowano nad jedną z naw kościoła S. Girolamo della Carità osobną kaplicę, której Filip dał nazwę »Oratorjum«. Sposób, w jaki odbywały się zebrania, opisany został przez Baronjusza. Naprzód skupiano się na cichej modlitwie, następowało potem pobożne czytanie, którego treść Filip objaśniał i rozwijał przez wplatanie uwagi. Niekiedy prosił też kogoś z obecnych o wypowiedzenie swego zdania i obrady prowadzone były następnie przez jakąś godzinę na sposób rozmowy. Dalej szły trzy półgodzinne wykłady, których przedmioty zaczerpnięte były z żywotów Świętych, z Pisma świętego i z Ojców Kościoła lub z historii kościelnej; śpiew i krótka modlitwa stanowiły zakończenie. »A kiedy porządek ten ustalony i przez papieża zatwierdzony został — dodaje Baronjusz — wtedy zdawało się, jak gdyby odżyły znów piękne czasy pierwszych chrześcijan i apostołskie ich zebrania, z zastosowaniem do warunków epoki«. Istnieją też inne świadectwa, że zebrania w oratorjum nadzwyczajnie sprawiały wrażenie; pewien pielgrzym, przybywszy do Rzymu w r. 1568, upewnia, iż więcej go one rozradowały i podniosły na du-

chu, niż wszystkie inne splendory Wiecznego Miasta.

Znaczenie Oratorjum dla moralnego odrodzenia Rzymu polegało głównie na tem, iż wybrana liczba wybitnie uzdolnionych i pobożnych osób świeckich zaprawiała się do życia wewnętrznego i do głębszego zrozumienia chrystjanizmu, każdy zaś we własnem kółku krzewił i stosował w praktyce tego ducha, którego od Filipa otrzymał. To, co założył Filip, było świeckiem apostołstwem; oratorjum służyć miało za narzędzie do przeniesienia myśli jego w szersze warstwy ludowe.

W dni świąteczne koło słuchaczy rozszerzało się oczywiście poza liczbę uczestników zwykłych zebrań. Popołudniu odbywał się wtedy w Oratorjum jeden tylko wykład, następnie zaś udawano się za miasto, w sprzyjającej porze roku na tak również przez Torquata Tassa ulubione wzgórze S. Onofrio, skąd wspaniały widok na Rzym i na góry wzrok rozwesela, albo też do willi Mattei, skąd niemniej piękny widok rozciąga się na Kampanję. Gdy nastawały większe upały, obierał Filip Nerjusz na te zebrania jeden z kościołów. Każdemu wolno było brać w nich udział, Filip zaś ubiegał się o to, by jak największą ilość uczestników przyciągnąć. Najczęściej dziecku jakiemu kazał wygłaszać krótką przemowę, która nie rzadko głębsze sprawiała wrażenie od słów zawodowego kaznodziei. Prze-

rwy pomiędzy wykładami wypełniano muzyką. Te świąteczne zebrania, które w porze zimowej odkładano na wieczór, łącząc ze zwykłymi ćwiczeniami, wielkie wywoływały wrażenie i mnóstwo przyciągały ludzi.

Z przemów, wygłoszonych w oratorjum, nie oczywiście do nas nie przeszło. Dlatego właśnie tem większe znaczenie posiadają dla nas zachowane do dziś dnia śpiewy, które tam wykonywano. Tak co do treści, jak i co do melodji zostały do ćwiczeń w oratorjum ułożone, a przynajmniej opracowane, Filip posiadał bowiem w gronie swych uczniów dobrego poetę, Agostina Manni († 1618), jak również dzielnego kompozytora w osobie Francesca Soto († 1619). Bystry jego umysł wszystkie piękne i szlachetne środki naturalne umiał wykorzystać dla celów swego oratorjum, posługiwał się ich talentem dla wzmocnienia wrażeń, wywołanych przemowami. Dlatego śpiewy oratorjum są jakby odbiciem jego treści i ducha i dla naszego, późniejszego pokolenia odtwarzają myśli, któremi kaznodzieja przedstawiał słuchaczom nicość tego, co czysto ziemskie, co przemijające, a zarazem nieskończoną wartość dóbr nadprzyrodzonych, brzydotę grzechu, okropność śmierci i kar wiekuistych. Jeśli ziemia — tak np. czytamy w jednej z pieśni pochwalnych (laud) o piękności nieba — jeśli ta lez dolina, to morze wzburzone, to pole bitwy,

tak pełne walk nieustających, mimo wszystko tak się nam piękną wydaje, to czemu dopiero będzie niebo, to miejsce pokoju, ten port bezpieczny, gdzie zwycięzca wieniec otrzymuje? Porzućmy więc tę ponurą dolinę, Chrystus ukazuje nam drogę, gdy nam Krzyż dźwigać każe.

Filip wszakże, jak to już zresztą ta pieśń wykazuje, usiłował nie tylko odstraszać od grzechu, zależało mu też na tem, by adeptów swych zapalić do naśladowania Chrystusa w codziennem życiu, do śmiałego zdążania ku cnocie, do gorliwości w służbie Bożej i w tym duchu ożywiać w nich odwagę i stanowczość, które przystoją Chrystusowemu bojownikowi. Kto chce walczyć o niebo — tak mu nuca — ten niech nabierze odwagi i stanie się Chrystusowym rycerzem. A jeśli mu brak męstwa, niechże zaraz zawraca, boć i tak przecie na pierwszy odgłos trąby rzuci się do ucieczki. Ty, o Panie, wszystkoś za mnie wycierpiał i poległeś na polu bitwy, ja zaś dla Ciebie nie ponoszę ani ognia, ani biczów, a obawiam się żartu wypowiedzianego dziecięcemi usty. Odrzuconą więc tarczę chwytam na nowo, a teraz już na zawsze.

Z okazji uroczystości Bożego Narodzenia i Wielkiejnocy lub świąt Matki Bożej, poeci Filipa inne też odnajdywali tony, by dać wyraz świątecznemu nastrojowi. W jednym z utworów poetyckich, przeznaczonym niezawodnie na dzień

Nawiedzenia Najświętszej Marji Panny, widzi np. pieśniarz kroczącą po ostrych, górskich ścieżkach skromną i piękną Dziewicę; nie odważa się jej wychwalać, gdyż jest ona piękniejszą nad słońce i księżyc; kwiaty i zioła do niej się uśmiechają, drzewa schylają przed nią liściem pokryte wierzchołki, nawet dzikie zwierzęta zapominają swej srogości; fale strumyka w cienistej dolinie powtarzają swym szmerem, i ptaszęta, zda się, słodkimi wyśpiewują tony: *Ave Maria*.

Wszystkie te pieśni powstały jeszcze pod okiem Filipa i nie jest rzeczą niemożliwą, iż niektóre z nich przez niego samego zostały ułożone.

W przeciwieństwie do dawnych ludowych pieśni pochwalnych (laud), które utrzymane są zawsze w tym samym rytmie, posługują się pieśni oratorjańskie wszystkimi środkami ówczesnej poezji artystycznej i stąd wielkie wykazują bogactwo najróżnorodniejszych form poetyckich. Pod względem muzycznym dla badacza historii nader są godne uwagi: ostatnie lata życia Filipa, przypadają bowiem na czas, w którym dokonywa się na polu muzyki przejście od kontrapunktu i polifonji do melodyjności, od tonacyj kościelnych do nowszej skali majorowej i minorowej. Muzyka w Oratorjum w zupełności już kroczy po torach nowożytnych.

Jeżeli zebrania świąteczne przy kościele S. Onofrio przyciągały zawsze licznych gości, to

w wyższym jeszcze stopniu powiedzieć to samo trzeba o innym przedsięwzięciu pomysłu Filipa, mającem na celu pobudzenie religijności wśród ukochanych jego Rzymian. Pomny potężnych wrażeń, jakich doznał był w młodości, nawiedzając siedm głównych kościołów rzymskich, jak św. Piotra, Lateranu, S. Maria Maggiore, S. Paolo, S. Lorenzo, S. Croce in Gerusalemme i S. Sebastiano, urządzać począł w jednym z dni karnawału, lub uroczystości Wielkanocnej, zbiorowe nawiedzania tych świątyń. Wynik okazał, iż wielki przyjaciel ludu trafił tem do gustu Rzymianom. Zrazu towarzyszyło mu podczas tej pielgrzymki tylko dwudziestu do trzydziestu uczestników, niebawem wszakże wzrosła liczba współpielgrzymujących do kilku tysięcy; wysocy nawet dostojnicy duchowni i papieżę przyłączali się do pochodu. Na całe stulecia stały się te wspólne pielgrzymki ulubionem nabożeństwem zarówno mieszkańców Rzymu, jak i przybywających z obcych stron pątników; wszak chodziło tu o pobożne ćwiczenie, przy którym kojarzyły się najświętsze wspomnienia Odkupiciela, Apostołów i męczenników z poezją wiosennej wycieczki, poważny duch pokuty z niewinną rozrywką, pobożność zaś pojedynczych osób pomnażała się i zagrzewała wskutek uczestnictwa tylu innych. Synowi Wiecznego Miasta w szczególności stawało ponownie przed oczyma, czem był dla

niego ukochany jego Rzym, gdy pochód olbrzymi wychodził poza obręb szarych od starości murów miasta, zdążając cichemi drożynami, wśród winnic i ogrodów, do znajdujących się za miastem bazylik. Rzym chrześcijański, który w epoce renesansu wobec Rzymu pogańskiego nieśluszenie czasem spychany był na drugi plan, teraz w całej pełni wchodził ponownie w swe prawa.

Tak szczęśliwie pomyslane bodźce i przedsięwzięcia wyniosły Nerjusza do wysokości apostoła całego Wiecznego Miasta. Był on do tego doskonale przygotowany. Ze wszystkimi warstwami ludności umiał obcować, wobec każdego w ten ton uderzyć, który oddźwięk znajdował, zarówno wobec wysokiego rodu kardynała, jak wobec chorego w szpitalu i żebraka na ulicy. Pomysłne wyniki jego pracy i to przekonanie, że działał cuda i nierzadko czytał w tajnikach serc ludzkich, nadały mu niezmierną powagę. Zewsząd przeświecająca, całkiem bezinteresowna i ofiarna miłość jego ku ludziom, jak również takt, z jakim umiał dostrajać swe wymagania do sił poszczególnych osób, zjednały mu powszechne zaufanie; usposobienie jego, pełne powabu i wesołości, dalekie od wszelkiej udanej pobożności, i zdrowy, wrodzony dowcip, precz odganiały wszelką nieśmiałość i czyniły go ulubieńcem Rzymian. Szczególniej siłą pociągającą wywierał Fi-

lip na młodzież, do której z osobliwym odnosił się zapalem, aby z niej nowy i bardziej chrześcijański Rzym urobić. Dla niej gotów był do wszelkiej ofiary z czasu i wygod; prowadził ją w pole za miasto, dopomagał w urządzaniu gier i znosił nawet, gdy mu hałasowali pod drzwiami. »Byleby tylko nie grzeszyli — mawiał — to niechby sobie i drzewo rąbali na plecach moich«. W niejednej kwestji, zwłaszcza co do walki ze zmysłowością mieszkańców południa, podawał im surowe przepisy zachowania; zresztą zaś chciał właśnie widzieć młodzież wesołą i pragnął dla niej nie przeładowania ćwiczeniami pobożnymi, lecz wierności w wykonywaniu raz obranych.

Jeżeli dzieło Filipa Nerjusza miało przeżyć swego założyciela, to trzeba mu było powołać do życia związek kapłanów, któryby je dalej mógł prowadzić. Długi czas wzdrygała się przed takim krokiem pokora Nerjusza, aż wreszcie okoliczności same, wbrew niemal jego woli, uczyniły go założycielem zakonu. Już od r. 1558 garstka kapłanów w S. Girolamo della Carità uznawała go faktycznie za swego przełożonego. Liczba ich zwiększyła się, kiedy w roku 1562 dziesięciu kapłanów, prowadzących wspólne życie, którzy obsługiwali kościół S. Giovanni de Fiorentini, zapragnęło mieć go swym zwierzchnikiem, a rozkaz Piusa IV przymusił go do przyjęcia tej godności. Filip niektórych kapłanów swych, mię-

dzy nimi Baronjusza, który właśnie w roku 1562 otrzymał wyższe święcenia, wysłał do S. Giovanni; w ciągu lat dziesięciu przychodzili oni trzy razy dziennie do Filipa i na ćwiczenia oratorjańskie do S. Girolamo, aż wreszcie Florentczycy w r. 1574 wybudowali im przy kościele swym własne oratorjum. Uczniowie Nerjusza przy kościele S. Giovanni obsługiwali też kolejno kuchnię, każdy po tygodniu; było to wtedy, gdy Baronjusz w radosnej gotowości swej i pokorze takim się napisem uwiecznił na kuchennym kominie: *Caesar Baronius coquus perpetuus* (kucharz na wieki).

Tymczasem jednak liczba kapłanów wśród adeptów Filipa znacznie się zwiększyła. Mistrz zawsze jeszcze nie myślał o zrzeszeniu ich w jakiś rodzaj kongregacji, gdy o konieczności takiego kroku przekonało go przykre wydarzenie. Pewien kapłan, przyjęty do S. Giovanni, którego jednak z powodu niezgodnego charakteru wypadło znów usunąć, takie przez zemstę rozsiewać począł oszczerstwa na Filipa i jego towarzyszków, że Florentczycy w Rzymie bliscy byli wydalenia go z S. Giovanni. Był to dla niego dowód namacalny, na jak niepewnym gruncie wznosił swą budowę, dopóki nie mógł jakiegoś kościoła nazwać swą własnością. Na usilne prośby uczniów postanowił teraz Filip przyjąć jeden z zaofiarowanych mu dwóch kościołów. Sam Grzegorz XIII

rozstrzygnął wybór na korzyść kościoła S. Maria in Vallicella; brewe z dnia 27 lipca 1575 r., które kościół ten ze wszystkimi prawami i dochodami przekazywało Filipowi i jego towarzyszom, jest dokumentem fundacyjnym kongregacji oratorjańskiej. Nie chcąc wałącego się, malutkiego kościoła tego odrestaurowywać, kazał go Filip znieść i wybudować na tem miejscu inny, większy i piękniejszy, zwany do dziś dnia Chiesa Nuova. W styczniu 1578 r. liczyła kongregacja kapłanów i laików ogółem 38 członków. Baronsz wraz z Franciszkiem Marją Tarugi i Janem Antonim Lucci już 1 sierpnia 1578 r. zamieszkał w Vallicelli, Filip zaś dopiero 22 listopada 1583 roku z polecenia Grzegorza XIII przeniósł swą siedzibę do nowego domu. Wybrał tam dla siebie najgorsze pokoje.

Nowe to zgromadzenie, stosownie do woli Filipa, nie miało ani być, ani kiedykolwiek stać się zakonem. Członkowie — *Padri di S. Maria in Vallicella*, jak ich nazywano — żadnym się ślubem nie związywali; pozostawali kapłanami świeckimi i zatrzymywali swe mienie, z którego, na wzór pierwszych chrześcijan, każdy miał się przyczyniać do wspólnego życia; skoro kto zapragnął, mógł znowu wystąpić. Miłość miała być jedynym węzłem łączącym to zgromadzenie, ona jedna pobudzać miała członków towarzystwa do takiego posłuszeństwa, jak gdyby ślubem posłu-

szeństwa związani byli, do takiego życia, jak gdyby rzeczywistymi byli zakonnikami. Generalnego przełożonego Oratorjanie nie mieli; dla samego tylko Filipa uczyniono wyjątek, ogłaszając go w r. 1587 wspólnym Ojcem całej kongregacji. Każde poszczególne oratorjum niezależnem jest od wszystkich innych i obiera sobie swego przełożonego. Za życia Filipa nie spisano nawet tych nielicznych przepisów, które wspólne życie w oratorjum regulowały; stało się to później dopiero, w roku 1612.

Nie leżało w zamiarach Filipa, by kongregacja jego rozkrzewiła się na wzór wielkich zakonów, wszakże jeszcze za jego życia osiadła już w niektórych miastach włoskich i w jednej miejscowości we Francji. Pierwsza próba założenia Oratorjum w Medjolanie nie powiodła się; kardynał Borromeo zażądał kilku Oratorjanów dla swej diecezji, Filip posłał ich, lecz wkrótce odwołał, gdy kardynał, wbrew woli Nerjusza, począł używać ich przy wizytacjach do egzaminowania swych księży. W r. 1586 dopiero założone zostały oratorja w Neapolu, S. Severino i Fermo; za nimi poszły dalsze w r. 1591 w Camerino, w r. 1592 w Colignac we Francji, w r. 1593 w Palermo.

Mimo wybitnych zdolności w kierunku naukowym, a bardziej jeszcze w estetycznym, wyrzekł się był młodociany Filip dla miłości Boga

wiedzy i uprawiania estetyki. Wszakże jako mąż dojrzały, w obu tych dziedzinach wywierał wpływ daleko sięgający; oratorjum dawało mu do tego sposobność. Jeżeli na wieczornych zebraniach przychodzili do głosu także i laicy, którzy na trudnem polu naukowego wykładu wiary nie posiadali dostatecznego wyszkolenia, to samo przez się rozumie się, iż tematy swych przemów czerpali najchętniej z żywotów Świętych i historii Kościoła. Cezar Baronjusz, któremu Filip, jako dwudziestoletniemu mniej więcej laikowi, każdego wieczora wygłaszać kazał wykład z historii kościelnej i trzymał go z surowością przy tym przedmiocie, choć Baronjusz byłby się chętniej zwrócił do prac czysto religijnych, był jego ulubionym uczniem; i tak, w przeciągu lat trzydziestu, miał Baronjusz sposobność opracowania siedm razy całej tej dziedziny, w której miał później dokonać tak fundamentalnej pracy. W r. 1568, po dziesięcioletniem przygotowaniu, polecił mu następnie Filip napisanie obszernej historii Kościoła, jako odpowiedzi na magdeburskie Centurje (protestancka sfalszowana historia), i z nieubłaganą stanowczością utrzymał ucznia swego przy wypełnieniu zadanej mu pracy, choć się tenże bronił i niekiedy z powodu olbrzymiego zadania wpadał w zniechęcenie. Po śmierci Filipa, wypowiedział to Baronjusz głośno przed całym światem, na czele ósmego tomu swych roczników,

iż do Ojca jego i mistrza należy cała zasługa w pracy ucznia; że Filip w świetle nadprzyrodzonym poznał niebezpieczeństwo, grożące Kościołowi od Centuryj, stosownie do tego powziął plan repliki, obrał rękę, która miała to dzieło wykonać, wyszkolił ją przez ćwiczenia w Oratorjum i postarał się o to, by nigdy nie omdlała. To swoje wyznanie pragnie widzieć zawieszonem, jako pamiątkową tablicę, na grobie Filipa, niech idzie na cały świat razem z Rocznikami, aby wszyscy czytelnicy uznali i chwałę oddali właściwemu ich »autorowi i budowniczemu«. W rzeczy samej dziś jeszcze oglądać można po prawej stronie grobu Filipa umieszczoną tamże, wedle życzenia wielkiego uczonego, tablicę: u góry ładna miniatura przedstawia Baronjusza piszącego Roczniki, poniżej umieszczony w całości długi tekst dziękczynny z ósmego tomu wielkiego historycznego dzieła.

Jeśli Filip nie wykazał wręcz, jak mniemał Baronjusz, »ducha proroczego«, to w każdym razie dał dowód, iż posiadał zadziwiającą bystrość, gdy przewidział znaczenie Centuryj i dla zbicia ich rozmyślał, nie jak inni, o mniejszym lub większym artykule polemicznym, lecz o pracy w największym zakresie. Poznał się na znakach czasu. Centurje oznaczają punkt zwrotny w protestanckiej teologii polemicznej; poczynają tam ostatecznie wątpić o możliwości zdobycia triumfów

nad starym Kościołem na polu dogmatycznym i zamiast tego czynią wysiłki wyzyskania przeciw niemu własnej jego historji, przedstawiając rozwój jego, jako ustawiczne odstępstwo od Chrystusowego ducha. Jednocześnie też nabiera na ogół znaczenia w drugiej połowie XVI wieku nowy kierunek w dziedzinie duchowej. Prąd humanistyczny ze swym wyłącznym kultem pięknej formy stopniowo utracił przewagę, rozpoczyna się epoka filologiczno-antykwaryczna przez zwrócenie uwagi na historję i badanie starożytności. Wiele bardzo zależało na tem, by nowy ten kierunek nie wszedł ponownie, jak poprzednio humanizm, na mniej lub więcej niekościelne tory. Filip wczas rozpoznał niebezpieczeństwo. Znamiennym jest zapał jego do historji, u niego, który zaledwie z lat dziecięcych wyrósłszy, w świętym Rzymie z jego wielkimi pamiątkami szuka nowej ojczyzny, a w katakumbach bodźca do pobożności. Był on pod tym względem owym właściwym mężem, który zrozumiał nowy prąd czasu, wyszedł naprzeciw i zaraz na wstępie uczynił go dla Kościoła owocnym.

Jak na polu historji olbrzymie dzieło Barojusza z jego niezmiernym wpływem zrodziło się z Filipowego ducha, tak znów na polu archeologii Antonio Bosio († 1629), zwany »Kolumbem katakumb«, ma do zawdzięczenia dwom uczniom Filipa, że badania jego po przedwczesnym

jego zgonie jednak zachowały się i drukiem zostały ogłoszone. »Wśród najpierwszych — tak pisze Giovanni Battista de Rossi — co wnieśli światło do mroków katakumbowych, na szczególniejszą wzmiankę zasługują Ojcowie Oratorjanie, którzy zachęcani do tego przez świętego swego Założyciela, Filipa Nerjusza, okazywali osobliwsze zamiłowanie i cześć dla aktów męczeńskich, dla świętych pomników Rzymu i dla wszystkiego, co tylko dotyczyło historii Kościoła«. Sam Filip jest też założycielem biblioteki w Vallicelli, jednej z pierwszych, które zostały otwarte do publicznego użytku.

Jak na naukę, tak też i na jedną ze sztuk pięknych, na muzykę, potężny wpływ wywarła działalność Filipa. Niedługo po jego śmierci, muzyka wchodzić poczyna na nowe tory. Polifonja, kontrapunktowy sposób pisania, w którym wszystkie głosy są równo uprawnione, tracą grunt pod nogami, nastaje epoka stylu melodyjnego, w którym jeden głos tylko wykonuje właściwą melodję, podczas gdy inne tylko wtórują. W łączności z tem rozwijają się w muzyce nowe formy artystyczne: kantata, opera, oratorjum.

Filip cenił muzykę jako środek podnoszenia serc do Boga i dlatego też chętnie podczas zebrań w swem oratorjum polecał wykonywać chóralne śpiewy. Na dyrygenta chóru pozyskał je-

dnego z najznakomitszych rzymskich kompozytorów, ziomka swego, Jana Animuccia († 1569), kapelmistrza u św. Piotra i poprzednika Palestriny na tem stanowisku. Animuccia specjalnie dla celów oratorjum komponował zbiory pieśni pochwalnych, po których nastąpiły inne, ułożone przez Oratorjanina, Francesca Soto. W śpiewach tych usiłował Animuccia — jak to sam oświadcza — zachować pewną prostotę; dopiero gdy Oratorjum przy kościele S. Girolamo »z łaski Boga i przy pomocy wybitnych dygnitarzy duchownych i przedstawicieli szlachty nadzwyczajny otrzymało przyrost«, pozwolił sobie na umiarkowane korzystanie ze zwykłych środków artystycznych. W późniejszych zbiorach znajdują się w rzeczy samej śpiewy sześć- i ośmiogłosowe, co dowodzi, że Filip rozporządzał wówczas wyćwiczonym chórem. Wobec wzięcia, jakim cieszyły się zebrania w S. Girolamo, nie mógł używany tam sposób śpiewania nie wpłynąć na gust szerszych kół na rzecz prostszego stylu w muzyce; wspaniała *Missa Papae* Marcelli Palestriny ze swą sławioną przejrzystością i zrozumiałością, ma swego poprzednika w kompozycjach Animuccii.

Sam o tem nie myśląc, przyczynił się też Filip w zakresie czysto muzycznym do powstania nowej formy artystycznej, muzycznego oratorium, które w następstwie Händel, Haydn, Men-

delssohn, w najnowszym czasie Liszt, Tinel, Perosi do tak wysokiego doprowadzili rozwoju. Do tego czasu muzyka w zakresie kompozycji świeckich zadowalała się jedyną formą, t. zw. madrygału, tj. pieśni chóralnej o charakterze czysto lirycznym. Pod koniec XVI stulecia sprzykszyły się już ciągle madrygały; zaczyna się łączenie kilku lirycznych utworów w większą całość i tak powstaje opera i oratorjum. Operę można nazwać połączeniem liryki i dramatu; jakaś akcja przedstawiona jest przez aktorów, którzy w odpowiednich chwilach dają wyraz uczuciom za pomocą śpiewu, muzyczne oratorjum natomiast, to liryka zmieszana z pierwiastkiem epicznym; mamy tu opowiadanie jakiegoś wydarzenia z Pisma świętego lub legendy, przyczem stan duszy osób występujących oddany jest przez śpiew solowy lub chóralny, albo też związek pomiędzy wydarzeniami, bez wyraźnego nawet opowiadania, sam z siebie wypływa z następujących po sobie śpiewów.

Zrazu pozwalał Filip na wieczornych zebraniach swego Oratorjum wykonywać same tylko pobożne pieśni i śpiewy o charakterze czysto lirycznym. Uczeń jego, Giovenale Ancina, późniejszy biskup z Saluzzo, przyjaciel św. Franciszka Salezego, układał słowa do takich *laudi* w ścisłym związku z opowiadaniem Pisma świętego. Stąd już tylko pozostawał krok jeden do wyko-

nywania takich opowiadań i wydarzeń, na modłę późniejszego muzycznego oratorjum. Krok ten uczynił w r. 1619 słynny kompozytor Giovanni Francesco Anerio, który na prośbę papieskiego śpiewaka, Orazia Griffi, układać począł muzykę do tekstów, których treść stanowią »Ewangelje i wydarzenia z Pisma świętego i wysławianie Świętych«. W przedmowie swej do pracy Aneria p. t.: *Teatro armonico spirituale*, zwraca się Griffi w znamienny sposób do św. Hieronima i do beatyfikowanego już Filipa Nerjusza, aby im dzieło to poświęcić: »Tobie, o św. Hieronimie, na pierwszym miejscu cześć się należy, gdyż w twoim to domu doszedł błóg. Filip w ciągu lat 33 do tak wysokiego stopnia świętości. Ty zaś, błóg. Filipie, dokonałeś czynów tak bohater-skich i niezrównanych, iż naprawa obyczajów u wielu wiernych w znacznej części przez ciebie zapoczątkowana została«. Następnie Griffi z wielkimi pochwałami opisuje ćwiczenia w Oratorjum S. Girolamo i S. Maria in Vallicella, w których sam przez lat 45 brał udział. Nazwę oratorjum otrzymała ta nowa forma artystyczna pomiędzy rokiem 1635 i 1640 od miejsca, na którym po raz pierwszy znalazła zastosowanie. Oratorjum muzyczne w XVII i XVIII stuleciu gorliwie było pielęgnowane przez duchownych synów Filipa.

Kongregacja Oratorjanów była ostatniem

z liczby wielkich dzieł, które Filipowi swe powstanie zawdzięczają; odtąd zaczyna się dla niego piękny schyłek życia, które w najwyższym stopniu tak pełnem było treści. Nie zbywało mu z początku na wewnętrznych i zewnętrznych trudnościach, na sprzeciwach i przeciwnikach. Przez długi czas żył w dręczącej niepewności, czyby nie lepiej uczynił, zamieniając Rzym na Indje i za przykładem Franciszka Ksawerego poświęcając się misji wśród pogan. Zaledwie zamieszkał był przy kościele S. Girolamo, gdy niektórzy przeciwnicy umyśleli wygnać go stamtąd, czyniąc mu życie nieznośnem. Za pontyfikatu Pawła IV, gdy wszystko co nowe, bez różnicy prawie, uchodziło za rzecz podejrzaną, obszedł się z nim wikarjusz generalny, kardynał Rosario, jak z ambitnym karjerowiczem; przez krótki czas wzbronionem mu było słuchanie spowiedzi, jak również urządzanie wspólnych pielgrzymek. Ten czas mozolnych walk, uciążliwego chodzenia za pługiem, teraz już przeminął; pozostaje Filipowi niejako zbierać już tylko to, co zasiał w latach twardej pracy i cierpień. Już Pius V cenił go bardzo wysoko; Grzegorz XIII, podobnie jak Karol Boromeusz, całował go w rękę; Grzegorz XIV, gdy przybył dla złożenia mu hołdu jako nowemu papieżowi, na przywitanie uścisnął go. Klemens VIII, który od trzydziestego roku życia był penitentem Filipa, pragnął też jako pa-

pież widywać go możliwie często i jego wstawiennictwo nie mało przyczyniło się, że dał się namówić do przyjęcia Henryka IV z powrotem na łono Kościoła. Leon XI, kardynałem będąc, odwiedziny swe u Filipa Nerjusza przeciągał czterokrotnie do czterech i pięciu godzin i upewniał, iż pokój jego był mu rajem. Do penitentów Filipa zaliczało się około dziesięciu kardynałów. w ich liczbie Federigo Borromeo i Cusano, z arystokracji zaś rzymskiej członkowie rodzin Massimo, Gaetanich, Pamfilich, Sforzów, Crescenzich, Orsinich, Odescalchich, Colonnów, Frangipanicz, Vitelleschich, Salviaticz. Jak wielkim był wpływ jego także wśród osób sfer wyższych, pokazuje nam przykład Anny Borromeo, siostry kardynała i synowej wicekróla Sycylji, Marcantonia Colonna. Gdy powstały trudności z powodu Chiesa Nuova, gdyż kardynał Farnese pewne prawa do kościoła tego rościł, dał jej Filip znać, iż nie będzie więcej do niej pisywał, ani słuchał jej spowiedzi, jeśli nie zajmie się tą sprawą z większą niż dotychczas gorliwością. Na to Anna na wszystko gotową się oświadczyła. Od ojca i matki — tak pisała do kardynała Farnese — nie otrzymała chyba dowodów bardziej serdecznej i szczerej miłości, jak od Filipa; co tylko uzyskała pod względem łaski Bożej, jemu to zawdzięcza; utracić jego duchowne kierownictwo byłoby cięższem nad śmierć samą. Z osób w na-

stępstwie kanonizowanych lub beatyfikowanych dwaj założyciele zakonów, Camillo de Lellis i Giovanni Leonardi z Lukki, znajdowali się pod kierunkiem Filipa, Giovenale Ancina należał do kongregacji oratorjańskiej jako jeden z jej członków, z Karolem Boromeuszem, Kapucynem Felice di Cantalice, Dominikanką Katarzyną d'Ricci łączyła go ścisła przyjaźń; męczennicy angielscy, których Filip przy spotkaniu na ulicy pozdrowiał częstokroć słowy: *Salvete flores martyrum*, prosili go o błogosławieństwo, zanim się na krwawe pole swych prac i cierpień udali. Nigdy — tak zapewnia kardynał Cusano — nie znał człowieka, któryby tak u wielkich, jak i u maluczkich większem od Filipa Nerjusza cieszył się poważaniem. Pięknie o nim wyraził się Baronjusz, że aż do osmdziesiątego roku życia, aż do samej śmierci w dniu 26 maja 1595 r. nie żył nigdy dla siebie, lecz tylko dla dobra drugich, dla dobra swoich Rzymian, a Rzym odplacał mu się za to bezgranicznem zaufaniem. Starcem już będąc pozostał nadal apostołem Wiecznego Miasta, apostołstwo zaś jego rozciągało się od papieża do ostatniego ulicznika.

Nie mniej podziwu godnem, jak cześć, którą mu okazywano, jest i to, że z biegiem czasu nie zmniejszała się nawet u tych, którzy przez dziesiątki lat w najzażyłszych z nim pozostawali stosunkach, lecz, przeciwnie, wzrastała do samej

śmierci Filipa. Najbardziej uderzające przykłady mamy w Baronjuszu i Tarugim; to samo powie-
dzieć można o późniejszych papieżach, Klemen-
sie VIII i Leonie XI. Nie miało przytem du-
chowne jego kierownictwo, mimo tak serdeczne-
go i miłego usposobienia, nic miękkiego w so-
bie. Od takich, którzy dopiero co się nawrócili,
żądał, co prawda, tylko rzeczy najniezbędniej-
szych; ale gdy się kto pod jego kierownictwo od-
dawał i w dobrem się już umocnił, temu surowe
stawiał wymagania. Członkowie jego Oratorjum
biczowali się trzykroć każdego tygodnia. Gdy
w roku 1556 Alba zagrażał Rzymowi i Francesco
Vai z obawy nie ważył się pójść do Wiecznego
Miasta, czynił mu poważne zarzuty, że chcąc być
człowiekiem duchownym, boi się jednak śmierci,
zamiast, by za sposobność do śmierci męczeń-
skiej płacić raczej brzęczącą monetą. W podobny
sposób odzywał się do innych. Na umartwienia
zewnętrzne nie kładł tak wielkiego nacisku;
o fałszywej dewocji słyszeć nie chciał, lecz nie-
ubłaganie domagał się wewnętrznego umartwie-
nia uporu i samowoli. Tu należą rzucające się
w oczy osobliwości, w których i sam się ćwiczył,
i do których też uczniów swych przymuszał: tak
np. kiedy z brodą przez pół ogoloną lub wacha-
jąc bukiet z kołącego jałowca przechadzał się
po ulicach Rzymu; kiedy Annie Borromeo, która

prosząc go o błogosławieństwo klęka przed nim na środku ulicy, kładzie wprawdzie błogosławiąc rękę na głowę, lecz jednocześnie włosy jej rozrzuca, albo gdy Consoliniemu, który dla otrzymania beneficjum ma się poddać egzaminowi, nakazuje, by oświadczył papieżowi, że dla człowieka z takim jak jego literackim wykształceniem egzamin nie jest potrzebny. Tego rodzaju rzeczy u Filipa, to nie wybuchy swawoli lub dowcipkującego humoru; zamiarem jego było umarzać przez to w sobie i w drugich obawę względów ludzkich i przywiązaną do sławy. W tem znaczeniu zwykł był powtarzać, że kto nie może dla miłości Chrystusa przenieść utraty czci u świata, ten nigdy pod względem duchowym postępów nie uczyni.

Świadczy Baronjusz, spowiednik Filipa, że Święty ten na łożu śmierci na nic się bardziej nie uskarżał, jak na to, iż go ludzie więcej cenili, niż on, który się za wielkiego grzesznika uważał, na to zasługiwał. Gdy kardynał Federigo Borromeo przyniósł świętemu Wiatyk, zawołał Filip głośno: Panie, wyznaję, żem nigdy nic dobrego nie zdziałał, — poczem z najgłębszym wzruszeniem wyrzekł te słowa: Nie jestem godzien.

W stuleciu tak obfitującym w reformatorów Kościoła wszelkich barw i odcieni, zajmuje Filip

stanowisko, które samo przez się niemal do porównań zmusza. Jak pod względem czasu stoi w XVI wieku na końcu długiego szeregu reformatorów, tak znowu w sferze ducha stoi na przeciwnym biegunie kierunku, który w osobie Johna Knoxa szczytu swego dosięga; w swoim rodzaju tak samo prawie nie daje się prześcignąć, jak kontrastujący z nim Szkot w swoim własnym. W żywym odczuciu braków ówczesnego Kościoła styka się on z »reformatorami« północy; tak samo też w wysokim poważaniu dla pierwotnego chrześcijaństwa, które i tamci przecie za wzór stawiali dla swych nowatorskich dążeń. Ale z drugiej strony jakaż między nimi różnica! Filip Nerjusz nie myśli o obalaniu nauki Kościoła i jego urządzeń na mocy naukowych badań nad chrześcijańską starożytnością, które i bez tego wówczas jeszcze nie wyszły poza pierwsze początki. Jemu głównie zależy na tem, by ducha pierwotnego Kościoła na nowo obudzić i w sobie i w drugich; ten zaś duch w jego rozumieniu polega przedewszystkiem na miłości Bożej, która wsparta na pokorze i duchu poświęcenia, daje przeto możność wzniesienia się do najwyższego napięcia. Nie chce z tego powodu nic słyseć o takiej reformie, która to spada jak burza i nawałnica, ciskając pioruny i łamiąc dęby. Nie rzuca płonącej żagwi do kościołów i klasztorów. Nie

wylewa czar gniewu na kapłanów i mnichów. Ułomności kapłanów nie doprowadzają go do pogardy dla ich urzędu i stanu, przeciwnie sam uważa się za niegodnego kapłańskiej godności. Gdy za Pawła IV w imieniu papieża dzieje mu się oczywista krzywda, nie przychodzi mu wcale na myśl, że jest on może od Boga posłanym prorokiem i że wolno mu wystąpić w roli nowego Eljasza; zamiast nawoływać do powstania, poddaje się w prostocie swego posłuszeństwa, powolny jak dziecko. Jego sposób życia i czyny wnoszą jakby łagodne światło słoneczne, radość i ciepło, są całe łagodnością, dobrocią, swobodą umysłu i chwytającą za serce uprzejmością. Za przewodniczkę całego życia obrał sobie pokorę wtedy, gdy miłość Boża pierwsze kroki z pustelni w świat szeroki skierować mu kazała i pokora ta dobrą wiodła go drogą. Wpływ jego na świat rozpoczyna się od tego, co najprostsze i najniepozorniejsze, od rzeczy, do których nikt mu prawa nie odmawiał. Lecz nieznacznie i jakby sam przez się rozszerza się coraz bardziej zakres jego działalności i wpływu, aż wreszcie za Grzegorza XIII obejmuje cały Rzym i na ostatku Kościół cały, aż wreszcie kardynałowie i papieże, nauka i sztuka hołd mu składają i co ważniejsza: tysiące czczą w nim sprawcę swego szczęścia w czasie i w wieczności. Przez to, iż wszystko złożył w ofierze, wszystkiego się wyrzekł dla Bo-

ga, stokrotnie wszystko odnalazł. Przed oczyma swych zaufanych i współczesnych, zarówno jak i przed potomnością, zjawia się jako postać idealna, na której żadnej plamy niepodobna wykryć.

KAROL BOROMEUSZ

WZÓR BISKUPA PO MYŚLI TRYDENCKIEGO
SOBORU.

KAROL BOISOMERZ

WYDZIAŁ FIZYKI I MATEMATYKI

UNIWERSYTET W WARSZAWIE



Figino pinx.

ŚW. KAROL BOROMEUSZ.

Gdy papież Pius IV¹ w marcu 1560 r., siostrzeńca swego, Karola Boromeusza, liczącego dopiero lat dwadzieścia jeden, mianował swym tajnym sekretarzem, miarodajnym dla niego względem, obok przywiązania do rodziny, było przede wszystkim to, co tyłu jego poprzedników do podobnych skłoniło kroków: wobec partyjniactwa, panującego w kurji i w kolegium kardynalskiem, sądził, iż tylko pomiędzy krewnymi będzie mógł znaleźć zaufanego powiernika i współpracownika. Że wybór jego padł właśnie na Karola Boromeusza, to stało się momentem rozstrzygającym na cały przeciąg jego pontyfikatu. W nim znalazł przede wszystkim to, czego sam szukał, jako człowiek samodzielnego charakteru: sumiennego pomocnika, który z największym poświęceniem, wytrwałą pilnością i niewyczerpaną cierpliwością przykładał się do wykonania wskazówek, otrzymanych od Głowy Kościoła.

Sfery kurjalne zarówno jak i dyplomaci nie

1. Giovanni Angelo de Medici (1559—1565). Poprzednikami jego z rodu Medyceuszów na Stolicy Piotrowej byli: Leon X (1513—1521) i Klemens VII (1523—1534). *Przyp. tłum.*

bardzo byli zadowoleni z nowego sekretarza stanu. Nie mogli ludzi się nadzieją, iżby przez młodocianego siostrzeńca uzyskać mieli wpływ na starego i doświadczonego papieża. Poza tem jeszcze i surowy tryb życia i nawskroś kościelny sposób myślenia Karola bynajmniej nie przypadły do gustu tym kołom, których ideałem był zawsze jeszcze typ nepota z epoki renesansu. Nie miał w sobie ani krzty z tego Karol Boro-meusz. Już sam zewnętrzny wygląd jego ani nie pociągał pięknnością, ani nie imponował majestatem. Nadmierna skromność sprawiała, iż przy pierwszym spotkaniu nie wywierał wrażenia człowieka o wybitnych zdolnościach. Duchowe jego usposobienie, skierowane bardziej ku gruntowności, niż ku zewnętrznej błyskotliwości, nie nagięło go do okazywania się przystępnym lub do nadawania sobie powagi. Wada języka, wskutek której mówił niewyraźnie i od której stopniowo dopiero się odzwyczaił, potęgowała jeszcze niekorzystne wrażenie; skromną jego rezerwę, jak również sumienność, z jaką unikał wyzyskiwania swego stanowiska w celu wzbogacenia się, lub używania życia na wzór ludzi z epoki renesansu, tem bardziej poczytywano mu za dowód ograniczenia. W depezbach poselskich, zdających sprawę o pierwszych krokach młodocianego sekretarza stanu, przedstawiony jest jako charakter pobożny i dobry, lecz mało nadający się do

spraw tego świata. Z czasem jednak także i sąd posłów weneckich pomyślniej o nim brzmieć począł. Kto bliżej przestawał z Karolem, ten nie mógł nie zauważyć, iż posiadał rozum bystry, sąd o rzeczach jasny, a czego mu nie dostawało może pod względem szybkiej orientacji, to zastępował bezustannem rozważaniem. Dzięki swej wielkiej energii, był niekiedy w stanie przez sześć do siedmiu godzin bez przerwy i bez zmęczenia badać wszechstronnie jakąś ważną sprawę, zanim przechodził do stanowczej decyzji.

Wyższą ponad wszelką pochwałą była siła charakteru, rzetelność i głęboka wewnętrzna pobożność Karola. Z dawna już dawał tego dowody. We wczesnej młodości przeznaczony do stanu duchownego i przez domowego nauczyciela w tym kierunku wykształcony, zaledwie lat czternaście mając, już w roku 1552, wstąpił ten potomek starego szlacheckiego rodu, wywodzącego się z Arony, na uniwersytet w Pawji, by poświęcić się studjom prawniczym. Ojciec przydał mu był marszałka dworu, lecz Karol niebawem ujrzał się zmuszonym wydalić go, jako niezdatnego; tak to faktycznie, zaraz po opuszczeniu domu rodzicielskiego, pozostawiony był sam sobie i samodzielnie dróg swych szukać musiał. Przejęty myślą, iż winien ze względu na rodzinę swą, a zwłaszcza dwóch wujów, naczelnego wodza i kardynała, dokonać wielkich czynów, wszystkie

swe siły wyteżył na studia. Ze znacznemi przerwami, które niekiedy z powodu przemęczenia stawały się konieczne, ukończył je w roku 1559 świetnie zdany doktorskim egzaminem. Obowiązki swe religijne wypełniał Karol sumiennie i w zepsutem środowisku uniwersyteckiego miasta niesplamioną zachował czystość obyczajów.

Najwybitniejszy przymiot przyszłego reformatora, nadzwyczajny mianowicie talent rządzenia i administracji, silnie się już u niego przejawia w latach nauki. W Pawji na własną rękę dom swój prowadzić i oko nad służącymi mieć musiał, z zadania zaś tego wywiązywał się nader umiejętnie, mimo licznych trudności i stałego braku pieniędzy. W czasie wakacyj i podczas przerw w naukach zajmował się w nieobecności ojca zarządem dóbr ojcowskich, po jego zaś śmierci (1558 r.), starszy brat Karola, Federigo, z wielką chęcią udzielił swej zgody, by Karol w wypróbowane swe ręce wziął zarówno zarząd spraw rodzinnych jak i majątkowych. Dzieckiem jeszcze będąc, według panujących w owych czasach nadużyć, mianowany już został opatem komendatarjuszem pewnego opactwa benedyktyńskiego. Dochody z niego, za zgodą ojca, w przeważnej części rozdawał ubogim. Z powodzeniem też podjął próbę reformy wśród mnichów. Gdy zaś nie skutkowały środki łagodne, postarał się, by i kara więzienia znalazła zastosowanie.

Do pierwszych urzędów, nadanych Karolowi przez Piusa IV, rychło bardzo przyłączyło się wiele innych. Zamianował go papież protektorem Portugalji, Dolnych Niemiec i siedmiu katolickich kantonów szwajcarskich, następnie protektorem zakonu Franciszkanów, Karmelitów i Humiljatów, Kanoników regularnych od Świętego Krzyża w Coimbrze, Joanitów i orderu Chrystusa w Portugalji. Dochody, płynące z piastowania tych godności, z różnych opactw danych mu w komendę, jak również z dóbr rodzinnych, obliczył kupieckim swym zmysłem poseł wenecki, Girolamo Soranzo, w r. 1563 mniej więcej na 48.000 skudów rocznie.

Podziw budziło wśród posłów zagranicznych, że się młodociany nepot wszystkim tym zaszczytom i bogactwom nie dał skusić do używania życia. Niepodobna też było dopatrzeć się w nim najmniejszego nawet przystępu pychy. Życie jego, według jednogłośnego świadectwa współczesnych, pozostało całkiem bez zmazy. Z płomiennym zapalem do pracy rzucił się w wir zajęć tak, iż w początkach służby obawiali się o zdrowie swego pana. Zaledwie pozostaje mu czas do spokojnego pożywienia się i użycia snu, pisze jeden z jego domowników; należy więc skłonić wuja Karola, hrabiego Franciszka, aby, razem z hrabią Gwidonem Boromeuszem, siostrzeńcowi swemu możliwie często czynił uwagi,

gdyż na prośby sług swych jest głuchy. Sam Karol pisze 22 stycznia 1560 r., że czuje się zdrow, mimo »nieskończonych« wysiłków w swej pracy, lecz ciężko mu przychodzi, że tylko pięć do sześciu godzin może na sen zaoszczędzić. Wyrzekając się własnych skłonności i zamiarów, oddał się całkowicie do rozporządzenia papieżowi. Przez dzień cały trzymał się, o ile mógł, w pobliżu wuja i każdego rana udawał się do niego z sekretarzem, kierującym kancelarią stanu, Tolemeo Gallim, by w ciągu dwóch do trzech godzin wygłaszać referaty o czekających załatwienia raportach i petycjach. Z papierów, nadchodzących codziennie w wielkiej ilości do tajnego sekretariatu, sporządzano tam naprzód wyciągi na krótkich, wąskich stroniczkach formatu ósemkowego. Te wyciągi służyły Boromeuszowi i Gallemu za podstawę ich referatów u papieża. Decyzje, które Pius IV zwykł był dawać bardzo szybko, notowano częstokroć ołówkiem w krótkich, treściwych słowach, na odwrotnej stronie wyciągów i korzystano z nich następnie do opracowania odpowiedzi. Wykończone w tajnym sekretariacie t. zw. »minuty« raz jeszcze podlegały przejrzaniu przez Boromeusza lub samego Piusa IV, zanim wreszcie przepisywano je na czysto. Te nawet przepisane już dokumenta papież niekiedy raz jeszcze przeglądał. Instrukcje dla nuncjuszów i legatów redagowane były zawsze

w imieniu Boromeusza, który do podpisu swego dołączał częstokroć dłuższe dopiski. Niekiedy całe listy pisał kardynał własnoręcznie. W wyjątkowo tylko ważnych wypadkach, lub gdy chodziło o szczególne uczczenie adresata, listy redagowane były w imieniu papieża; ten zaś częstokroć dodawał jeszcze własnoręczne dopiski, które pod względem ścisłości rzadko kiedy co do życzenia pozostawiały.

Przez ręce Boromeusza przechodziła cała prawie dyplomatyczna korespondencja, musiał preto zajmować się wielkimi kwestjami polityki europejskiej na równi ze sprawami kościelnymi. Miał też do załatwiania prośby o ułaskawienie zasądzonych zbrodniarzy, polecenia na posady, dekreta przeciw bandytom, skargi i wiele jeszcze innych spraw mniejszego znaczenia. Obok tych wyczerpujących zajęć odbywał jeszcze kardynał, po trzy razy każdego tygodnia, z ośmiu prawnikami narady, o sprawach bieżących, dotyczących administracji państwa kościelnego. Do tego nadto przyłączały się liczne posiedzenia kongregacyj kardynalskich, tak np. w czwartki, dotyczące reformy Kościoła, w których Boromeusz musiał brać udział. Wypoczynkiem dla niego były wieczorne dyskusje w akademji, założonej przez niego, pod nazwą »Watykańskich nocy«, gdzie wygłaszano łacińskie wypracowania i mowy.

Mimo tak wspaniałego przykładu ofiarnej

wierności w spełnianiu obowiązków, nie był wszakże Boromeusz jeszcze owym surowym ascetą późniejszych lat życia. Namiętnie rozmiłowany w polowaniu, oddawał mu się dla rozrywki z większym zapalem, niż się w pojęciu jego przyjaciół z kardynalską godnością pogodzić dawało. Dbały był niezmiernie o okazałość swego domu. Dla swojej osoby, co prawda, według ówczesnych pojęć nader skromne stawiał wymagania, choć 150 ludzi, przybranych co do jednego od stóp do głowy w czarny aksamit, dwór jego stanowiło. Rodzina Boromeuszów miała, stosownie do woli jego, występować bezwarunkowo w sposób odpowiadający obecnemu jej ksiąźcemu stanowisku. Nominację swą na kardynała, co prawda, oznajmił rodzinie swej w jak najprostszej formie i życzył sobie, by szczęśliwe to wydarzenie obchodzone było w samej tylko Aronie, zwłaszcza przez odprawienie Mszy św. na cześć Ducha Świętego. Ale żądał jednocześnie, by siostra jego miała odtąd o dwie damy do towarzystwa więcej niż wprzódy, a powinny być pochodzić z rodów szlacheckich i cieszyć się dobrą sławą. Wielką radość wyrażał w swych listach, gdy siostry jego — dzięki staraniom wuja, przy gorliwym współdziałaniu siostrzeńca — zawarły dystyngowane i bogate małżeństwa z członkami rodzin Gonzagów, Colonów, Altempsów i ksiąźąt Venosa. Wielki nato-

miast okazywał niepokój, gdy jedna z mniej za-
możnych krewnych jego zamierzała wyjść za mąż
za osobę niższego stanu, a więc z ujmą dla ho-
noru rodziny.

Szczególniej zajmował się kardynał Borromeo
życiem jedyne go brata, Federiga, który w r. 1560
ożenił się z córką księcia Urbino, Wirginją della
Rovere. Cała rodzina Borromeuszów słusznie
szczyciła się tym związkiem, który do najpięk-
niejszych uprawniał nadziei. Federigo, na któ-
rego głowie fortuna rozrzutną ręką zdawała się
gromadzić swe dary, był człowiekiem spokojne-
go usposobienia. O wpływy na sprawy państwo-
we, jak się zdaje, nie ubiegał się. Mimo to sta-
rali się obcy książęta o zdobycie jego względów.
Tak czynił przedewszystkiem Cosimo I, który
w grudniu 1560 r. podarował Federigowi wspa-
niały pałac Altoviti, wraz ze znaczną sumą pie-
niędzy. Stosunek Borromeuszów do księcia flo-
renckiego stał się tak ścisłym, jak pomiędzy oj-
cem i synem.

Dnia 2 kwietnia 1561 r. zamianował Pius IV
młodocianego zwierzchnika rodziny Borromeu-
szów generalnym kapitanem Kościoła. Uroczy-
ście wręczył ulubionemu Federigowi hetmańską
buławę, z prawem do miesięcznej pensji 1000 du-
katów. Dnia 22 tegoż miesiąca udał się Federigo,
jako zastępca papieża, do Trydentu, aby córce
króla rzymskiego Ferdynanda, narzeczonej księ-

cia Mantui, towarzyszyć z honorową eskortą do nowej jej ojczyzny. Znowuż w rok później zamierzył Filip II wynieść dotychczasowego hrabiego do godności markiza Oria. Tak więc zdawało się, iż imię Borromeo będzie niebawem mogło, co do blasku i sławy, współzawodniczyć z imionami Farnese lub Medici, gdy nagle Federigo dnia 19 listopada 1562 r. po ośmiodniowej zaledwie chorobie, padł ofiarą febry. Zdawało się, iż wspaniały pogrzeb, sprawiony tak przedwcześnie zmarłemu, miał być jednocześnie pogrzebową uroczystością sławy domu Borromeuszów. Ów całun ze złotogłowiu, który podczas egzekwii w dniu 25 listopada okrywał trumnę pod złocistym baldachimem, mógł kardynałowi Borromeuszowi przedstawić się jako symbol opromienionego blaskiem wygaśnięcia jego rodu.

Nagła śmierć tak tkliwie umiłowanego, dopiero dwadzieścia siedm lat liczącego nepota, pograżyła papieża w najgłębszym smutku. Zniósł ją jednak z poddaniem się woli Bożej, w tym bowiem druzgocącym ciosie, niszczącym wszystkie jego plany co do wywyższenia nepota, ujrzał karę Nieba za to, że aby bardziej jeszcze faworyzować Federiga, posunął się do zbyt wielkich ustępstw na rzecz króla hiszpańskiego w sprawie korzystania przezeń z kościelnych dochodów. Nagła utrata tak świetnych nadziei także i na kardynała Borromeusza nader głębokie wywarła wra-

żenie i to tem większe, iż w tym samym prawie czasie co ukochany brat jego, umarł również, po trzydniowej zaledwie chorobie, młodociany syn księcia florenckiego, który jednocześnie z Karolem Boromeuszem otrzymał kapelusz kardynalski.

Ascetyczny zmysł Karola od dawna z niechęcią już tylko poczynił ustępstwa na rzecz bardziej światowego poglądu na życie. Teraz, gdy marność wszystkich czysto ziemskich dążeń w tak jaskrawem świetle stawała mu przed oczyma, postanowił raz już skończyć z ostatnimi nawet pozostałościami światowego ducha i życiu swemu nadać kierunek wyłączny ku najwyższemu celom.

Inne zgola wnioski wyciągnęła z tych wydarzeń światowo usposobiona część Rzymu, i, jak sądzono, sam także papież. Przypuszczano, że obecny dziedzic całej fortuny Boromeuszów porzuci karierę duchowną i na miejscu zmarłego brata stanie na czele rodziny. Karol wprawdzie był już subdjakonem i jako taki przyjął był już na siebie zobowiązanie do bezżeństwa, w tym wypadku jednak zdawała się dyspensa papieska nie być rzeczą niemożliwą. Kardynał wszakże położył koniec tym przypuszczeniom, przyjmując w dniu 17 lipca 1563 r. z rąk kardynała Cesiego święcenia kapłańskie. Krok ten uczyniony został za zgodą papieża, który na konsystorzu z dnia 4 czerwca 1563 r. wyniósł był siostrzeńca

swego do godności kardynała-kapłana i przytem nakazał mu wyraźnie wyświęcić się na kapłana. Jednocześnie też oświadczył Pius, iż nigdy nie było wolą jego zmuszać Karola do porzucenia duchownej karjery i że przeciwnie pogłoski były fałszywe. W postanowieniach swych umocnił się wielce Boromeusz przez duchowne ćwiczenia Ignacego z Loyoli, które odbył pod kierunkiem Jezuity Ribery. Pierwszą Mszę św. odprawił publicznie i z wielką uroczystością u św. Piotra, przy ołtarzu konfesji Księcia Apostołów, drugą, w zupełnej ciszy, w kaplicy, która służyła Ignacemu z Loyoli.

Boromeusz po otrzymaniu święceń kapłańskich zrazu jeszcze zatrzymał swój dwór, wszakże stawał się coraz bardziej wymagającym dla siebie i to do takiego stopnia, że nawet przechadzki dla wypoczynku sobie odmawiał. Na rozmowach w jego akademji Nocy Watykańskich już tylko tematów duchownych wolno było dotykać. Kazał też sobie wyklądać teologję i filozofję, by uzupełnić braki swego teologicznego wykształcenia. Przez pewien czas myślał nawet o całkowitem złożeniu swego urzędu sekretarza stanu i usunięciu się do surowego zakonu Kamedulów. Odwiódł go jednak od tego zamiaru biskup z Bragi, Bartłomiej de Martyribus, podczas bytności w Rzymie w r. 1563. Raz po raz prosił Karol papieża, by mu pozwolił choć na

czas jakiś odwiedzić swoją medjolańską archidiecezję, oraz zrzec się części prebend, tak licznie mu udzielonych.

Zmiana trybu życia najpierwszego i najznakomitszego z kardynałów wielkie w Rzymie wywarła wrażenie i u wielu z ostrą spotkała się naganą. Nawet zwolennicy reformy kościelnej byli zdania, że posuwa się w niektórych szczegółach za daleko, choć, co prawda, zgodnie w tem postępując z energją i powagą swego charakteru. Niechęć ta wylała się głównie przeciw Riberze i Jezuitom; oni to, jak mówiono, wciągnęli kardynała w swe sieci, aby wyłudzić od niego pieniądze, a nawet skłonić go do wstąpienia do ich zakonu. Pogłoski tego rodzaju dotarły do samego Piusa i, jak się zdaje, znalazły poniekąd wiarę. W liście z 30 kwietnia 1564 r. poseł hiszpański, Requesens, pisze, że papież okazał wielkie niezadowolenie z powodu, iż kardynał Borromeo ograniczył wydatki na stół i utrzymanie dworu i dawał różne inne dowody swej pogardy dla świata. Były to, jak powiadał, »teatyństwa« i napady melancholji, Jezuitom zaś i innym zakonnikom kazał podać do wiadomości, iż będą ukarani, jeśliby noga którego z nich jeszcze kiedykolwiek postąpiła w domu kardynała. Złość na Jezuitów tak była silna i tak szerokie pociągnęła koła, że sekretarz zakonu, Polanco, uznał za niezbędne wysłanie do Hiszpanji osobnego pisma, w którym

daje wyjaśnienie całego stanu sprawy i zrzuca ze swych zakonnych braci odpowiedzialność za wszystkie poszczególne kroki Boromeusza.

Jakkolwiek Karol Boromeusz był zazwyczaj uległym wobec życzeń swego wuja, przecie co do złagodzenia surowego trybu życia najmniejszych nie poczynił ustępstw. Przeciwnie, a zwłaszcza po zamknięciu Soboru Trydenckiego, surowość tę podniósł do wyższego jeszcze stopnia. W czerwcu 1564 r. znacznie uszczuplony został dwór Karola: około osmdziesięciu osób, które do klerykalnego trybu życia zdawały się mniej odpowiednie, otrzymało zwolnienie ze służby i wystarano im się o inne posady; pozostałym zabronił Karol używania jedwabnych strojów, oraz innych zbytków. W jednym dniu każdego tygodnia pościł kardynał o chlebie i wodzie. Na modlitwę poświęcał więcej jeszcze czasu niż dotąd; począł też pełnić urząd kaznodziejski — rzecz na owe czasy u kardynała niesłychaną — mimo trudności, jakie mu sprawiała wymowa i występ publiczny. Pokryjomu oddawał się Karol Boromeusz najcięższym ćwiczeniom pokutnym. Dyscyplina, zaopatrzona w kolce, służyła do biczowania delikatnego ciała; niekiedy używał też do tego potrójnego, związanego łańcucha. Ciekawość kamerdynera, Ambrogia Fornero, odkryła te narzędzia pokuty, gdy kardynał pewnego razu zapomniał wziąć klucz od szuflady, która miała

strzec ich przed wzrokiem osób niepowołanych. Soranzo w roku 1565 zwraca uwagę na to, iż Boromeusz wskutek gorliwości swej w pracy i nauce, jak również wskutek postów, nocnych czuwań i innych umartwień bardzo był wychudzony. Nikłe z natury siły Boromeusza jakby cudem to wszystko wytrzymały; dopiero pod koniec pontyfikatu Piusa V dochodzi nas wieść o nadwreżonym jego zdrowiu.

Umilkły z czasem przygany z powodu ascezy Karola, przykład jego wywarł wrażenie nawet wśród światowo usposobionych dyplomatów. Świadczenia ich tem są wiarogodniejsze i cenniejsze, iż zwykli byli wykrywać ludzkie strony nawet najwyższych dostojników, bez wszelkiego względu. Gdy Wenecjanin Girolamo Soranzo w czerwcu 1563 r. zdawał sprawę ze swego poselstwa w Rzymie, pisał co następuje: »Życie kardynała Borromeo jest zgoła niewinne i całkiem bez zmyy. Pobożnem zachowaniem swem daje przykład taki, iż lepszego pragnąć niepodobna. Wzorowe obyczaje jego tem bardziej na pochwałę zaliczyć mu trzeba, że znajduje się w kwiecie wieku, jest nader potężnym papieskim nepotem, jest bogatym i przebywa na dworze, gdzie nie brakłoby mu sposobności do wszelkiego rodzaju przyjemności«. We dwa lata później pisał Giacomo Soranzo: »Kardynał Borromeo ma dopiero lat dwadzieścia siedm, lecz jest choro-

wity, gdyż osłabił się nauką, postami, nocnem czuwaniem i abstynencją. Jest on doktorem praw, lecz poświęca się teologii z rzadkim za dni naszych zapalem. Życie jego jest najuczciwszem w świecie, a pobożność tak wielka, iż słusznie powiedzieć można, że on przykładem swym więcej rzymskiemu dworowi przynosi pożytku od wszystkich postanowień Soboru; tak przez papieża ukochany nepot, który znajdując się jeszcze w kwiecie wieku i na dworze pełnym ponęt, w takim stopniu przewyciężył siebie i światowe rozkosze, to przecie rzadkie zjawisko. Borromeo niezmiernie oddany jest papieżowi, a papież i jego samego i życzenia jego wysoko sobie ceni. On i papież, to zresztą dwie odrębne natury. Papież radby go widział weselszym i mniej surowym w życiu i w poglądach. Powiedział też to Jezuitom, którzy mieli wielki wpływ na życiowy kierunek kardynała, ten jednak nie dał się z drogi swej sprowadzić. Dwór go nie lubi, gdyż do innego sposobu postępowania był przyzwyczajony i uskarża się, że kardynał u papieża mało uprasza, a ze swego mało daje. Ale co do pierwszego, uważa on to za sprawę sumienia; własne zaś dochody obraca na jałmużny, na wyprawy dla biednych dziewcząt i na spłacanie długów, pozostawionych mu zwłaszcza przez brata. Jak hojnym był Boromeusz w rozdawaniu jałmużny, widać to stąd, iż w owym czasie z do-

chodów swych, jako arcybiskupa medjolańskiego, nie prawie nie brał dla siebie. Wspaniałą fundację z czasów jego rzymskich stanowi *Collegio Borromeo* w Pawji, wzniesione jego staraniem w r. 1564 przez architekta Pellegrina Pellegrini, w celu ochrony studentów z biedniejszych rodów szlacheckich przed niebezpieczeństwami, z którymi on sam zapoznał się w czasie swych studjów. Dziś jeszcze przechowuje się w kościele S. Prassede, jako wymowne świadectwo dobroczynności Boromeusza, stół, przy którym ubogim Rzymu rozdawał pożywienie.

Faktem ogromnej doniosłości stało się, że Karol Boromeusz przeprowadzenie trydenckich dekretów reformacyjnych uznał za cel swego życia i na usługi jego oddał z największą stanowczością i wytrwałością swe siły, niemały wpływ swój na papieża, a później swoją biskupią działalność. W ten sposób stał się na całe stulecia wzorem i drogowskazem w sprawie wykonania trydenckich dekretów i przez to jednym z najbardziej wpływowych reformatorów na niwie kościelnej; imię jego z koncylium trydenckiem na zawsze pozostanie związane.

W czasie trwania Soboru, cała obszerna wymiana listów z legatami przeszła przez ręce Boromeusza. Raz po raz każdego tygodnia nadchodziły z Trydentu do Boromeusza sprawozdania i listy, częstokroć po kilka jednego dnia; obo-

wiązkiem sekretarza stanu było o całej tej otrzymanej korespondencji składać papieżowi referaty. Raporty te były wprowadzane przez podrzędnych urzędników streszczane w krótkich wyciągach, lecz niektóre poszlaki przemawiają za tem, że Boromeusz nie na tych tylko wyciągach opierał swe referaty u papieża, lecz sam odczytywał sprawozdania. Co należało Soborowi odpowiedzieć, to Pius IV rozstrzygał osobiście, lecz zadaniem sekretarza stanu było wszystkie szkice odpowiedzi badać i poprawiać. Wykazało się zresztą przy niejednej sposobności, że Boromeusz w załatwianiu korespondencji z Soborem nie był prostym tylko narzędziem swego wuja, lecz wytwarzał sobie własną opinię o wypadkach i bronił jej wobec papieża.

Nawet z listów, pisanych do legatów w zwykłych, potocznych sprawach, wychodzi niekiedy na jaw, jak ochoczo i z jakim poświęceniem Boromeusz przyjmował na siebie ciężar tej pracy, w której widział służbę Bożą i dobro Kościoła; w dniu ostatniego posiedzenia nazywa on Sobór największem dobrodziejstwem, jakie można było światu wyświadczyć, przedsięwzięciem, przynoszącem chlubę imieniowi papieża, pełnem pożytku i niezbędnem dla całego chrześcijaństwa, wybawiającem w niebezpiecznych czasach Kościół Boży z tak ciężkiej potrzeby. Przez długie może wieki nie przyjdzie znów do skutku tak znamie-

nite koncylium. Pała żądzą ujrzenia dekretów Soboru, wprowadzonych w życie, tak, jak tego wymagają potrzeby chrześcijaństwa.

Wykonanie postanowień trydenckich rozpoczął Boromeusz przede wszystkim we własnym domu i od własnej osoby. Jeżeli wkrótce po zamknięciu Soboru dwór swój ograniczył, podniósł do wyższego stopnia prostotę i surowość trybu życia, począł ćwiczyć się w głoszeniu kazań, to spowodowały go do tego w niemałej mierze względy na trydenckie postanowienia. Trzeba było dowieść, iż nie nadarmo postanowił Sobór, że sprzęt domowy biskupa ma być skromnym, a głoszenie słowa Bożego głównym jego obowiązkiem. Boromeusz posunął się daleko poza dosłowne brzmienie słów Soboru; »królewski niemal przepych jego dworu« coraz bardziej ustępował przed zbyt niemal wielką prostotą.

Dla ruchu reformatorskiego w Rzymie było to nieocenioną korzyścią, że siostrzeniec papieża, pierwszy i najznakomitszy kardynał, na czele jego stanął. Osoby duchem kościelnym ożywione i lud rzymski pełni byli pochwał dla Boromeusza. Dla moralnego odrodzenia tak Wiecznego Miasta, jak i Kościoła, szczególniejsze znaczenie musiała mieć ta okoliczność, że kardynał sekretarz stanu wpływu swego na papieża używał, by godnych mężów wprowadzić do kolegijum kardynalskiego. W nominacji z 12 maja 1565 r. nie zo-

stał nikt promowany inaczej, jak tylko wskutek zachęty Boromeusza lub za jego zgodą.

Także i na samego papieża przykład siostrzeńca nie pozostał bez wpływu. W końcu lipca i z początkiem sierpnia 1564 r. zreformował pałac papieski; 400 przeszło próżnujących dworaków uwolniono ze służby. Przedtem już nastąpiła nominacja nowego majordomusa; na wybitną tę placówkę obrał Pius osobistość, która się dotąd wcale jeszcze nie odznaczyła i której ostatni nawet z kardynałów nie zechciałby w swoim domu obrać na to stanowisko. Wszystkie godności szambelanów poza Rzymem, z wyjątkiem pięciu, zostały przez papieża zniesione, ograniczono liczbę tajnych podkomorzych i kapelanów, masztelarzy i koni wierzchowych. Obliczano, iż reformy te zaoszczędzały rocznie dworowi papieskiemu do 20.000 dukatów.

Karol Boromeusz, po śmierci Piusa IV zwolniony od ciężaru sekretarjatu stanu, poświęcił się już tylko na usługi swego biskupstwa medjołańskiego, gdzie działalność jego stała się niejako koniecznym uzupełnieniem i wyjaśnieniem trydenckiego Soboru. Dotyczy to przede wszystkim działalności jego na polu prawodawstwa.

Sobór w zakresie dyscypliny kościelnej z natury rzeczy ustanowić mógł same tylko fundamentalne zasady i podać zarys wszechstronnego odrodzenia w Kościele. Tu wystąpił Boromeusz,

uzupełniając postanowienia Soboru przez swe prowincjonalne i diecezjalne synody. Żaden biskup w nowszych czasach tyle co on synodów nie odbył. I dla niego, coprawda, było rzeczą niemożliwą zastosować się dosłownie do przepisu Soboru trydenckiego, w myśl którego arcybiskup co trzy lata zwoływać miał podwładnych pasterzy na synod prowincjonalny: po pierwszym zebraniu biskupów w roku 1565 w Medjolanie, odbyło się następne dopiero w roku 1569, trzecie dopiero w 1573. Odtąd już dla trzech ostatnich synodów zachowany jest w rzeczy samej przepisany odstęp trzechletni. Coroczne synody diecezjalne, jak żądał ich Sobór trydencki, odpowiadają temu nakazowi dopiero w siedmiu latach 1578—1584, w którym to czasie odbyło się istotnie siedm takich zjazdów, podczas gdy pozostałe cztery diecezjalne synody przypadają na lata 1564, 1568, 1572 i 1574.

Przez działalność swą na polu prawodawstwa stał się kardynał medjolański, według wyrażenia biskupa Valiersa z Werony, »mistrzem biskupów«. To, co prawodawstwo trydenckie szkicuje tylko w szerokich konturach, to samo znajduje się w zarządzeniach Boromeusza, opracowane w najdrobniejszych szczegółach, bystrość umysłu zaś, z jaką zwrócona tam była uwaga na rzeczy konieczne i dające się w rzeczywistości przeprowadzić, ogólny podziw budziła. Ze wszystkich

stron żądali biskupi przedruku dekretów pierwszego już z tych prowincjonalnych synodów, w krótkim też czasie rozeszły się po całym niemal chrześcijańskim świecie. Sam Boromeusz przyjaciołom swym rozsyłał ich egzemplarze, biskup z Alby niezwłocznie zażądał dwudziestu pięciu; a kiedy w roku 1582 Boromeusz wydał zbiór dotychczasowych swych zarządzeń jako »akta kościoła medjolańskiego«, z Ljonu zamówiono zaraz sto egzemplarzy, kardynał zaś z Toledo sprowadził ich dziesięć, z których jeden trafił do biblioteki króla hiszpańskiego. Rozszerzone, przez dodanie do nich licznych późniejszych listów pasterskich i zarządzeń Boromeusza, doczekały się te »akta kościoła medjolańskiego« kilkakrotnych wydań; znajdują się w nich wskazówki, dotyczące święcenia dni świętych i przestrzegania wielkiego postu, dalej odpustów i dobroczynnych fundacyj, wykonywania urzędu kaznodziejskiego i udzielania sakramentów, majątku i zaopatrzenia kościołów, sądów kościelnych, biskupiej kancelarji i kościelnej statystyki, słowem wszystkiego, co do urządzenia życia kościelnego należy. Pisał w r. 1603 Franciszek Salezy, że akta te kościoła medjolańskiego są dla biskupa rzeczą niezbędną. W bulli kanonizacyjnej Boromeusza oświadcza papież Paweł V, że są one w ciągłym użyciu u duszpaste-rzy i zawierają niezmiernie bogate wskazówki

co do kościelnej administracji. Gdy czyniono przygotowania do Soboru watykańskiego w roku 1870, miał jeden z konsultorów specjalnie powierzone sobie zapoznanie się z dekretami Boromeusza. Zarządzenia późniejszych synodów prowincjonalnych i diecezjalnych są częstokroć tylko dosłownem powtórzeniem dekretów medjolańskich. Jeśli, pomijając czasy bezpośrednio po Soborze trydenckim, naogół nie wiele stosunkowo odbytych zostało synodów partykularnych, to kompensatę i usprawiedliwienie tego braku w tym mianowicie znaleźć można, iż bez tego już w zarządzeniach Boromeusza zawarte były najbardziej szczegółowe instrukcje co do całej dyscypliny kościelnej. Jeden z następców wielkiego arcybiskupa medjolańskiego, Federigo Visconti, w r. 1689 wyraźnie wypowiedział się w tym duchu. W oczach Boromeusza oznaczał zawsze każdorazowy synod dla jego medjolańskiej archidiecezji duchowe odnowienie kleru i ludu. Tam to miał kapłan rozgorzeć ogniem miłości Bożej i ponieść go z sobą, by następnie, w duszach swoich podwładnych w mieście i na wsi ten sam płomień podsycać. Już na trzy tygodnie przed prowincjonalnym synodem wzywano wiernych do modlitwy i do przyjmowania sakramentów; wspólne modły całej diecezji, kazania i nauki dla wiernych, ćwiczenia duchowe dla duchowieństwa odbywały się przez cały czas trwania synodu.

Wszakże nie tylko przez swe dekreta wywierał Boromeusz nie dający się wprost określić wpływ na przyszłe czasy; działał również jako idealny wzór dla biskupów; u jego boku stanęła później, jakby go uzupełniając, łagodna postać Franciszka Salezego. Dzieło odnowienia Kościoła przez Sobór trydencki całkowicie oparte zostało na osobie biskupa i w ręce biskupa złożone. Miało to więc znaczenie, które się nigdy niemal dostatecznie nie da ocenić, iż w osobie kardynała medjolańskiego dany był Kościołowi mąż, który przykładem swym wykazał, jak należy dekreta Soboru wykonywać w szczegółach i jak wiele się da osiągnąć przez rozumne ich wykonanie. To, co w przepisach tych zrazu jest martwą jeszcze literą, to w działalności Boromeusza staje przed oczyma jako żyjąca rzeczywistość. Jest on wzorem trydenckiego biskupa, w osobie którego Sobór niejako w ciało i krew się przyobleka.

Próba gruntownego odrodzenia moralnego, zwłaszcza w diecezji Boromeusza, na znaczne natknąć się musiała trudności. Arcybiskupstwo medjolańskie było jednym z największych we Włoszech; obejmowało ono, prócz księstwa medjolańskiego, część jeszcze terytorjum weneckiego, Montferratu i szwajcarskiej krainy alpejskiej. Liczono tam 2220 kościołów, z tych 800 z prawami parafjalnemi, 3200 duchownych, 100 mę-

skich i 90 żeńskich klasztorów, z których to ostatnich Boromeusz, co prawda, polecił zamknąć 20, ludność całej diecezji obliczano na 800—900.000 dusz. Prócz troski o arcybiskupstwo medjolańskie musiał też Boromeusz mieć pieczę nad medjolańską prowincją kościelną, która składała się z piętnastu wielkich biskupstw i rozciągała się przez cały Montferrat aż ku terytorjum weneckiemu, do Piemontu i w okolice Genui. Ciemnota i rozwiązłość panowały dokoła na tem obszernem terytorjum; niektórzy kapłani nie znali formuły rozgrzeszenia, niektórzy laicy nawet »Ojciec nasz« nie umieli; w kościołach odbywały się głośne rozmowy, tańce i młócenie zboża, w klasztorach żeńskich bale; prawa przysługujące kościelnemu sądownictwu, w szwajcarskiej zwłaszcza części arcybiskupstwa, były jakby zapomniane.

Boromeusz pomimo to ani na chwilę nie wpa-
 dał w zwątpienie. Był to dla niego pewnik nie-
 wzruszony i zgóry już przyjęty, że Kościół, jako
 dzieło Chrystusowe, musi przedewszystkiem po-
 siadać siły nadprzyrodzone do zupełnego odro-
 dzenia; niezachwiana przeto ufność w skutecz-
 ność modlitwy, pracy i ofiary dla miłości Boga
 tworzyła podwalinę wszystkich prób jego, pod-
 jętych ku podniesieniu obszernej archidiecezji.
 Stąd ustawiczna praca nad własnem uświęceniem,
 stąd surowość życia i troskliwość w doborze naj-

bliższego otoczenia. Dalej zaś było od samego początku jego zasadą, aby spełniając jak najściślej obowiązek rezydencji, wszystkie siły swe poświęcić wyłącznie własnej archidiecezji, i, o ile wymagał tego obowiązek jego jako arcybiskupa, także i biskupstwu zależnym od Medjolanu, natomiast złożyć wszystkie inne urzędy, i w rzeczy samej, skoro tylko Grzegorz XIII zezwolił mu na to, zrzekł się godności wielkiego penitencjarza, archiprezbitera kościoła S. Maria Maggiore, protektoratu nad Franciszkanami i Karmelitami, nad rzymskim klasztorem S. Marta, nad Flandrją i Portugalją. Gdy chciano go ustanowić wizytatorem Sabaudji, wymówił się. Jeśli tak daleko sięgającą troskliwość okazywał w stosunku do Szwajcarii, czynił to w gruncie rzeczy ze względu na własną diecezję, obawiał się bowiem, by się protestantyzm od strony Szwajcarii nie przedostał w okolice Medjolanu.

Ale natężonej jego pracy wspaniałe też wyniki przypaść miały w udziale. Setkom duchownych, u których główną przyczyną wszelkiego zła była ciemnota i brak kapłańskiego wychowania, słowo i przykład pasterza po raz pierwszy postawiły jasno przed oczyma zrozumienie ich powołania. By nie dopuścić do ponownego osłabienia dobrej ich woli, zabiegał też arcybiskup o ponawianie zachęty i upomnienia do dobrego. W tym celu podzielił stolicę swą biskupią, jak

również resztę diecezji, na sześć okręgów; w każdym z nich połączył proboszczów w mniejsze grupy. Na czele okręgów i grup postawił, jako zastępców swoich, najdzielniejszych kapłanów, których albo już zastał w swej archidiecezji, albo też umiał ściągać z poza jej granic, tak, iż wychodzące od arcybiskupa zachęty dochodziły jak po szczeblach do ostatniego wiejskiego proboszcza. W regularnie odbywających się zebraniach musieli następnie przełożeni sześciu stołecznych okręgów, w obecności arcybiskupa, udzielać sobie wzajemnie swych spostrzeżeń i podawać projekty dalszej sanacji stosunków. To samo dotyczyło również zastępców kardynała w sześciu dalszych okręgach diecezji. Proboszczom dany był nakaz, by na konferencjach, powtarzających się również w regularnych odstępach czasu, rozprawiali między sobą o trudniejszych wypadkach z zakresu duszpasterstwa i tym sposobem dalej się kształcili.

Z szczególniejszą troskliwością starał się Bormeusz o zabezpieczenie dla swej diecezji młodego pokolenia dzielnych kleryków. Już za Piusa IV, gdy jeszcze urząd sekretarza stanu trzymał go zdala od własnej diecezji, postarał się za pośrednictwem Ormaneta, o założenie w Medjolanie kleryckiego seminarjum w myśl Soboru trydenckiego. Ukończywszy je i urządziwszy, jeszcze się tem nie zadowolił i założył cały szereg po-

dobnych zakładów; tak np. seminarjum, które miało mu dostarczać proboszczów dla gmin wiejskich, inne znów, w którym ludzie, w starszym wieku będący, mogli zdobyć potrzebne wiadomości, odbywając skrócony dwu albo trzyletni kurs nauk, albo też niewystarczające wykształcenie uzupełnić. Do nich przyłączyły się dwa dalsze, w których przechodzono tylko przygotowawczy kurs gramatyki i inne jeszcze dla chłopców z górskich okolic, których, ponieważ wyrosli w twardej warunkach życiowych i mieli w przyszłości życie swe spędzić w niedostatku, jaki panował w ich stronach rodzinnych, nie należało rozpieszczać w seminarjum. Inne jeszcze seminarjum w Aronie obliczone było na potrzeby okolic Lago Maggiore i przyległej Szwajcarji. Po wielu trudach udało się Boromeuszowi powołać do życia w Medjolanie kolegium szwajcarskie, w którym młodzież tak z włoskiej, jak niemieckiej Szwajcarji kształciła się na godnych kapłanów. Próba założenia kolegium dla Gryzonów w Locarno rozbiła się, powstało natomiast kolegium w Asconie, które Grzegorz XIII oddał pod władzę arcybiskupa medjolańskiego, choć się znajdowało w granicach diecezji Como.

Jak w staraniach swych o odnowienie kleru Boromeusz nie gwałtowne środki, lecz nauczanie i wychowywanie na pierwszy plan wysuwał, tak czynił podobnie i w oddziaływaniu na szerokie

masy ludowe. Przybywszy do swej stolicy biskupiej, zastał już na miejscu jedno nader ważne dzieło z tego zakresu: w r. 1536 założył tam pewien gorliwy kapłan, imieniem Castellino da Castello, »szkoły nauki chrześcijańskiej«, w których w dni niedzielne i świąteczne udzielano dzieciom i niewykształconym nauki najprostszych zasad wiary. Ręka w rękę z nauką duchowną wprowadzono do szkół tych początkowe zasady wiedzy świeckiej, jak zresztą naogół na pierwszych stronicach ówczesnych katechizmów podane są litery abecadła, gdyż dzieci na katechizmach uczyły się czytać. Boromeusz wszelkimi sposobami rozpowszechniał i popierał te szkoły; w samem mieście Medjolanie liczono w nich w r. 1595 nie mniej jak 20.504 stałych uczniów; on sam zaś pisał w roku 1571, iż dzieło to tak jest pożytecznem, że, zdaniem jego, nic innego tyle, co to właśnie, nie przyniosło korzyści diecezji.

Wyliczeniem wszakże tylu seminarjów i szkół nie daje się jeszcze całkowitego obrazu jego zasług około wychowania młodzieży i krzewienia nauki, a cóż dopiero niezmiordowanej jego działalności na polu miłosierdzia. Dla użytku uczącej się młodzieży założył przy uniwersytecie pawijskim t. zw. *Collegio Borromeo*, w Medjolanie *Collegio dei Nobili*, na wzór ówczesnego niemieckiego kolegjum w Rzymie, tamże kolegjum jezuickie *Brera*, z jego wykładami przedmiotów hu-

manistycznych, filozofji i teologii i kolegjum Teatynów. Jezuitom wystawił też w swej biskupiej stolicy Dom profesów, w rodzinnem mieście Aronie Nowicjat, kanonikom swoim wspaniały dom mieszkalny, Kapucynkom dwa klasztory w Medjolanie. Do tego dodajmy szpital dla żebraków, schronisko dla pokutnic, inne dla zagrożonych dziewcząt. Dla zgromadzenia kapłanów świeckich pod nazwą Oblatów od św. Ambrożego, które założone było przez Boromeusza na wzór zakonu, wystarał się o dom w Medjolanie. Przyjmował też ważny udział w uporządkowaniu na nowo wewnętrznych zakonnych stosunków u Barnabistów i Urszulanek, przy wprowadzeniu Kapucynów do Szwajcarji i do Francji, jak również przy założeniu całego szeregu włoskich kolegjiów jezuiickich.

Że zaś te fundacje nie zdołały wyczerpać u Boromeusza całej siły i chęci jego do pracy, że i o nim powiedzieć było można, iż granice biskupiej jego działalności sięgają tak daleko, jak cały Kościół katolicki, tego dowodzi olbrzymia, prowadzona przez niego korespondencja, która do dziś dnia przechowuje się w ambrozjańskiej bibliotece i zapełnia jakich 300 foljałów. Wszystkie klasy ludzi, wszystkie stopnie, od cesarza do ostatniego szwajcarskiego pisarza gminnego, od papieża do ubogiego seminarzysty mają swych przedstawicieli wśród osób wysyłających te listy

i raporty; w całej archidiecezji medjolańskiej, w Ticinie i Valtellinie mało się znajdzie miejscowości, z którychby nie były nadeszły listy, a prócz tych znajdują się tam pisma z Lizbony i Madrytu, z Paryża i Londynu, Amsterdamu i Kolonji, Wiednia i Pragi, Krakowa i Wilna, Malty i Kairu. Te zaś sprawy arcybiskup regularnie przepatrywał osobiście i odpowiedzi redagowane były według jego wskazówek. Komukolwiek danem było wglądnać w warsztat pracy tego ducha i serca rozplomienionego trawiającą gorliwością, ten unosi się podziwem, a zdumienie to wzrastać niejako musi do nieskończoności, gdy się pomyśli, że całą tę korespondencję załatwiać trzeba było jakby ubocznie tylko, że czas Boromeusza prócz tego zajęty był przez codzienne audjencje i wizyty, przez liczne kazania i przemowy, przez wizytację własnej i cudzych diecezji, przez przygotowanie siedemnastu synodów i wogóle przez bieżące sprawy biskupiej administracji. Taki ogrom dokonanej pracy byłby rzeczą wręcz niezrozumiałą, gdyby nie było skądinąd wiadomem, że Boromeusz w ostatnich latach życia już tylko bardzo niewiele godzin przeznaczał na sen, a dzień dla niego może dwa razy więcej liczył godzin pracy niż dla innych. Zdawało się, iż ustawiczną surowością trybu życia, którą do ostatka jeszcze przezornie obostrzał, zdobył dla pierwiastka duchowego cudowną nie-

mał moc nad ciałem, tak, iż nieograniczoną prawie posiadał nad niem władzę.

Wyniki niezmordowanej pracy jego w Medjolanie zadziwiająco były wielkie. Prawda, że sprzyjały mu też warunki czasu. Sobór trydencki, synod prowincjonalny z r. 1565, rządy tak świętego papieża, jakim był Pius V, pojawienie się tak niezwyklej miary męża, jak sam Boro-meusz, wszystko to wspólnymi siłami działało w tym kierunku, by ustalić w Medjolanie przeświadczenie, że nastały czasy nowe i że każdy okazać się ma godnym tych czasów, zrywając stanowczo z grzechami przeszłego życia. Boro-meusza za życia już poważano jak świętego. Podczas bytności jego w Rzymie w roku jubileuszowym 1575, gdy przechodził, klękano przed nim na ulicy; gdy w późniejszym czasie ponownie udał się do Rzymu, zbiegali się ludzie na ulicy, by go ujrzyć. W liście z roku 1577, pisanym z Wiecznego Miasta do Niemiec, ktoś go drugim Ambrożym nazywa. Potomni uczcili go, nazywając go wzorem katolickiego biskupa.

Na jedną z największych trudności, z jakimi spotykali się w swem urzędowaniu biskupi ery potrydenckiej, natknął się też w najwyższym stopniu ich pierwowzór. Od XVI stulecia gotuje się powstanie nowożytnego państwa, przywłaszczającego sobie stopniowo wielką ilość praw, które dotąd uważane były za niezaprzeczoną wła-

sność rodziny lub Kościoła; chęć pokojowego współżycia z ustanowioną od Boga władzą świecką, obawa, by daremną walką nie rozdrażnić możnych tego świata, a przez to nie pogorszyć tylko położenia Kościoła, stają się w następstwie dla sumiennego biskupa coraz obfitszem źródłem niezmiernie przykrych trudności. Arcybiskup medjolański walkę tę przebył z niezrównanem mężstwem i zwycięstwo odniósł w takich okolicznościach, w jakich nawet przyjaciele uważali go za zgubionego.

Jakby przygrywką tylko do tego, co nastąpić miało, były spory z przychylnym namiestnikiem Albuquerque († 1571). Następca jego, Luis de Requesens (1572—1573), zapędził się tak daleko, iż Boromeusz publicznie rzucił na niego klątwę, przeciw której namiestnik w wyniosłym tonie protestował, zamek w Aronie, będący gniazdem rodzinnem Boromeuszów, obsadzić kazał, pałac arcybiskupi obstawić wojskiem, korespondencje Boromeusza podchwytywać na poczcie i otwierać. Klątwa kościelna wielkie jednak w Medjolanie wywarła wrażenie; szlachta odmówiła dawania namiestnikowi eskorty, zwykli rzemieślnicy nie odkrywali już przed nim głowy, obcy posłowie z obciążonym klątwą zerwali stosunki. Na szczęście dla Requesensa wybawiła go z tych trudności nominacja na namiestnika Niderlandów i wyjazd jego z Medjolanu.

Jeżeli już za rządów Requesensa przeciwności doszły do objawów prawdziwej nienawiści wobec kardynała, to pod następcą jego, bezwzględny markizem Ayamonte, zaostrzyły się do ostateczności. Ayamonte pracował wprost nad tem, by arcybiskupa w Madrycie, Rzymie i u jego własnych podwładnych pozbawić wszelkiej powagi i usunąć ze stanowiska. Zaraz przy pierwszej wizycie kardynała, przyjął go bez ceremonji w przedpokoju i przy wszystkich tam obecnych wyłożył mu swój pogląd na nierozstrzygnięte jeszcze kwestje sporne. W następstwie zaś działał otwarcie przeciw wysiłkom reformatorskim arcybiskupa. Gdy np. Boromeusz usunąć chciał nadużycie, iż post wielki rozpoczynano dopiero w poniedziałek, nie zaś już, jak przepisywał ryt ambrożyński, w poprzedzającą niedzielę, namiestnik z rozmysłu na tę właśnie niedzielę zapowiedział turniej, a kiedy arcybiskup pod karą klątwy kościelnej zabronił uczestnictwa w tych igrzyskach, zarządził Ayamonte i na następne niedziele postu podobne zabawy, które za niezgodne uchodziły z duchem czasu postnego. Urzędników z małych miasteczek powołano do Medjolanu, by pod groźbą wymóc na nich zeznania przeciw rządowi Boromeusza. Śledzono go, by znaleźć sposobność do ujemnych o nim relacyj do Madrytu i Rzymu. Dekurjoni medjolańscy w roku 1579 formalnie przymuszeni zostali przez na-

miestnika do wysłania do Rzymu poselstwa ze skargami na Boromeusza. Punkty oskarżenia, co prawda, pozbawione były w znacznej części większego znaczenia. Boromeusz np. zaprotestował przeciw temu, iż na wsi w dni świąteczne odbywały się tańce, które odciągały ludzi od nabożeństwa i doprowadzały do licznych zabójstw; zabronił turniejów i t. p. w godzinach nabożeństwa; kazał zamknąć boczne wejścia w katedrze medjolańskiej, by kościół nie mógł służyć za drogę dla przechodniów. Skargi dekurjonów znalazły poparcie u posła hiszpańskiego w Rzymie.

Z biegiem czasu zdawało się coraz bardziej, iż arcybiskup padnie ofiarą skarg nieustannych. Filip II w chwili gniewu wyraził się, iż wejdzie w porozumienie z papieżem, by usunąć ze stanowiska tego burzyciela pokoju. Na zarzuty posła hiszpańskiego polecił Boromeusz posłać do Rzymu odpowiedź tej treści, iż zarządzeń swych w rzeczy samej nie wzoruje na Hiszpanji lub Wenecji, gdzie o swobodzie Kościoła nie mają żadnego pojęcia, lecz na podstawie starych kanonów i Soborów. Ale i wśród dobrze myślących przyjaciół reformy powstać mogła wątpliwość, czy jednak Boromeusz nie posuwa się za daleko w swem dążeniu, chcąc dyscyplinę kościelną starych kanonów i Soborów przeprowadzać jeszcze w XVI wieku, czy było np. rzeczą wskazaną w ówczesnych warunkach rzucać klątwę kościel-

ną na urzędników króla hiszpańskiego, z narażeniem się nawet na to, że się go tem rozdrażni. Zdawało się niektórym, jakoby Boromeusz w zbytnej surowości swej chciał na szerokie masy ludu wkładać w formie obowiązku to, co jest tylko przedmiotem wyższej doskonałości. Jeżeli mógł niejaki Giulio Mazzarini, Jezuita, zapomnieć się do tego stopnia, iż w samym Medjolanie otwarcie z ambony ganił bezpośrednio lub pośrednio niektóre zarządzenia arcybiskupa, to godzi się przypuszczać, że tego rodzaju poglądy istniały i u innych. Nieustanne te podejrzania i przekręcania faktów i w Rzymie też poczęły wywierać wrażenie.

W czasie, gdy ciągnęły się spory, Boromeusz obszernie o przebiegu ich relacje wysyłał ustawicznie do przedstawicieli swych w Wiecznem Mieście, kładąc nacisk na to, iż bezwarunkowo uspokoi się, skoro papież sprawę rozstrzygnie i wtedy nawet, gdyby mu przyszło zrzec się dotychczasowych biskupich pełnomocnictw. Grzegorz XIII dał zrazu Boromeuszowi polecenie, by bronił praw Kościoła wszelkimi prawnymi środkami. Pomału jednak stawał się bardziej ostrożnym. Powaga Boromeusza coraz to obniżała się w kołach rzymskich. Czwarty jego synod prowincjonalny, którego dekreta wysłał do Rzymu do zatwierdzenia, przez długi czas nie mógł się tam upragnionej aprobaty doczekać. O gorliwo-

ści jego nie wątpił nikt, powątpiewano natomiast o jego roztropności. Rozeszły się pogłoski, że kardynał u ludu medjolańskiego jest znienawidzony, że król pracuje nad usunięciem go, że wkrótce odjedzie do Rzymu i już nie powróci. W szerokich kołach uważano to za rzecz niemożliwą, by mógł dzieło swe reformatorskie w Medjolanie prowadzić dalej w sposób dotychczasowy; nastrój w Rzymie tak się zwrócił przeciw niemu, iż zarządzenia wychodzące od »zelanta« w Medjolanie ledwie znaleźć mogły obrońcę, przedstawicieli jego ledwie słuchać chciano. Sam Boromeusz postarał się o to, by do uszu papieża doszła jego skarga, że niekiedy zmuszony jest bronić w Rzymie swych zarządzeń, jak oskarżony przed sądem. W archidiecezji ustawiczne zwalczanie go przez władzę świecką ten miało skutek, iż szerzyć się począł duch buntu i niekarności, który zdawał się zagrażać utrzymaniu tego wszystkiego, co Boromeusz długoletnią pracą uczynił dla podniesienia swej diecezji pod względem obyczajowo-religijnym. Pogłoska, że Grzegorz XIII nie pochwała postępowania arcybiskupa, działała w tym samym duchu. Z powołaniem się na papieża, odżyły na nowo wykorzenione już prawie przez Boromeusza taneczne zabawy, wynikiem czego było pięćdziesiąt zabójstw w ciągu trzech czy czterech miesięcy; każdej nieposłusznej zakonnicy zdawało się, iż opozycję swą

przeciw arcybiskupowi osłonić może powagą papieża. Jedyny ratunek dla Boromeusza widział Speciani w tem, by osobiście pojawił się w Wiecznym Mieście i we własnej osobie sprawy swej bronił.

Boromeusz przybył i wbrew wszelkim oczekiwaniom przybycie jego zamieniło się w zupełny triumf. Gdy się zbliżał, już na milę przed mostem świętego Anioła ulica pełna była ludzi. Dostojnicy duchowni i magnaci, którzy do niedawna jeszcze z takim chłodem i niechęcią wobec niego się zachowywali, cisnęli się, by go powitać i być przez niego przyjętymi; sam papież nakazał mu zatrzymać się w pałacu apostolskim. Niewiele upłynęło czasu, a mógł już przez swego wikariusza generalnego, Mikołaja Galerio, wznowić wszystkie swe poprzednio zwalczane zarządzenia co do widowisk i tańców, święcenia dni świętych i zamykania bocznych drzwi katedry. Dekreta czwartego swego synodu prowincjonalnego, które papież osobiście w całości przeczytał, obronił Boromeusz przeciw zarzutom i udało mu się zabezpieczyć je od dalszych napaści papieską aprobata.

Tak pomyślnego wyniku nikt się nie spodziewał. Jeszcze gdy Karol w drodze do Rzymu przez dni kilka zatrzymał się w Camaldoli, rozeszła się pogłoska, iż z desperacji został Kamedulą, a i poza tem często przepowiadano, że już wię-

cej do Medjolanu nie wróci. Ayamonte mimo to uznał za potrzebne wysłać nową delegację do Rzymu dla wznowienia dawnych zażaleń. Lecz już zaraz po przybyciu jej do Rzymu zaskoczył ją Boromeusz wiadomością, że gotów już jest do powrotnej drogi do swej biskupiej rezydencji, a przeto nie może w dłuższe z nimi wdawać się rozprawy. Głośna radość ponadto, z jaką go przyjęto po przybyciu do Medjolanu, kłamażadała tylokrotnie rozsiewanym wieściom, iż jest u ludu znienawidzony, owszem, gorliwość, z jaką Medjolan w kilka dni później obchodził pierwszą niedzielę postu całkiem w duchu Boromeusza, zamieniła się w świetne usprawiedliwienie przeciw skardze, iż żąda większych rzeczy, niż przeciętny chrześcijanin chce i może spełnić. Mógł tedy arcybiskup pisać do Madrytu, że chodziło tu o rzeczy, dające sposobność do niezliczonych zgorzeń i grzechów cielesnych, do nienawiści, nieprzyjaźni i morderstw; znał zresztą dobrze swych Medjolańczyków i wiedział, czego od nich żądać może. Że lud w rzeczy samej owiany był jak najlepszymi chęciami, to było teraz dla wszystkich widocznem. Niezrozumiałem natomiast wydaje się zachowanie się Ayamonta, który w tę samą właśnie sporną niedzielę postu znów urządził turniej, tak, iż hałaśliwy dźwięk trąb dochodził do katedry i choć nie zdołał przyciągnąć większej ilości widzów, przeszkadzał jednak arcybisku-

powi w głoszeniu kazania. Wkrótce potem wydał Grzegorz XIII brewe do Medjolańczyków, które arcybiskupa całkowicie usprawiedliwiało. Boromeusz, przy pożegnaniu z papieżem, otrzymał od niego zlecenie, by bronił praw swego kościoła bez uprzedniego zapytywania w Rzymie. W końcu kwietnia 1580 r. zabrała śmierć namiestnika. To nie powstrzymało Boromeusza od wykonania dawno już powziętej decyzji, aby przez tajnego posłańca poinformować króla hiszpańskiego o panujących w Medjolanie stosunkach i o sporach swych z namiestnikami. Wybór jego na trudne to stanowisko padł na Barnabite Carla Bescapè, który u Filipa II całkowity odniósł sukces. Nowi namiestnicy, Guevara y Padilla (1580—1583) i Carlos de Aragon, książę Terranovy, zachowywali w Medjolanie zupełną harmonję pomiędzy władzą świecką i duchowną.

Na czas sporów z Ayamontem przypada wydarzenie, w którym bezinteresowność Boromeusza w najpiękniejszym okazała się blasku i bardziej może, niż cokolwiek innego, imię jego rozślawiła: była to straszna dżuma w Medjolanie. Jest rzeczą znamionną dla Ayamonta, iż go nawet to heroiczne poświęcenie się arcybiskupa bardziej pojednawczo względem niego nie usposobiło; niejedno, przeciwnie, co Boromeusz w najlepszym zamiarze w tym czasie przesięwził, poczyty-

wano mu za wkraczanie w zakres władzy świeckiej.

Przywrócenie pokojowych stosunków pod nowym namiestnikiem Terranovą umożliwiło niestrudzonemu obrońcy Kościoła zwrócenie też szczególniejszej uwagi na północno-włoskie, alpejskie okolice. Ciemnota w rzeczach religji, błędy we wierze, rozwiązłość i w łączności z tem czarownictwo, w bujnym się tam znajdowały kwiecie; dla nowinkarzy po włosku mówiących były te okolice bezpiecznym miejscem ucieczki, całym Włochom groziło ustawiczne niebezpieczeństwo, iż się protestantyzm stamtąd na cały półwysep rozszerzy. Boromeusz podczas ostatniej podróży swej do Rzymu w roku 1582 o stosunkach tych konferował; w następstwie zamianowany został papieskim wizytatorem zwłaszcza na dolinę Mesocco, i wzięwszy do pomocy kilku Jezuitów, odbył tam osobiście rodzaj misji. Śmierć stanęła mu na przeszkodzie, iż nie danem mu już było w Gryzonach stanąć w obronie niemałych korzyści, zdobytych już poprzednio, przeciw akcji predykantów, która się tam niebawem rozpoczęła.

Mimo surowego trybu życia, dosięgnął Boromeusz wieku swego ojca, przeżył starszego brata i cztery młodsze siostry. Ogarniały go przecucia, że i dla niego wkrótce wybije godzina wyzwolenia; dziwiło go — tak mówił — że się ży-

cie jego dawno już nie skończyło. Jakkolwiek zawsze jeszcze z gorliwością poświęcał się sprawom swego urzędu, to jednak myśli jego, w wyższym jeszcze niż dotychczas stopniu, zwracały się ku wieczności i do obcowania z Bogiem na modlitwie. Rozpamiętywanie Chrystusowej męki, śmierci i pogrzebu stawało się coraz bardziej uprzywilejowanym przedmiotem jego rozmyślań; by móc całkowicie im się oddać, usunął się w połowie października 1584 r. na t. zw. Świętą górę koło Varallo, którą pobożność pewnego Franciszkanina, obrazem przedstawieniem scen z Męki Pańskiej w licznych kapliczkach, przekształciła na pamiątkę góry Kalwaryjskiej i bardzo uczęszczane miejsce pielgrzymek. Sześć godzin dziennie poświęcał tam na rozmyślanie; jednej nocy przebył ośm godzin bez przerwy na modlitwie, a zeszyły mu tak szybko, iż myślał później, że w celu oszukania go, zegar naumyślnie posunięto. W dniu 28 października opuścił Varallo, aby w Asconie przewodniczyć otwarciu tamtejszego kolegium; 1-go listopada zamierzał obchodzić uroczystość Wszystkich Świętych już w swoim mieście biskupiem. Wznowila się wszakże gwałtowna febra, której ataków niejednokrotnie doznawał już na Monte Varallo, tak, iż 31 października dotarł tylko do Arony. Tam to, w nowicjacie Jezuitów, w uroczystość Wszystkich Świętych, po raz ostatni odprawił Mszę św.

W dniu 2 listopada przybył do Medjolanu. Osłabienie było tak wielkie, iż lekarze o życiu jego zwątpili. Wieczorem 3 listopada cicha śmierć przeprowadziła niestrudzonego męża do wiekui-stego spoczynku. »Zagasiła pochodnia w Izraelu«, zawołał Grzegorz XIII na wieść o niespodziewanej śmierci tego, którego i on, i spółcześni, tak wysoką czcią otaczali.

Pochodnią w Kościele jest Boromeusz w rzeczy samej i dziś jeszcze, tak przez zarządzenia swe na polu kościelnej dyscypliny, jak i przez blask swego przykładu. Dla społecznych imię jego znaczyło tyle co reforma; wizerunek odnowiciela na niwie kościelnej, jakiby sobie kto wytworzyć chciał w wyobraźni, w jego osobie, zda się, stał się żyjącym. Pod względem wysokości celów, które sobie wytknął, pod względem trawiącego zapału, by je osiągnąć, pod względem męstwa, wytrwałości, chęci do pracy w ich wykonaniu, nie pozostał w tyle za żadnym z kościelnych odnowicieli świata. Ale co u niego zwłaszcza na pierwszy plan występuje, to przede wszystkim zupełna bezinteresowność w spełnianiu obowiązków, zupełne usuwanie własnej osoby, z jej pragnieniami i skłonnościami, przed wielkością zadania. Własne jego serce nie posiada u niego innego zadania, jak tylko milczeć, skoro zjawia się na widnokręgu obowiązek i głos swój, choćby tylko z cicha, podnosi. Takim wi-

dzimy go już jako młodego studenta w Pawji, na przekór wszelkim ponętom i pokusom lekkomyślnego uniwersyteckiego miasta. Takim jeszcze bardziej, jako młodego kardynała; wszystkie rozkosze stolicy świata ofiarowują mu swe usługi, byleby rękę ku nim wyciągnął, a on zamiast tego pracuje od rana do wieczora jak ostatni urzędnik, który się trzyma nad zdobyciem codziennego chleba, a przytem, nie idąc w pracy za własnymi kapryszkami i pomysłami, lecz za wskazówkami i wedle upodobania wuja. Jako biskup nie zna gorętszego starania nad to, by obumrzeć całkowicie własnemu »ja« i móc żyć wyłącznie tylko dla swego wzniesłego powołania. Jedynym wytchnieniem jego jest modlitwa, której, jeśli mu czas pozwala, długie poświęca godziny; lecz i tu oczywiście gotów jest każdej chwili na najłżejsze skinienie pasterskiego obowiązku, tę nawet ostatnią radość serca złożyć w ofierze. Surowość życia jego natomiast pod względem czuwań i postów do takiej stopniowo dochodzi wysokości, iż mało który pustelnik mógłby go prześcignąć, a wielu patrzącym nań wydaje się, że już nadmiernie łuk naciągnął. W sposób zbyt może pogładowy, lecz najzupełniej zgodnie z prawdą, wyraził się mowca pogrzebowy Boro-meusza, Franciszkanin Panigarola, że Karol nie więcej miał ze swego bogactwa, jak pies domowy z bogactwa swego pana, to jest trochę wody,

chleba i słomy. Ta jednak surowość oczywiście i dla Boromeusza, jako reformatora w trudnych jego warunkach, ma swe znaczenie: każdemu, kto tylko chciał widzieć, wskazywała, że arcybiskup dla siebie niczego na ziemi nie pragnął i do niczego nie dążył, że np. w sporze z namiestnikiem pobudką jego nie była, jak twierdzono, żądza rozszerzania zakresu swej władzy, lecz sama tylko świadomość obowiązku.

Podobnie zaś jak pobudki, tak również i zarządzenia Boromeusza, jako reformatora, noszą wszędzie na sobie znamię bezinteresowności. Choć uznawano go powszechnie za mistrza i nauczyciela w zakresie dyscypliny kościelnej i papieże rady jego zasięgali, nigdy jednak do tego nie zmierza, by się mistrzem okazać i dla własnych pomysłów i idei zdobywać uznanie. Miary i kierunku, także jako reformatorowi, dostarczają mu dekreta Soboru trydenckiego; jemu w zupełności się poddaje, a gdzie wypada mu wyjść poza dosłowne brzmienie trydenckich postanowień, tam bada starannie własne poglądy w świetle nauki Ojców Kościoła i dawniejszych Soborów. Nie podlega kwestji, iż to właśnie trzymanie się tradycji lat dawnych tworzyło siłę i treść jego działalności. Nowych dróg trzeba było, co prawda, w XVI stuleciu i na polu kościelnym niekiedy próbować; nie uszedł też i Boromeusz niebezpieczeństwa, że go źle rozumiano i nadużywano nie-

których jego wyrażen. Lecz nigdyby dekreta jego prowincjonalnych synodów nie zdołały uzyskać onego trwałego znaczenia, gdyby się nie były zrodziły z tysiącletniego doświadczenia Kościoła i tego doświadczenia dalej nie podawały.

Tak tedy stoi kardynał medjolański przed oczyma współczesnych i potomnych w twardej jak stal konsekwencji całej swej istoty jako jeden z tych wielkich, którzy wszystko poświęcili, by wszystko odnaleźć, którzy wyrzekli się świata i w następstwie, przez to właśnie wyrzeczenie się, niezmierzone sobie wpływy na świat otworzyli. Żadna inna postać, poza Założycielem zakonu Jezuitów, tak głęboko i trwale nie wpłynęła na katolickie odrodzenie, jak Karol Boromeusz. Jak olbrzymi jego posąg koło Arony, jako błogosławiącego apostoła, spogląda z góry na niwy jednej z najpiękniejszych włoskich okolic, tak sphywają i dziś jeszcze potoki błogosławieństw z wielkości jego ducha zwykłą miarę przerastającej. Jako jedna z największych bohaterskich postaci Kościoła w XVI stuleciu, po zostanie on prawodawcą na długie lata, przykładem na zawsze; jest on kamieniem granicznym w historii Kościoła na granicy dwóch światowych epok, zamierającego późnego renesansu i zwycięskiej katolickiej reformy.

SPIS RZECZY.

	Str.
Przedmowa tłumacza	5
Ignacy z Loyoli	11
Teresa od Jezusa	91
Filip Nerjusz	129
Karol Boromeusz	167



40

